

Heather Graham

Z nadzieją w sercu

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zachodni Teksas, 1870

– Panie poruczniku! Ogień! Tam, z prawej strony! Na wschodzie!

Bystre szare oczy porucznika Slatera przemknęły po szarobrunatnej połaci wyschniętej ziemi, porosłej z rzadka dziką szałwią i zatrzymały się na jednej z odległych wydm. Błękit nieba nad wydmą był prawie niewidoczny, przesłonięty kłębamii czarnego dymu.

– Na pewno Indianie, panie poruczniku! – krzyknął sierżant Monahan.

Indianie. Jamie Slater czuł przez skórę, jak Jon Czerwone Pióro tężeje. Jon to przecież pół-Indianin. Jego biali przodkowie, a ściślej bogaty angielski dziadek, dali mu edukację na poziomie Oksfordu. Dzięki indiańskim przodkom, Czarnym Stopom, Jon był jednym z najlepszych wywiadowców, jakich Jamie znał. I teraz ta indiańska połowa Jona

4 *Heather Graham*

poczuła się urażona, że sierżant Monahan bez wahania wysuwa oskarżenie wobec Indian. Ten sam jednak Jon doskonale wiedział, że oskarżenie nie jest bezpodstawne. Apacze nienawidzą białego człowieka, dumni Komanczowie białym człowiekiem gardzą, a wielki szczep Siuksów zawsze będzie walczył o swą ziemię, zajmowaną przez nienasyconych białych osadników.

Porucznik Slater stanął w strzemionach i ogarnął wzrokiem wszystkich mężczyzn, podlegających jego rozkazom.

– Sierżancie Monahan! Jedziemy na wschód!

Sierżant ryknął „naprzód!” i ponad czterdzieści koni ruszyło z kopyta. Na samym przedzie deresz Jamie’ego, Lucyfer. Imię to nadzwyczaj pasowało do tego konia, charakter miał bowiem iście diabelski, ale też i koniem był znakomitym. Kawaleria Stanów Zjednoczonych dawała swym żołnierzom tylko najlepsze wierzchowce. W Kawalerii Południa Jamie tej przyjemności nie zakosztował. Tam różnie z końmi bywało, a pod koniec wojny, kiedy Południe padało na kolana, każdy koń, nawet byle jaki, był na wagę złota.

Od tej przeklętej wojny minęło prawie pięć lat. Nikt nie wierzył, że po zawieszeniu broni Jamie zostanie w kawalerii jeszcze choć jeden dzień. A on wszystkich zaskoczył. Zmienił tylko mundur, szary na niebieski, taki sam, do jakiego strzelał przez wiele długich lat. Został w kawalerii, bo żołnierzy rozumiał, na pewno o niebo lepiej niż jakichś tam polityków czy tych szakali,

*carpetbaggerów*¹. I polubił życie w siodle, galopy po bezkresnej prerii, układanie się z Indianami. Wolał zresztą być tu, na zachodzie Teksasu, gdzie nie brano tak srogiego odwetu za wojnę, jak we wschodnich rejonach głębokiego Południa. Tam panowała bieda i smutek. W miastach i miasteczkach na każdym kroku spotykało się mężczyzn w łachmanach, które kiedyś były szarym mundurem. Tych mężczyzn wysłano kiedyś do boju, za sprawę dla większości z nich nie do końca zrozumiałą, potem kazano im się poddać i wrócić do domu. Wrócili, często bez rąk lub bez nóg, a jeśli zdarzyło się, że dom któregoś z nich po zawierusze wojennej ocalał, czekała ich teraz walka z nieludzkimi podatkami, *carpetbaggerami* i z władzą nowych szeryfów – przekupnych jankeskich marionetek.

Nie wszyscy Jankesi byli źli. Jamie przekonał się o tym na własnej skórze. Tu, w Teksasie, otoczony był Jankesami zupełnie innego pokroju niż hołota zalewająca Południe. A poza tym byli tu Indianie, Komanczowie i inne plemiona, z którymi Jamie prowadził pertraktacje. Ci czerwonoskórzy ludzie bardzo szybko zdobyli jego sympatię i szacunek. Bo to byli prawi, dzielni ludzie, a honor uważali za rzecz świętą.

¹ *Carpetbagger* (j. ang.) – od *carpetbag* – torba podróżna. *Carpetbaggerami* nazywano pogardliwie nieuczciwych, pozbawionych skrupułów dorobkiewiczów, którzy zalali Południe tuż po wojnie secesyjnej, w okresie tzw. rekonstrukcji Południa.

6 *Heather Graham*

Pięcioletni okres służby Jamie'ego Slatera dobiegał końca. Te lata w niebieskim mundurze przydały mu się bardzo. Mógł do końca wyrzucić z siebie przeżycia wojenne i zatęsknić za tym, co było przedtem. Za życiem na ranczo. Im bliżej było końca służby, tym częściej o tym myślał. Marzył mu się kawał własnej urodzajnej ziemi, na której mógłby hodować bydło. Taki naprawdę spory kawał. Jechałby sobie na swoim koniu, za nim jeden akr i drugi, a płotu ciągle jeszcze nie widać... W marzeniach naturalnie był także rozłożysty piętrowy dom, w tym domu wielki salon i równie przestronna kuchnia. A w salonie i w kuchni olbrzymie kominki, które nie pozwalają ciału na odczuwanie zimowego chłodu...

– Chryste Panie... – jęknął sierżant, zatrzymując konia na szczycie wydmy, tuż obok deresza. A Jamie dokładnie tak samo jęknął w duszy, spoglądając w dół, na drugą stronę wzniesienia.

Wozy jeszcze się tliły. Ktoś próbował ustawić je w krąg, żeby łatwiej było odeprzeć atak. Nie zdążył jednak, bo widocznie ten atak nastąpił znienacka. W poszarpanych, nadpalonych plandekach, pokrywających wozy, tkwiły strzały. Czyli Indianie, zapewne Komanczowie. Atakują znienacka, z nieprawdopodobną szybkością, i z taką samą szybkością znikają. Rozpływają się jak we mgle, gdzieś wśród skał za równiną. Jamie słyszał, że sytuacja robi się coraz bardziej napięta, podobno kilku białych obróciło małą wioskę indiańską w perzynę. I to, co stało się za tą wydumą, mogło być zemstą.

– Zjeżdżamy – rzucił do sierżanta. – A chłopcy niech będą ostrożni, półzywy Komancz to nadal przede wszystkim Komancz.

Pierwszy ruszył w dół, po zboczu wyschniętym jak huba. Z nadzieją w sercu, że w żadnym z wozów nie ma prochu ani amunicji, która w każdej chwili może wybuchnąć. Lucyfer parskął, szedł ciężko, zapadając się w piachu i szukając kopytami bardziej twardego podłoża. Kiedy zszedł na dół, Jamie spał go ostrogami i galopem przejechał dookoła tłących się jeszcze wozów.

Było ich niewiele, tylko pięć. Ktoś chyba chciał przepędzić bydło na północ. Kilka martwych bydła leżało obok ludzkich trupów. I ludzie, i zwierzęta w kałużach krwi. I ludzie, i zwierzęta spoglądali w niebo szklanym nieruchomym wzrokiem.

Wśród ludzi żadnego Indianina, ani martwego, ani półzywego. Żadnego.

Jeden z zabitych, mężczyzna w podeszłym wieku, leżał twarzą do ziemi. W jego plecach tkwiła strzała. Jamie zeskoczył z konia, przykucnął i chwycił trupa za ramię, po czym przewrócił go na bok. Nagle poczuł, że w gardle robi mu się nieprawdopodobnie sucho. Ten mężczyzna został oskalpowany. Oskalpowany, ale dziwnie nieudolnie. Krew ciekła po czole, gęsta, ciemna, jeszcze ciepła.

To musiało zdarzyć się całkiem niedawno, jakieś pół godziny temu. Cholerne trzydzieści minut. Tyle zabrakło, aby oddział kawalerii zapobiegł okrutnej rzezi.

Usłyszał ruch koło siebie. Cały oddział zjechał już

8 *Heather Graham*

z wydmy. Żołnierze posiadali z koni i na rozkaz sierżanta Monahana robili to samo, co Jamie. Chodzili wśród pokiereszowanych ciał i sprawdzali, czy może jeszcze ktoś daje jakieś oznaki życia.

Jamie wstał. Do diabła! A on właśnie zamierzał spotkać się z Płynącą Rzeką, wodzem miejscowych Komanczów. Płynąca Rzeka był człowiekiem pokoju, jego stosunki z białymi ludźmi od lat były poprawne. Jamie darzył go sympatią, ale też i nie łudził się, że sprowokowany Komancz nie okaże swej wojowniczej natury. Na Boga, jakaż to jednak musiała być prowokacja, skoro Indianie pozarzynali i ludzi, i bydło! Głodni Indianie nigdy nie zarzynają bydła. Oni uprowadzają je ze sobą.

Jon Czerwone Pióro, jak zwykle irytująco bezselestny, pojawił się znienna.

– Komancz tego nie zrobił – powiedział krótko, wpatrując się w straszliwie okaleczoną głowę martwego starca.

– W takim razie... kto? Czejenowie? Utowie, którzy przypadkiem zjawili się w tych stronach? Bo Siuksowie na pewno nie, oni są za daleko stąd.

– Żaden szanujący się Siuks nie zdjąłby skalpu w taki sposób. Siuksowie bardzo wcześnie się uczą, jak zrobić to porządnie i...

– Panie poruczniku! – krzyknął jeden z żołnierzy, pochylony nad ciałem starszego mężczyzny o szpakowatych bokobrodach.

– Co jest, Charlie?

– Wygląda na to, że ten tutaj dostał strzałą

i próbował się podnieść. Wtedy ktoś go poczęstował kulą. Prosto w serce.

Jamie wręcz namacalnie wyczuwał obecność Jona, stojącego tuż za jego plecami.

– Jon, nie próbuj mi wmówić, że Komanczowie nie mają strzelb!

– Do diabła! Pewnie, że mają! Kupują je od *comancheros*². A *comancheros* sprzedają strzelby każdemu. I ty sam dobrze wiesz, od kogo je kupują! Od twoich ludzi!

Jamie nie odezwał się. Jego wzrok był utkwiony w jednym z wozów, o wiele mniej zniszczonym od pozostałych. Z tego wozu doleciał przed chwilą jakiś szmer, jakby ktoś się poruszył... A może i nie... Mimo tego koszmarnego, nieudolnego skalpu cała robota tutaj została wykonana bardzo skrupulatnie. Wielki Boże, jakże skrupulatnie... Straszliwe dzieło, nawet dla Jamie'ego Slatera, który dorastał wśród rozlewu krwi. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, kiedy *jayhawkerzy*³ z Kansas zabili pierwszą żonę Cole'a, najstarszego z jego braci. Jamie był najmłodszym z trzech braci Slaterów.

Podczas wojny Jamie, chociaż walczył w regularnym pułku, pod rozkazami Johna Hunta Morgana,

² *Comancheros* (j. hiszp.) – dzikie bandy Meksykanów i Indian, grasujące na pograniczu Teksasu i Meksyku.

³ *Jayhawkerzy*, zwani też czerwogimi od koloru ich spodni – bandy rabusiów z Kansas, grasujące w czasie wojny Północy z Południem na pograniczu Kansas i Missouri. Występowali rzekomo w obronie interesów Północy.

10 Heather Graham

wiedział doskonale, co to groza wojny na pograniczu. Właśnie jego najstarszy brat, Cole, nauczył go, że *bushwhackerzy*⁴ z Missouri to pod każdym względem takie same monstra jak *jayhawkerzy* z Kansas. Pewien chłopak z Południa, zwany Małym Archie'em Clementsem, znajdował swego czasu największą przyjemność w skalpowaniu ludzi. Zresztą nie tylko on. Bo przecież nawet Mały Archie sam nie dałby rady bestialsko zmasakrować całego oddziału jankeskiego, a potem wszystkich tych żołnierzy oskalpować.

Jamie nie miał żadnych podstaw, aby sądzić, że biały człowiek jest z gruntu lepszy niż Indianin. Naprawdę nie miał. A świadomość, że *bushwhackerzy* z Południa i *jayhawkerzy* z Kansas to jedno i to samo zło, pomogła mu podjąć decyzję o przywdzianiu munduru niebieskiego. U boku Jamie'ego błyszczała teraz szabla oficera kawalerii, ale karabinu nie nosił. Pozostał wierny koltom, które służyły mu przez cztery lata wojny.

Znów szmer. Jamie spojrzął na Jona. Jon w milczeniu skinął głową i lekkim, prawie niesłyszalnym krokiem zaczął posuwać się wzdłuż wozu, żeby zająć z drugiej strony. A Jamie uchylił płócienną plandekę i wskoczył do środka. W wozie były dwa poślania, oba, jak na ironię losu, nietknięte. Poduszki wzbite, prześcieradła wygładzone, koce zagięte na

⁴ *Bushwhackerzy* – niesubordynowane oddziały żołnierzy siejących śmierć i zniszczenie w Kansas. Występowali rzekomo w obronie interesów Południa i działali w odwecie za zbrodnie dokonywane przez bandy *jayhawkerów*.

rogach, jakby zapraszały, żeby skorzystać z ich ciepła. Między posłaniami kufry i pudła.

I cisza. Ale ktoś tu był i znów się poruszył. Jamie nie był pewien, czy zobaczył to, czy tylko wyczuł. Potrafił wszystkie swoje zmysły wyostrzyć do granic możliwości. Nie na darmo pełnił służbę w kraju Indian, a u boku miał na stałe półkrwi Indianina.

– Nie chowaj się, proszę – odezwał się głosem jak najłagodniejszym. – Nikt nie chce cię skrzywdzić.

Na posłaniu z lewej strony leżała koszula nocna. Bez rękawów, z dekoltem, obszyta pięknymi koronkami. Nocna koszula dla damy, zbyt wytworna jak na ciężką podróż przez spaloną słońcem równinę.

– Jest tu ktoś?

Kluczając między kuframi i pudłami, zaczął ostrożnie posuwać się w stronę posłań.

– Wyjdź, proszę! Nie bój się. Naprawdę nic ci nie grozi.

Koło posłania poruszył się pagórek ciemnoróżowej tafty, obszytej czarną koronką. To była suknia, ukrywająca czyjeś skulone ciało.

Powoli wyciągnął rękę, ciągle jednak pewien, że dotknie trupa. Ale nie, tafta była ciepła. Ostrożnie przesunął dłoń. Nagle spoczęła na czymś jeszcze bardzo ciepłym i nieprawdopodobnie miękkim. Od ruchowo zacisnął palce na piersi, pełnej i kuszącej. Jezusie Miłosierny, daj, aby ta nieszczęsna kobieta jeszcze żyła. To ciało jest ciepłe, ale tak niepokojąco nieruchome...

Już nie... Wyskoczyła spod tej tafty, wydając z siebie przeraźliwy krzyk. Krzyk przerażonego,

12 *Heather Graham*

zranionego zwierzęcia. Jamie cofnął się krok, ręka odruchowo sięgnęła po kolta. Ale zastęła. Przecież to tylko kobieta, niewysoka, delikatna kobieta, nieprzytomna ze strachu.

– Pani...

Zaatakowała go natychmiast. Kopnęła w łydkę, małe pięści z nieoczekiwaną siłą zaczęły młócić go po ramionach. Upadli na podłogę, a ona grzmociła go dalej, z zaciekłością co najmniej dziesięciu Komanczów.

Niewysoka, delikatna kobieta, z grzywą rozburzonych, przepięknych włosów koloru miodu...

Tak naprawdę rozwścieczona jędrza, wobec której nie sposób zachować się łagodnie. Zaciśnął zęby i chwycił ją za nadgarstki, starając się nie zrobić tego zbyt brutalnie. Naturalnie wyrwała mu się, rzuciła do posłania i zaczęła gorączkowo czegoś szukać. Psiakrew, nie powinien się z nią cackać i złapać ją mocniej... a ona już się odwracała i zobaczył na jej ustach zły uśmiech, ale triumfalny, a w ręku nóż...

– Ej, panienko, wolnego!

Do diabła! Ta mała furiatka umyśliła sobie, że poderżnie mu gardło! I głucha na ostrzeżenie sunie ku niemu z tym nożem w uniesionej ręce...

Odepchnął ją od siebie, już nie dbając, czy robi to brutalnie, czy nie.

– Do diabła! Kobieto! – huknął, zrywając się na równe nogi. – Jestem z kawalerii! Nic ci nie grozi! Nie pojmujesz?!

Wydawało się, że w ogóle go nie słyszy, a z wi-

dzeniem też nie było najlepiej. Nieprawdopodobnie wielkie fiołkowe oczy były przymglone, jakby nieprzytomne. Z gardła znów wydobył się przeraźliwy krzyk zranionego zwierzęcia i nóż przeciął powietrze. Niebezpiecznie blisko tchawicy Jamie'ego. Zaklął bardzo dosadnie, szarpnął ją za rękę z całej siły i nóż poleciał na podłogę. A ona wcale nie rezygnowała. Rzuciła się z pazurami. Czyli teraz zamierza wydrapać mu oczy...

Chwycił ją za obie ręce, zachwiali się i oboje upadli na podłogę. Jamie nie miał wyboru. Żeby unieszkodliwić wariatkę, musiał przykryć ją całym swoim ciałem. Zaczęła się rzucać, miotać jak ryba w sieci. On z kolei znów zaczął kłąć, uniósł głowę i napotkał znajome spojrzenie. Wyjątkowo pięknych zielonych oczu Jona Czerwone Pióro.

– Co się gapisz? – warknął. – Nie widzisz, że potrzebuję pomocy!

– Pomocy? Nie do wiary! – wycedził Jon, wygodnie rozparty na jednym z kufrów. – Boisz się jasnowłosej dziewczynki?

Dziewczynki? Niestety, to nie była dziewczynka. Jej ciało, owszem, było szczuplutkie i kruche, jednak doskonale wyczuwał kragłe piersi, ocierające się o jego kawaleryjską kurtkę. Dlatego, ni stąd, ni zowąd, w jego głowie pojawiła się nieoczekiwana refleksja. Już bardzo dawno nie odwiedził domu słodkiej Maybelle, gdzie dżentelmeni w czasie wolnym mogą zakosztować wszelkich rozkoszy od mieszkających tam pańienek.

Fiołkowe oczy, pełne nienawiści, były coraz

14 *Heather Graham*

blżej. Mała diablica uniosła głowę i starała się za wszelką cenę ugryźć go w ramię.

– Chryste! – sapnął.

Złapał ją mocno oburącz. Przetoczyli się po podłodze i nagle spadli z wozu. Leżeli już na ziemi, ich nogi były splątane, otulone jej halkami. Te kobiece nogi poczuł dziwnie intensywnie. Smukłe, długie i gładkie pod cienkim batystem pantalonów. I nieprawdopodobnie ruchliwe, bo ona nadal się miotła. Nagle wyrwała rękę i uniosła ją, prawdopodobnie po to, żeby uderzyć go w twarz.

– Dość!

Złapał obie jej ręce, przygwoździł do ziemi i usiadł okrakiem na szczupłych damskich biodrach. Diablica znieruchomiała. Jej włosy ułożyły się w gigantyczny wachlarz, okalający drobną twarz, ubrudzoną piachem. Oddychała ciężko, ale nareszcie leżała spokojnie. Puścił więc jej ręce, szczupłe i białe, ale jakże niebezpieczne. Uniósł się nieco na kolana, żeby za bardzo nie przygniatać sobą tej niewielkiej osoby i rzucił do Jona:

– Wszystko w porządku!... O, nie! Psiakrew! – Ona tylko się przyczaiła, bo właśnie teraz rozorała mu paznokciami brodę do krwi. – Dość tego! – ryknął i zamachnął się, ale w ostatniej sekundzie zdążył unieruchomić rękę.

A ona zamknęła oczy. Widocznie była pewna, że jej zdrowo przyłoży, ale zaraz otworzyła oczy. Ogromne, fiołkowe, lśniące teraz podejrzenie, jakby mała furiatka miała zamiar się rozplakać. Szczupłym ciałem wstrząsały dreszcze.

Nagle zrobiło mu się jej żal. Przecież ta kobieta miała prawo wpaść w histerię. Bóg jeden wie, co tu przeżyła... Ale jakże ją teraz uspokoić, jak jej przemówić do rozsądku?

– Posłuchajże wreszcie! Indianie odjechali. Jesteśmy kawalerią, chcemy ci pomóc. Rozumiesz po angielsku, czy nie?!

– Tak! Tak! Rozumiem! – wyrzuciła z siebie i nagle przestała drżeć. Fiołkowe spojrzenie przemknęło po jego twarzy i nagle spojrziała w górę, gdzieś w niebo.

– Ty draniu! – syknęła. – Ty nikczemny, podły morderco!

– Morderco? Przecież chcę ci pomóc.

– Nie wierzę.

– Dlaczego? Spójrz na mundur. Jesteśmy kawalerią Stanów Zjednoczonych.

– Mundur nic nie znaczy.

Chyba postradała rozum. Ale co w tym dziwnego? Niedawno była świadkiem straszliwego napadu i z tego przeogromnego strachu uciekła w świat szaleństwa.

– Nie musisz już się bać – powiedział miękko. – Wszystko będzie dobrze. Spróbuj się tylko opanować i nie rzucaj się na mnie. Indianie odjechali...

– To nie byli Indianie! Tylko biali ludzie! Oni się przebrali, i ty może też się przebrałeś, może nawet brałeś w tym udział! Dlaczego nie? Prawo jest skorumpowane, dlaczego więc kawaleria ma mieć czyste ręce?

– Ej, kobieto, ja naprawdę nie wiem, o czym ty

mówisz. Jestem James Slater, porucznik, z fortu Vickers. Przejeżdżałem tędy z moim oddziałem. Natknęliśmy się na ciebie przypadkiem. A ty, jak widać, jesteś w wielkich opałach. Chcemy ci pomóc. To wszystko.

Spojrzała na niego, jakby troszkę uważniej, potem ostrożnie zerknęła na boki. Zewsząd podchodzili żołnierze w niebieskich mundurach, zaniepokojeni szamotaniną za jednym z wozów. Podchodzili krokiem nieśpiesznym, patrząc na nią poważnie, ze współczuciem.

W fiołkowych oczach coś błysnęło. Prawdopodobnie zaczynała zdawać sobie sprawę, że to rzeczywiście jest oddział kawalerii. Rzuciła jeszcze jedno szybkie spojrzenie na Jamie'ego i jej twarz oblała się rumieńcem. Czyli, chwała Bogu, wraca do rzeczywistości i fakt, że leży na ziemi, między udami obcego mężczyzny, jest dla niej bardzo krępujący. Szarpnęła się, on jednak wcale nie zmienił pozycji. Czuł, jak krew ścieka mu po brodzie i czuł, że należy mu się odrobina satysfakcji.

- Poruczniku, proszę mnie puścić!
- Jak się nazywasz?
- Powiem, tylko proszę, niech pan...
- Jak się nazywasz?!

Jej oczy błysnęły gniewnie, a więc dotarło do niej, że on ją puści, kiedy będzie miał na to ochotę.

- Tess. Nazywam się Tess.
- Tess? I co dalej?
- Tess Stuart.
- Skąd jechaliście? I dokąd?

– Do Wiltshire. Pędziliśmy ze sobą kilka sztuk bydła. I wieźliśmy prasę drukarską. Kupiliśmy ją w Dunedin, to prawie wymarłe miasteczko. Dlatego sprzedali nam tę prasę, była im już niepotrzebna.

– Kto jechał razem z tobą?

– Mój... – W jej oczach zakręciły się łzy. Natychmiast bardzo mocno zacisnęła powieki, jakby nie chciała, żeby on te łzy dojrzał. – Mój wuj. Wracaliśmy do domu, do Wiltshire.

– Masz szczęście, że Indianie cię nie zauważyli.

Powieki uniosły się w górę, oczy były już suche, bez łez i pełne gniewu.

– To nie byli Indianie!

– A kto?

– Mówiłam już! To byli biali. Ludzie von Heusena.

– A któż to, u diabła, ten von Heusen?

Ktoś z tyłu cicho chrząknął. Jamie odwrócił się, jego wzrok przemknął po twarzach żołnierzy.

– Czy ktoś chce coś wyjaśnić? – spytał ostrym głosem.

– A tak – odezwał się Jon Czerwone Pióro. – Na pewno chodzi o Richarda von Heusena, ten człowiek czasami nazywa siebie ranczerem, a czasami przedsiębiorcą. Nie słyszałeś o nim?

– Nie.

– Nic dziwnego, ty przecież głównie zajmujesz się sprawami Indian.

To fakt, pomyślał Jamie. Jakoś wcale nie miał ochoty wnikać w sprawy ranczerów, przede wszystkim, żeby nie natknąć się przy okazji na jakiegoś przekłętą, pokrętną *carpetbaggera*.

18 Heather Graham

– Jon? Czy ty przypadkiem też chcesz mi wmówić, że to sprawka białyń?

– Ja? A niby skąd mam to wiedzieć?

– Ten von Heusen to bogacz – wtrącił sierżant Monahan. – Chyba połowa stanu należy do niego. A Teksas jest duży, to i von Heusen ma niemało.

Wzrok Jamie'ego znów spoczął na jasnowłosej dziewczynie. Tess Stuart... Nie odzywała się, tylko wpatrywała się w niego gniewnie, jakby z urazą, i nagle zasyczała. Tak, zasyczała, bo w jej głosie było tyle nienawiści, co jadu u najbardziej niebezpiecznego węża.

– To *carpetbagger*, Jankes. Pan nie słyszał o tych sębach? Przyjeżdżają teraz tu, na Południe, i chcą nam wszystko wydrzeć. Czyhają na ziemię Południowców, którzy nie mogą zapłacić podatków, bo Unia nie chce przyjmować banknotów konfederatów. Von Heusen zdążył już za psie pieniądze wykupić prawie całe Wiltshire.

– Dlatego chcesz, żebym ci uwierzył? Że bogaty Jankes o nazwisku von Heusen napadł na wasze wozy? I strzelał do was z łuku?

– Oczywiście, że nie on sam! Nasłał swoich ludzi. On zawsze tak robi. Wynajmuje bandytów, a oni przebierają się za Komanczów. Na wszelki wypadek, żeby nikt ich nie rozpoznał. Ale ja i tak nie dam się oszukać. Ja tu się urodziłam i wyrosłam, wiem bardzo dobrze, jak wygląda prawdziwy Komancz. Znam tutejszych Indian.

– Twierdzisz więc, że napadli na wasze wozy biali ludzie?

– Oczywiście, że tak! To von Heusen ich nasłał! Musi pan go aresztować, poruczniku. Aresztować za morderstwo!

– Przecież sama mówisz, że jego tu nie było.

Fiołkowe oczy były teraz bardzo szeroko otwarte, wściekłość w nich doskonale widoczna. Ale nad głosem Tess panowała znakomicie.

– Więc nie zamierza go pan aresztować, poruczniku? Dlaczego?

– Nie jestem szeryfem, panno Stuart. A poza tym, żeby kogoś aresztować, trzeba mieć przeciwko niemu dowody.

– Mam dowody! On za wszelką cenę chce zdobyć naszą ziemię!

– Wielu ludzi chce kupić ziemię, łaskawa pani, co wcale nie znaczy, że ci ludzie są mordercami.

Wyglądała tak, jakby miała ochotę znów krzyzczeć, a przynajmniej podrapać do krwi jego twarz.

– Jest pan głupcem!

– A pani nadzwyczaj miła i łagodna.

– I niech pan w końcu mnie puści!

Uświadomił sobie, że nadal przygważdża ją do ziemi, choć ona wcale go już nie atakuje. Raczej pragnie uciec od niego, jak najdalej, jakby jego widok był jej wyjątkowo wstrętny.

– Psiakrew! A pani niechże postara się to pojąć! – wyrzucił z siebie ze złością. – Mnie nie wolno zatrzymać człowieka, przeciwko któremu nie mam żadnych dowodów. I zatrzymać tylko dlatego, że uwierzę na słowo jakiejś na wpół obłąkanej dziewczynie!

– Co?! Co pan powiedział?!

Teraz szarpnęła się, jakby chciała go znów uderzyć. On jednak już podrywał się z ziemi. Złapał ją za rękę i zmusił, żeby wstała. Spojrzał w jej oczy i aż zacisnął szczęki. We fiołkowych oczach było jedno wielkie przekleństwo.

– Niech pani posłucha...

– Panie poruczniku! – zawołał Charlie. – Czy mamy już zaczynać pochówek tych ludzi?

Głowa Tess natychmiast zwróciła się w stronę, skąd dobiegł głos. Spojrzała na Charliego, spojrzała dalej, na ziemię, na zwłoki starszego mężczyzny, któremu indiańska strzała przebiła serce... a może kula?

– O Boże... – Zrobiła krok, tylko jeden i zatrzymała się, niezdolna się poruszyć, zdolna tylko do przejmującego szeptu: – O, Boże, nie, nie... Wuj Joseph, wuj Jo...

Jamie podskoczył w ostatniej chwili. Chwytał ją na ręce, białą teraz jak papier i zimną jak lód. Była nieprzytomna.

Mężczyźni stojący dookoła – znieruchomieli.

– Charlie! – ryknął Jamie. – Do diabła! Zabierajcie się za to jak najszybciej!

Mężczyźni ożyli, rozbiegli się we wszystkie strony. Jamie spojrział na omdlałą dziewczynę w swoich ramionach, nie czuł jej ciężaru, była tak lekka, jakby nic nie ważyła. A jednak był to dla niego ciężar.

Niewątpliwie był to przede wszystkim moralny ciężar.

Zaniósł ją do wozu i ostrożnie ułożył na posłaniu,

na tym, na którym leżała ta śmiesznie wytworna koszula nocna. Chciał odejść, ale coś go zatrzymało. Te złociste włosy, koloru jasnego miodu, które trzeba było odgarnąć pannie Stuart z czoła. Odgarnął, po czym jego palce bezwiednie przesunęły się po śnieżnobiałym policzku. Ręka zadrżała. Podniósł głowę i zobaczył nad sobą śniadą twarz Jona Czerwone Pióro.

– Jon? Ona jest taka zimna.

– Zawołam kapitana Petersa. Jest przy ciałach, sprawdza, czy w którymś z tych nieszczęśników nie tli się jeszcze życie. Ale nadzieja właściwie żadna.

– Może lepiej, że ona teraz jest nieprzytomna.

– Chyba masz rację... Poruczniku? Co z nią dalej będzie?

– Zabierzemy ją do fortu. A potem ktoś odwiezie ją do domu.

Jon uśmiechnął się.

– Ktoś? Chyba to twój obowiązek, Jamie. Sama wpadła ci w objęcia.

– Ale ja, jak widzisz, pozbyłem się jej z moich objęć.

Jon znów się uśmiechnął i potrząsnął głową.

– Chyba nie, poruczniku, chyba nie... Coś mi się wydaje, żeś wziął już ten ciężar na swoje barki i nie pozbędziesz się go szybko, o nie...

ROZDZIAŁ DRUGI

O zmierzchu zakopano wszystkie groby. Wielebny Thorne Dryer, kapelan Kompanii B, odprawił nabożeństwo przy świetle latarni i obozowego ogniska.

Tess Stuart stała blisko wielebnego. Drobna postać w czerni, jedyne jaśniejsze plamy to nieruchoma twarz i malutkie perłowe guziczki przy mankietach i pod szyją. Bujne włosy upięte, starannie ukryte pod czarnym kapeluszem z woalką.

Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz....

Wielebny prosił Najwyższego, aby przyjął do siebie dusze nieszczęśników i okazał im łaskę, a tym, którzy na ziemi zostają, dał odrobinę pociechy.

Tess wysunęła się do przodu. Oczy miała nadal suche, żadna łza nie zakłócała kamiennego spokoju jej pięknej, tragicznej twarzy. Złożyła na grobie wuja jeden samotny kwiat, odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę swego wozu. Jamie wcale nie miał zamiaru iść za nią, kiedy nagle zorientował się, że właśnie to robi. Idzie za Tess.

Wyczuła jego obecność. Przystanąła.

– Słucham, kapitanie?

– Poruczniku.

– W sumie to nieistotne. Czego pan sobie życzy?

Emanowała wrogością, wrogością większą niż całe plemię najdzikszych Indian, któremu ktoś nieopatrznie wszedł w drogę. Jamie czuł, że ręka aż go świerzbi. Najchętniej zetknęłaby się teraz w sposób raczej gwałtowny z pewną częścią jej ciała, z tą częścią, przez którą ponoć wbija się rozum do głowy. Dziś jednak nie należało tego robić, ponieważ pannę Stuart spotkało wielkie nieszczęście. A poza tym, co mu strzeliło do głowy, żeby iść za nią, skoro tę właśnie osobkę powinien obchodzić wielkim kołem.

– Panno Stuart, proszę przyjąć ode mnie wyrazy najgłębszego współczucia – powiedział chłodno.

– A ponieważ nadchodzi noc, chciałem przy sposobności zapytać, czy może pani czego potrzebuje.

– Nie, dziękuję. Niczego mi nie potrzeba.

Zebrała fałdy czarnej sukni i zręcznie wsunęła się do swego wozu. Jamie pozostał jeszcze chwilę, po czym krokiem nieśpiesznym wrócił do swoich ludzi. Pogrzeb dobiegł końca. Jon, sierżant Monahan i kilku jeszcze żołnierzy ubijali ziemię na grobach i wstawiali drewniane krzyże.

Te krzyże w suchej ziemi nie postoją długo. Wywróci je wiatr, poniesie gdzieś dalej i ciśnie w piach. Miejsca wiecznego odpoczynku zadepczą zwierzęta i ludzie. Taka była kolej rzeczy na Zachodzie. Człowiek żył i umierał, zostawały po nim

tylko te bezimienne kości i pewnie niespełnione marzenia, o których zresztą nikt nie pamiętał, chyba że żyły jeszcze jego dzieci, wnuki lub przyjaciele. Ale po ich śmierci pamięć o człowieku ginęła razem z ostatnimi potomkami i ostatnimi przyjaciółmi. Taki to już był los ludzi na Zachodzie. Nie mieli grobów, nie mieli krzyży...

– Panie poruczniku! – meldował Monahan.
– Zgodnie z rozkazem kazałem żołnierzom rozkładać się obozem.

– I wyznaczcie wartowników na noc. Połowa żołnierzy niech śpi, a połowa czuwa. Tak na wszelki wypadek.

– Indianie mogą wrócić?

– Powiedziałem, że na wszelki wypadek. Zrozumiano?

– Tak jest, panie poruczniku!

Sierżant wyprostował się służbiście, zaszalutował i krzyknął na żołnierzy, którzy skończyli już stawiać krzyże. Cała grupa ruszyła w stronę ognisk. Dzielne chłopaki, pomyślał Jamie. Nie można narzekać na żadnego z nich. Dostali dobrą szkołę w surowym, niebezpiecznym kraju Indian. Teraz potrafią skradać się bezszelestnie jak najlepszy indiański wojownik, strzelać z taką samą okrutną dokładnością i skutecznie używać srebrzystego noża.

Na początku wcale nie było łatwo. Musiał zważać na każdy krok. Żołnierze byli nieufni, szemrali między sobą, że nie godzi się, aby Reb awansował tak szybko. A w ogóle, to jak można Rebowi dawać broń do ręki. I prawie wszyscy byli pewni, że

z Indianami Jamie sobie nie poradzi. Dopóki kiedyś przy granicy nie natknęli się na wojowniczych Apaczów i Jamie miał okazję zademonstrować, w jaki sposób używa swoich koltów. Wieczorem usłyszał przypadkiem, jak jeden z żołnierzy opowiadał koledze o braciach Slaterach, Cole'u, Malachim i Jamie'em. Jakim postrachem byli podczas wojny, razem, cała trójka, i każdy z nich z osobna. A kiedy nadszedł ranek, Jamie Slater dla swych żołnierzy stał się już legendą.

Jamie, wpatrzony w ciemność, uśmiechnął się do siebie. Warto było się postarać. Teraz ma pod sobą ludzi lojalnych i najlepszych. Nikt i nic nie umknie uwadze wartowników. Można spokojnie zasnąć.

Ale jakoś wcale nie chce mu się spać. W głowie ma dziwnie niespokojne myśli, czy nie chcą się odebrać od tego wozu, stojącego nieco na uboczu, w pewnym oddaleniu od równych szeregów wojskowych namiotów.

– Ot i kłopot – mruknął Jon, jak zwykle wyrastając nagle jak spod ziemi.

– Wiesz co, Jon? Zamiast tych twoich pomrukiwań i aluzji, lepiej opowiedziałbyś mi coś więcej o tym całym von Heusenie.

– Proszę, proszę, a więc jednak jesteś ciekaw?

– Jednak. Bierzemy kawę, przejdziemy się kawalek i pogadamy.

Sierżant Monahan skwapliwie sięgnął po dzbanek z kawą, napełnił dwa kubki i już po kwadransie Jamie i Jon, każdy z kubkiem w ręku, docierali na szczyt wzgórza. Jamie wyszukał sobie duży płaski

kamień. Rozsiadł się wygodnie, opierając nogi na sąsiednim kamieniu i spojrzął w dół, na prerię. Wyglądała pięknie, cicha teraz, srebrzona poświatą księżycą, naznaczona cieniami krzewów o najbardziej fantastycznych kształtach. Obozowe ogniska błyszcząły złociście, a w dali na horyzoncie, na tle rozgwieżdżonego nieba, majaczyły sylwety gór.

Jon przykucnął obok Jamie'ego. I to on odezwał się pierwszy.

– Ona nie kłamie.

– Skąd wiesz?

– A wiem, bo o tym von Heusen ludzie gadają od dawna. Podczas wojny był daleko stąd, na północy i tam się bogacił. Miał swoje sposoby. Nazywali go bydłęcym baronem. Kiedyś rząd zlecił mu dostarczanie mięsa do rezerwatu Siuksów Ogłala. Von Heusen kazał zawieźć im to mięso, owszem, tyle że podziurawione przez robaki jak sito. Takie mięso, którego sam nie dałby nawet świniom. Indianie wysłali do niego posłów, chcieli sprawę wyjaśnić, a on ogłosił to buntem i niebawem każdy ranczer w okolicy ruszył do walki z Indianami. Zginęły wtedy setki ludzi, czerwonych i białych. I nie wiadomo, dlaczego. A von Heusen nigdy nie został za to pociągnięty do odpowiedzialności.

Jamie spojrzął w dół, na szczątki wozów.

– No tak – mruknął. – Czyli to rzeczywiście kanalia. A teraz ponoć uparł się na Wiltshire. Jon, zrozum, nawet gdybym uwierzył pannie Stuart, i tak niczego nie mogę zrobić. Nie mam dowodów, a to sprawa zbyt poważna, żeby uwierzyć na słowo.

– Czyli fatalnie, Jamie. Bo zdajesz sobie sprawę, że von Heusen nie cofnie się przed niczym i dziewczyna, kiedy wróci do Wiltshire, długo już nie pożyje.

– Nie przesadzaj, Jon. Przecież ten von Heusen nie może, ot tak sobie, zamordować białej kobiety! Miałby całe miasto na karku. Do diabła, przecież chyba wszystkich tam sobie jeszcze nie kupił!

– Szeryfa już kupił, to wiem. A poza tym von Heusen nie musi jej mordować na oczach wszystkich. On wie, jak taką sprawę załatwić bardzo dyskretnie.

– A niech to wszyscy diabli!

Jamie wstał i energicznie otrzepał kapeluszem spodnie.

– Co teraz zrobimy? – spytał Jon.

– Wracamy do fortu.

– A co dalej?

– Zobaczymy.

Jon wstał.

– Jamie, jeśli zdecydujesz się odwieźć tę dziewczynę do domu, jadę z tobą.

– Nie mam zamiaru nikogo nigdzie odwozić. A poza tym, niezależnie od wszystkiego, mam dziwną pewność, że moje towarzystwo pannie Stuart nadzwyczaj nie odpowiada.

Jon naciągnął swój kapelusz głębiej na czoło.

– Spokojnie, Jamie! Sam dobrze wiesz, że człowiek nie zawsze wie, co w danym momencie jest mu najbardziej potrzebne.

Uśmiechnął się i szybkim krokiem zaczął schodzić

w dół, do obozowiska. Jamie został na zboczu, miał zamiar czuwać z pierwszą grupą wartowników. Po kilku godzinach nastąpiła zmiana warty. Na zboczu pojawił się sierżant Monahan i Jamie zszedł do obozu, do swego namiotu. Nareszcie mógł zasnąć, a kilka godzin snu przydałoby mu się bardzo. Niestety, oczy wcale nie chciały się zamknąć. I nie była to kwestia twardego posłania, nieraz zdarzyło mu się nocować w warunkach jeszcze bardziej spartańskich.

To ona nie dawała mu zasnąć.

Ta kobieta o drobnej twarzy, ginącej wśród obfitości miedzianych, a właściwie złocistobrązowych włosów. Jest teraz sama, w tym wozie, jakieś sto jardów stąd. Śpi albo i nie śpi, tylko płacze gorzko. Twarz wtulona w poduszkę, ramiona drżą... A może też wcale nie płacze, tylko leży cicha, nieruchoma, próbując pogodzić się z tym, co się stało i skupić się na tym, co będzie dalej.

I ona głęboko wierzy w to, co mówi. Choć brzmi to tak nieprawdopodobnie. Jest święcie przekonana, że na te wozy napadli biali ludzie przebrani za Indian.

Jamie jęknął i załonił sobie twarz poduszką. Do diabła! Prawdopodobne czy nie, wyraźnie dała mu do zrozumienia, że z jego strony nie oczekuje żadnej pomocy. I niech tak już zostanie. Jamie Slater wobec tej obcej kobiety nie ma żadnych zobowiązań.

Jamie odsłonił twarz. Nie. On tego tak nie zostawi. Trzeba dojść prawdy. To jedyne, co można jeszcze zrobić dla tych nieszczęsnych ludzi, pomor-

dowanych w tak okrutny sposób. I należy to uczynić ze względu na Komanczów, na nich bowiem ciąży straszliwe podejrzenie. A także ze względu na wszystkich ludzi, którzy mogą jeszcze zginąć, jeśli tej sprawy nie wyjaśni się do końca.

Tess przysnęła na krótko. Obudziła się jeszcze przed świtem, od razu przytomna, z głową pełną koszmarnych obrazów i strasliwą rozpaczą w sercu. Chciała krzyczeć, krzyczeć bardzo głośno, ale krzyk nie miał sensu, nie przyniósłby ukojenia, tylko rozdarł jej serce jeszcze bardziej. Pozwoliła sobie tylko na płacz. Płakała gorzko, poduszka była cała mokra od słonych łez, aż oczy więcej już tych łez dać nie mogły. Zrobiły się suche, jak preria spalona słońcem, jak liście dzikiej szafwii, wyschnięte na wiórek.

Potem długo patrzyła na drugie posłanie, posłanie, na którym wuj Joseph nigdy już się nie położy. Wuj Joseph na zawsze spoczął w suchej ziemi Teksasu. Może ktoś kiedyś wygrzebie jego kości i ten ktoś nie będzie wiedział, że to szczątki dzielnego człowieka, który rzucił się do walki, choć osłabłe z wiekiem ręce z trudem udźwignęły strzelbę. Joe taki był. Nigdy się nie poddawał, nigdy nie dawał się zastraszyć. W swojej gazecie, *Wiltshire Sun*, zawsze drukował prawdę, całą prawdę. I twar-do trzymał w garści to, co należało do niego.

Dlatego zginął.

Tess usiadła, nałożyła buty i jak najciszej wysunęła się ze swego wozu. Ogniska dogasały, do świtu

niedaleko. Żołnierze spali w swoich małych trójkątnych namiotach, część z nich trzymała wartę, przechadzając się po skalistym zboczu.

Pilnują. Bo kto wie, czy Indianie tu jeszcze nie wrócą... Indianie!

Tess z całej siły zacisnęła zęby, aby powściągnąć gniew. Oni myślą, że oszalała. A to on oszalał, ten jankeski porucznik, co cedzi słowa z miękkim południowym akcentem. O, tak, tego dżentelmena należałoby związać i posadzić na mrowisku!

Szła pod niebem już szarzejącym, już szykującym się do nadejścia nowego dnia. Szła ku grobom. Przystanęła przy tym jednym, najdroższym, zamknęła oczy. Chciała się pomodlić, ale usta nie szeptały modlitwy, tylko najczulsze pożegnanie. I twardą obietnicę.

Zegnaj, wuju Joe. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę mogła wrócić tutaj, by pomodlić się na twoim grobie. Ale ja nigdy, przenigdy o tobie nie zapomnę. Kocham cię, wuju Joe. Zawsze będę miała przed oczami twoją srogą twarz, siwą brodę i złamany nos, dla mnie twarz najpiękniejszą i najukochańszą. I nigdy nie zapomnę, czego mnie nauczyłeś. Ciało to tylko marna powłoka. Dusza jest najważniejsza. Będę to pamiętała przez całe życie.

Śpij spokojnie, wuju, śpij snem wiecznym. Byłeś taki dzielny, taki nieugięty. Zginąłeś w walce. A ja tej walki nie zaprzestam. Przysięgam. Ja nie ustąpię. Gazeta nadal będzie wychodziła, a ziemi nie oddam, nie oddam. Nie wiem, jak to zrobię, ale na pewno się

nie ugnę. Przysięgam ci, wuju, na wszystkie świętości...Śpij spokojnie, kochany wuju...

Nie była sama, ktoś przyszedł, ktoś też szukał chwili zadumy przy grobach.

Porucznik. Stał parę kroków dalej, cichy, nieruchomy, wpatrzony w odchodzącą noc. Wysoki, prosty i taki silny. Podczas szamotaniny w wozie poznała już siłę tych szerokich ramion. O, tak. Ten mężczyzna jest silny jak puma, i tak jak puma nieprawdopodobnie zwinny i szybki. A jego twarz przykuwa wzrok. Ogorzała, o mocnych, zdecydowanych rysach. Dumna twarz. Twarz prawdziwego dowódcy.

Piękny mężczyzna. Porywający.

Ale niestety... Ten właśnie mężczyzna lekceważy ją i nie chce dać wiary jej słowom. Nie wierzy Tess Stuart, która spędziła tu całe życie i niepodobna, żeby nie odróżniła ludzi von Heusena od prawdziwych Komanczów. I chodzi tu nie tylko o ubranie czy kolor skóry. Komanczowie to zupełnie inny rodzaj ludzi niż ci, którymi otacza się von Heusen. Komanczowie mają zasady moralne i poczucie honoru.

– Cóż pan tu robi, poruczniku? – spytała, zdecydowana nie opuszczać dumnie uniesionej głowy ani o centymetr.

– Usłyszałem, że pani tu idzie. Nie chciałem przeszkadzać, chciałem tylko upewnić się, że z panią wszystko w porządku.

Koniec dostojeństwa. Nagle poczuła, że włos jej się jeży na karku jak u rozwścieczonego wilka. Dobrze sobie! Ten piękniś jest zaniepokojony, czy na w pół obłąkana panna Stuart nie straciła rozumu do końca!

– Panno Stuart, proszę posłuchać...

– Nie, to niech pan posłucha, poruczniku! Pan ma swoje zdanie, ja swoje i nic nie wskazuje na to, że dojdziemy do porozumienia. A co do mojego samopoczucia, to dziękuję, wzięłam się w garść. I czuję się bezpieczna, podejrzewam, że nawet fretka nie dałaby rady tu się wślizgnąć. Pańscy ludzie strzegą obozu bardzo pilnie. Nic dziwnego! Ta wasza jankeska dyscyplina... – Uśmiechnęła się ironicznie.

Porucznik nie odezwał się, ale w jego oczach coś groźnie błysnęło. No cóż... Oboje przeżyli wojnę, a Północ i Południe nie pokochają się tak prędko.

Nie chodziło jej wcale o pielęgnowanie nienawiści do ludzi Północy. Wojna była straszna i tak dobrze było usłyszeć, że nareszcie koniec i nikt już nie będzie musiał umierać. Ale wtedy pojawili się *carpetbaggerzy*. Sępy, szakale, takie kanalie jak von Heusen. Czyhali na ziemię przyzwoitych ludzi, których jedyną wadą było to, że przez powojenną nędzę nie byli w stanie zapłacić podatków. A von Heusen to kanalia wyjątkowo bezwzględna. Kiedy upatrzył sobie jakieś ranczo, raptem bydło z tego rancza zaczynało zniknąć, a ranczer, gdy chciał kupić paszę, dostawał najgorszą, spleśniałą. Czasami zniikał sam ranczer.

Von Heusen nigdy nie jeździł sam, zawsze towarzyszyli mu ludzie z bronią. I to oni, jego najemnicy, pomalowali się na brązowo, nałożyli spodnie z jeleńiej skóry, uzbroili w strzelby i tomahawki i napadli na wozy Josepha Stuarta.

A ten jankeski porucznik uważa, że wszystko to jest wytworem fantazji panny Stuart...

– Pan wybaczy, panie poruczniku.

Ruszyła przed siebie bardzo szybkim krokiem. Chciała go jak naprędzej wyminąć, ale nagle poczuła na łokciu silne palce i musiała przystanąć. Gniewnie spojrzała w oczy porucznika. Te oczy... Ocienione rondem kapelusza spoglądały z tak wysoka... Oczy szare, jasne, jak szarość dymu.

– Panno Stuart, chciałbym, żeby pani wiedziała... Ja bardzo boleję nad tym, co tu się wydarzyło, nad tym, co pani musiała przeżyć.

Chciała coś odpowiedzieć, ale w gardle nagle zrobiło się sucho. Bo te oczy, no i te palce zaciśnięte na jej łokciu... Te palce wydają się dziwnie gorące...

– Ja... dziękuję, panie poruczniku.

Jakoś dała radę to z siebie wydusić. A z dostojęństwem koniec. Panna Stuart odwróciła się na pięcie i po prostu uciekła.

Za niecałą godzinę oddział gotów był do wymarszu. Porucznik Slater rozkazał spalić zdemolowane wozy. O mały włos nie wrzucono do ognia prasy drukarskiej. Uniemożliwiła to panna Stuart, która natychmiast wyskoczyła ze swego wozu i zażądała, głosem wcale nie łagodnym i modulowanym, aby prasę przeniesiono na cokolwiek, co jest w stanie posuwać się do przodu.

– A co to w ogóle za maszyna? – spytał porucznik niecierpliwym głosem.

– Drukarska! To jest prasa drukarska! Potrzebna mi do *Wiltshire Sun*!

34 *Heather Graham*

– A, czyli gazety pani wuja? Przecież wuj pani nie żyje, panno Stuart.

– Ale *Wiltshire Sun* nie umarło i ja wcale nie mam zamiaru pozwolić, żeby tak się stało! Bez tej prasy nie ruszę się stąd ani na krok!

W szarych oczach porucznika zapaliły się niebezpieczne, srebrzyste iskierki.

– Pani mi grozi, panno Stuart?

– Wcale nie grozę. Ja tylko uprzedzam.

Porucznik zbliżył się o krok.

– Ja też uprzedzam, że pani i tak pojedzie, bo ja osobiście wrzucę panią do wozu! A na koźle posadzę kóregoś z moich żołnierzy.

– Niech pan nie waży się mnie dotykać! Ja i tak nie ustąpię! A pańscy przełożeni dowiedzą się o pańskim zachowaniu wobec dam.

– Może im pani mówić, co pani chce! I niby dlaczego tak się pani upiera, żeby zabrać stąd tę prasę?

– Bo ja jej naprawdę bardzo potrzebuję.

W nieruchomej twarzy porucznika nie drgnęła nawet powieka. A głos Tess złagodniał, pojawiła się w nim nutka błagalna.

– Panie poruczniku, pan nawet sobie nie wyobraża, ile ta prasa dla mnie znaczy. Nie wolno jej niszczyć. Panie poruczniku, ja pana bardzo proszę. Pańscy ludzie zdążą załadować ją w kilka minut.

Nastąpiła chwila pełna napięcia. Porucznik wpatrywał się w Tess nieruchomym wzrokiem, ona wstrzymywała oddech. Wreszcie padł upragniony rozkaz:

– Sierzancie! Wyznaczcie kilku ludzi, niech załadują prasę na któryś z wozów, jeszcze w miarę do użytku. Szeregowy Harper, wy będziecie powozić! Swojego konia przywiążecie z tyłu wozu!

– Tak jest!

Tess odetchnęła, bardzo głęboko odetchnęła. Porucznik obdarzył ją jeszcze jednym spojrzeniem, naturalnie bez cienia sympatii, po czym dosiadł swego olbrzymiego deresza i już z siodła krzyknął do żołnierzy, żeby sprawdzili jeszcze raz, czy ogniska wygasły.

Deresz ruszył galopem.

A Tess zauważyła, że przystojny, zielonooki pół-Indianin przygląda jej się z wielką uwagą. Nagle uśmiechnął się do niej, jakby dawał do zrozumienia, że całkowicie aprobuje jej zachowanie. Nawet zasalutował. Potem nieprawdopodobnie zwinnie wskoczył na swego konia i ruszył w ślad za porucznikiem.

Tess była pewna, że kawalerzyści, przyzwyczajeni do szybkiej jazdy, tym pochodem wcale nie są zachwyceni. Niestety, muł nie jest zwierzęciem ręcznym i dwa wozy, jeden z Tess, drugi z prasą drukarską, znacznie opóźniły tempo. Oddział po prostu włókł się noga za nogą przez krainę piękną i wyjątkowo monotonną, gdzie nie było niczego, oprócz wyschniętej, jasnobrązowej ziemi i pokrytej pyłem zieleni szafwii i kaktusów.

Panna Stuart postanowiła twardo, że na nic nie będzie się uskarżać. Niebawem jednak wielogodzinne powożenie zaczęło dawać się jej we znaki. Cała

była pokryta pyłem, ręce bolały nawet w takich miejscach, gdzie, ku jej zaskoczeniu, też musiały być jakieś mięśnie. Trzymała się jednak twardo, choć mogła przecież pozalić się tym miłym żołnierzom, którzy co i rusz podjeżdżali do wozu i pytali, czy niczego jej nie potrzeba. Za każdym jednak razem, gdy któryś z nich podjeżdżał, kawałek dalej, w tle, pojawiał się porucznik Slater. Tess uśmiechała się więc słodko i gorąco zapewniała, że czuje się wyśmienicie.

Przecież w końcu kiedyś muszą się zatrzymać.

Nareszcie. Kiedy słońce zaczęło już chylić się ku zachodowi i całe niebo poróżowiało, porucznik Jamie Slater gromkim głosem zarządził postój. Do wozu Tess natychmiast przygalopował sierżant Monahan.

– Panno Stuart! – zawołał, zeskakując żwawo z konia. – Pani pozwoli, pomogę pani wysiąść.

– Och, dziękuję. Nie trzeba, naprawdę...

A jednak trzeba było, bo po zejściu z wozu zachwiała się. Na szczęście silne ramię sierżanta uchroniło ją przed upadkiem. Porucznik znajdował się, naturalnie, bardzo niedaleko. I zapewne myślał sobie drwiąco, że panna Stuart, niby taka dzielna, bardzo skwapliwie korzysta z pomocy silnych męskich ramion. A co tam! Do diabła z porucznikiem! Jeśli jego ludzie chcą zachować się, jak na dżentelmenów przystało, to niby dlaczego im na to nie pozwolić.

– Dziękuję, sierżancie. Pańska pomoc okazała się niezbędna.

– Zawsze do usług! Teraz wyprzęgnę pani muły. A jechaliśmy tak długo, panno Stuart, bo porucznik chciał dojechać do strumienia. My znamy to miejsce. Strumień płynie tam, za tym żlebem. Woda w nim jest przezczysta. Konie poimy kawałek dalej, jeśli więc ma pani ochotę skorzystać z tego zakątka, nikt nie zakłóci pani spokoju.

– Dziękuję, sierżancie, bardzo dziękuję. Nie ma pan pojęcia, jak marzę o kąpieli.

Zapominając o zmęczeniu, szybko wskoczyła z powrotem do wozu po czyste ubranie, mydło i ręcznik. Gotowa była w kilka minut. Sierżant Monahan wskazał dokładniej, jak dojść do strumienia i Tess natychmiast zaczęła wspinać się na zbocze. Po drodze zauważyła kilku żołnierzy zmierzających w przeciwnym kierunku. Cudownie, a więc dyskrecja rzeczywiście zapewniona.

Zadyszała się porządnie, ale kiedy dotarła na żleb i spojrzała w dół, westchnęła z zachwytem. Miejsce jak z bajki. Strumień szemrzący, czyściutki, pracowicie torujący sobie drogę wśród skał. Na brzegu, między kamieniami, kępy zielonej trawy i dzikie kwiatki, które znalazły tu dla siebie odrobinę ziemi. W górze niebo z zachodzącym słońcem, pomalowane różowością i złotem. A ta woda kryształowa, zimna zapewne, ale jakże błogosławiona, pozwoli z siebie brud po całodziennej podróży.

Przysiadła na dużym płaskim kamieniu, szybko uporowała się ze sznurowadłami i zsunęła buty. Wstała i po chwili kamień zasłany był garderobą. Bluzka, spódnica, gorset, pantalony i pończochy.

Naga jak nimfa weszła do wody, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że w tym skalistym zakątku wcale nie jest sama.

Kawałeczek dalej, pod występem skalnym, siedział sobie porucznik. W rozpiętej koszuli, bosy, klnąc w duchu, bo sposobność do kąpieli umknęła mu przed nosem. Poza tym był jak najdalszy od podglądania panny Stuart. Ale ona rozebrała się tak szybko, a on był jej widokiem tak zafascynowany, że po prostu nie miał siły się wycofać.

Musiał patrzeć. Na tę nimfę, zrodzoną niespodzianie ze spiekoty i bezkresu prerii. Nimfę utoczoną z alabastru. Kibić miała wążusieńką, prześliczne, krągłe pośladki, a nogi długie i smukłe, jak z marzeń o najbardziej długonogich istotach. Złocista kaskada włosów opływała jej ramiona, ukrywała piersi. Ukrywała – i kusiała.

Porucznik jęknął cicho i mocniej wparł się plecami w skalistą ścianę.

Tess, nieświadoma towarzystwa, całą duszą oddała się rozkoszy kąpieli. Ściskając w rękę kawałek mydła, przeszła ostrożnie kawałek po nierównym kamienistym dnie. Doszła do miejsc głębszych, zanurzyła się i popływała troszkę, uważając, aby nie zahaczyć o podwodne skałki. Potem mokrusieńka, ociekająca wodą, stanęła na kamieniu, namydliła się od stóp do głów i znów zanurzyła w wodzie. Złocista głowa kilkakrotnie zniknęła pod srebrzystą taflą i w końcu Tess, usatysfakcjonowana, wróciła do miejsca, gdzie zostawiła swoje rzeczy.

Wytarła się dokładnie, wcale jednak nie zamie-

rzała się jeszcze ubierać. O, nie. Rozsiadła się wygodnie, oparła plecami o nagrzaną słońcem skałę i przymknęła oczy. Czuła się rozkosznie. Strumień szemrał cichutko, promienie zachodzącego słońca pieściły jej ciało.

Otworzyła oczy i aż się skuliła. Chryste, to nie może być prawda...

Nieco wyżej, na występie skalnym, stał porucznik Slater. W rozchełstanej koszuli, bosi, wzrok nadzwyczaj skupiony. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, nie, wrzasnąć!

Nagle padł strzał.

Nigdy w życiu nie widziała, żeby ktoś sięgał po broń tak szybko, nigdy w życiu nikt przy niej nie strzelał tak blisko, z taką furją.

Nie była w stanie krzyknąć, na chwilę zresztą przestała oddychać, po czym przede wszystkim odwróciła się, żeby sięgnąć po ręcznik. A za ręcznikiem, jakiś metr dalej, leżał wąż, który niewątpliwie przed ułamkiem sekundy stracił życie. Grzechotnik.

Spojrzała na porucznika, niezdolna cokolwiek powiedzieć. On też milczał, tylko jego szary wzrok przemknął po jej nagim ciele. Szybko, ale jakoś tak niezmiernie uważnie i dopiero po chwili odezwał się bardzo oschłym głosem:

– Powinna była pani bardziej uważać, wybierając sobie skałę na odpoczynek.

Wsunął kolta do olstra, podszedł szybko do Tess i podał jej ręcznik. Ktoś biegł, zapewne zaniepokojony odgłosem wystrzałów. Tak też i było. Ledwo

zdążyła się zastłonić, a zza skały wynurzał się już zadyszany szeregowy.

– Poruczniku! Słyszałem strzały!

– Wszystko w porządku, Hardy. To tylko grzechotnik. On do nas strzelać nie będzie. Coś jeszcze?

Szeregowy Hardy jakby nabrał wody w usta. Jego oczy, szeroko otwarte, utkwione były w pannie Stuart, ledwo ledwo przesłoniętej ręcznikiem. Tylko ręcznikiem.

– Szeregowy Hardy! – ryknął porucznik. – Odmaszerować!

– Tak jest!

Szeregowy wyprężył się i śmignął za skałki. Porucznik elegancko uchylił przed panną Stuart kapelusza i nieśpiesznym krokiem ruszył przed siebie brzegiem strumienia. Tess, zarumieniona po białka oczu, odprowadzała go wzrokiem. Nie mogła nie zauważyć, że porucznik podąża w kierunku płaskiego kamienia, na którym stoją duże, męskie buty, obok leżą skarpety. A więc porucznik był tu przez cały czas, był świadkiem jej rozkosznych ablucji...

Rzuciła się do swego ubrania. Ręce drżały jak w febrze, z trudem udało jej się zasnurować gorset obszyty różową lamówką. Guziczki bluzki pozapinała dopiero za drugim podejściem. Kiedy w końcu jej ciało znów było skrzętnie zakryte, zerknęła nieśmiało w stronę, w którą udał się porucznik Slater.

Wielkie nieba! On wcale nie zniknął. Siedział sobie, z nogami zanurzonymi w wodzie, czekając zapewne, aż ona stąd pójdzie.

– Robi się już ciemno, panno Stuart!

– Ciemno! – prychnęła i zakławszy w duchu siarczyście, prawie biegiem opuściła feralne miejsce. Wspięła się po skałkach jak kozica, sfrunęła po zboczu i jednym susem wskoczyła do swego wozu. Przysiadła na posłaniu, objęła się mocno ramionami i zamknęła oczy.

O, do diabła! O, do diabła! Nadal czuła na sobie jego wzrok, nadal czuła się, jakby była naga. I ten żar, żar w środku. Niepojęte... Cóż to szare spojrzenie uczyniło z jej ciałem....

– Panno Stuart?

Z tyłu wozu ukazała się uśmiechnięta twarz sierżanta Monahana.

– Słucham, sierżancie?

– Prawda, że tak ładnego strumienia to pani jeszcze w życiu nie widziała?

– O, tak. Uroczy zakątek.

Niestety, na tym nie koniec pogawędki. Wieść o strzałach nad strumieniem rozeszła się szeroko. Obok sierżanta pojawił się następny bardzo przejęty kawalerzysta.

– Monahan, wiesz, co mówił Hardy? Pannę Stuart omal nie zaatakował grzechotnik, mokasyn. Na szczęście w pobliżu był porucznik i posłał gada prosto do piekła. Panno Stuart, na Boga, to śliczny strumień, ale trzeba zawsze mieć się na baczności. Nam wszystkim bardzo zależy, żeby pani nic złego się nie przytrafiło.

– Jestem bardzo wdzięczna za troskę – odparła gładko Tess, czując, że jej twarz płonie. Bo wszyscy

już wiedzą, co wydarzyło się nad tym prześlicznym strumieniem. Nie wiedzą tylko o jednym. O tym, jak ciało panny Stuart rozgorzało pod spojrzeniem szarych oczu porucznika.

– Panno Stuart – odezwał się Monahan. – Nasze racje żywnościowe nie są zbyt obfite, ale jednemu z chłopaków udało się złowić kilka pstrągów. Pozwoli pani się ugościć? Przyniosę też kawę...

– Dziękuję, sierzancie. To bardzo miło z pana strony.

Sierzant zjawił się niebawem z talerzem wyładowanym po brzegi, za sierżantem sunął szeregowy z kawą. Tess ochoczo zabrała się za posiłek, którego nie dane jednak jej było spożyć w spokoju. Wyglądało na to, że każdy z czterdziestu kawalerzystów pragnie przekonać się naocznie, czy panna Stuart rzeczywiście czuje się dobrze i wszystkie jej potrzeby zostały zaspokojone.

Dziękowała im jak najuprzejmiej, każdemu z osobna, a kiedy nadeszła noc i w obozie zapadła cisza, Tess ułożyła się na swoim pośłaniu, zamknęła oczy i uśmiechnęła się. No, proszę, niby Jankesi, a jacy dobrzy, życzliwi ludzie. Tacy też istnieją, choć świat pełen jest łajdaków, takich jak von Heusen. Z łajdakami trzeba walczyć. A Tess Stuart nie ustąpi. Nie odda ani jednego akra, a *Wiltshire Sun* nadal będzie się ukazywać regularnie.

– Panno Stuart?

Głos, niestety, dobrze już znajomy. Nie odpowiadać? Bez sensu. Porucznik Slater na pewno wyczuwa, że ona nie śpi. Po cóż więc robić z siebie idiotkę.

– Słucham, poruczniku.
– Chciałem się upewnić, czy z panią wszystko w porządku.

– W najlepszym.

– Niczego pani nie potrzeba?

– Nie. I proszę w to nie wątpić!

Na chwilę zapadła cisza. Nadzieja, że odszedł, była płonna. Stał koło wozu i Tess była pewna, że na twarzy porucznika gości teraz uśmiech.

– Pani mi nie podziękowała, panno Stuart! A ja uratowałem pani życie.

– O, tak, rzeczywiście. Ogromnie jestem panu wdzięczna.

Dopiero po sekundzie zdała sobie sprawę, że odruchowo wstała z posłania i przesuwa się na tył wozu, tam, gdzie stoi porucznik.

Wychyliła się z wozu, jej głos był teraz bardzo miły, melodyjny jak harfa.

– Czy mógłby pan tu bliżej podejść?

Podszedł, a jakże. Zrobił ten nieopatrzny krok i dłoń Tess błyskawicznie plasnęła go w policzek. Prawie natychmiast złapał ją za rękę. Palce zacisnęły się jak imadło, oczy błysnęły gniewnie i w sercu Tess pojawiła się obawa, czy krewkiemu porucznikowi nie przyjdzie ochota wyciągnąć ją z wozu i cisnąć o ziemię. Mimo to udało jej się wygłosić głosem wysokim i dźwięcznym:

– Bardzo jestem panu wdzięczna za ocalenie mi życia, tym niemniej okoliczności temu towarzyszące były naganne.

Starła się wyrwać rękę. Na próżno. Jego palce

zaciśnieły się jeszcze mocniej, szare oczy, mogłyby przysiąć, miałyby błyskawice.

– Pani ma szczególny sposób okazywania wdzięczności, panno Stuart! A ja nie mam sobie nic do zarzucenia. Zanim zdążyłem pomyśleć, pani była już całkowicie naga. Postanowiłem więc nie ujawniać swojej obecności, zdając sobie sprawę, jak byłoby to dla pani krępujące. A zresztą, szczerze mówiąc, widok pani sparaliżował mnie i wręcz odjął mi mowę.

– Odjął mowę!

Szarpała ręką wściekle. Porucznik jeszcze przez sekundę nie puszczał jej dłoni. Potem bardzo powoli rozluźnił palce.

– Dobrej nocy, panno Stuart!

Odszedł. Już go prawie nie widziała, prawie znikł w ciemnościach, ale jeszcze coś powiedział. Niegłośno, więc nie usłyszała.

– Słucham, poruczniku?

– Panno Stuart?

– Co?!

– Pani jest bardzo piękną kobietą. Bardzo piękną.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dwa dni później dojeżdżali do fortu.

Był to typowy fort wojskowy w kraju Indian, otoczony solidną palisadą z ciemnych grubych bali, wysokich na co najmniej kilka metrów. Wielka, drewniana brama otworzyła się przed nimi szeroko, a kiedy wjeżdżali do środka, ze wszystkich pomostów spoglądały baczne oczy wartowników w niebieskich mundurach.

Tess nie posiadała się z radości, że nareszcie dojechali na miejsce. Jej dłonie były w stanie zatrwajałym, pełne zgrubień i odcisków, mimo że przez całą drogę chroniły je skórzane rękawice wuja Josepha. A sama Tess była umęczona, spocona, z włosami w nieładzie, choć co rano zaplatała je w schludny warkocz. No cóż, powiedziała porucznikowi, że da sobie radę i porucznik pozwolił jej się wykazać.

Jego ludzie nadal byli uprzedzająco grzeczni, ona więc nadal odpłacała im słodkim uśmiechem

i miłym słowem. Porucznik natomiast zachowywał się z wielkim dystansem, tym niemniej bardzo często spoglądał na Tess. Właściwie to patrzył na nią bez przerwy. Czuła na sobie jego wzrok w dzień, kiedy poganiała nieszczęsne muły, i wieczorem, gdy któryś z żołnierzy spieszył do niej z jedzeniem i kawą. A w nocy słyszała kroki koło wozu i to na pewno były kroki porucznika. Zastanawiała się wtedy, po co on tak naprawdę przychodzi. Sprawdzić, czy ona śpi? A może na odwrót – przychodzi, bo ma nadzieję, że ona nie śpi?

Jednym słowem, stale była pod ostrzałem. Złościło ją to niełicho, ale jednocześnie czuła się bezpieczna. I to nie dlatego, że jechała w towarzystwie co najmniej czterdziestu kawalerzystów. Dlatego, że w pobliżu zawsze był porucznik.

A teraz... Teraz wjechali już do fortu i porucznik przekaże ją swemu dowódcy. Dowódca wyznaczy kogoś jako eskortę dla panny Stuart na czas jej podróży do Wiltshire. A porucznika już nigdy w swoim życiu nie zobaczy. Tego surowego mężczyzny, straszliwego służbisty, w mundurze zawsze zapiętym na ostatni guzik. Mężczyzny o oczach jasnoszarych jak dym, oczach, które potrafią spojrzeć, jak żadne inne oczy na świecie...

Podjechali pod kwaterę dowódcy. Tess zatrzymała muły, odłożyła lejce. Jon Czerwone Pióro stał już koło wozu, gotów pomóc przy wysiadaniu. Tess z ulgą oparła się na jego ramieniu. Spokój Jona, jego starannie wyważone słowa budziły w niej coraz większą sympatię. I dziwnie była pewna, że

pół-Indianin jej wierzy, choć jego porucznik jest odmiennego zdania.

Dookoła panował radosny gwar, ze wszystkich budynków, mniejszych i większych, wysypały się dzieci i kobiety. Zony, może i kochanki, wybiegły powitać swoich mężczyzn. Monahan dał rozkaz rozejścia, kawalerzyści złamali szyk, posiadali z koni. Porucznik Slater wszedł po schodach na szeroką werandę, obiegając dookoła kwaterę dowódcy, wyprężył się przed wysokim siwowłosym mężczyzną i zasalutował.

– Panno Stuart – odezwał się półgłosem Jon.
– Podejźmy tam. Pułkownik zapewne będzie sobie życzył, żeby pani od razu złożyła zeznania. A ja w tym czasie rozejrzę się za jakimś lokum dla pani na dzisiaj noc.

Pułkownik schodził już z werandy. Szybkim krokiem podszedł do Tess i ująwszy ją pod ramię, poprowadził ostrożnie po schodkach.

– Panno Stuart, proszę przyjąć ode mnie wyrazy najgłębszego współczucia z powodu tragicznej śmierci pani wuja.

– Dziękuję, panie pułkowniku – odparła Tess, czując bolesne ułtucie w sercu. Trudy podróży przez prerię przytłumiły ból, a teraz straszliwa prawda z całą ostrością stanęła jej przed oczami. Wuj Joseph, człowiek najbliższy i najukochańszy, odszedł na zawsze.

Stłumiła w sobie płacz, wyprostowała plecy. Nie, nie wolno przed tym obcym oficerem okazywać słabości. Wcale nie chce, żeby ktoś ją pocieszał

i głaskał po ramieniu. Tess Stuart chce, żeby dano wiarę jej słowom.

Wprowadzono ją do dużego gabinetu, z wielkim biurkiem na środku i mnóstwem przeszklonych szaf na książki i dokumenty. Stało tu również wiele prostych, drewnianych krzeseł. Porucznik podsunął jedno z nich. Tess usiadła, starając się uczynić to jak najbardziej dostojnie, powoli ściągnęła skórzane rękawiczki wuja Josepha i złożyła je na podolku. Cały czas czuła na sobie wzrok porucznika. Zapewne liczył pęcherze na jej dłoniach.

– Napije się pani kawy, panno Stuart? – uprzejmie zapytał pułkownik. – Obawiam się, niestety, że herbaty nie mamy.

– Dziękuję, napiję się kawy z wielką przyjemnością.

Młody kapral podszedł do niej z kubkiem czarnej kawy. Podziękowała i zapadła chwila nieco kłopotliwej ciszy. Pułkownik poprawił się w swoim krześle, chrząknął i oparłszy ręce o blat biurka, odezwał się głosem równie łagodnym jak jego niebieskie oczy, dziwnie nie pasujące do munduru, który nosił i wysokiej rangi.

– Panno Stuart, zgodnie z tym, co przekazał mi porucznik Slater, twierdzi pani, że to nie Indianie napadli na wasze wozy.

– Nie, nie Indianie.

– W takim razie, kto?

– Biali. Ludzie wynajęci przez człowieka o nazwisku Richard von Heusen. On próbuje zdobyć ziemię mojego wuja.

– I ten człowiek, żeby zdobyć ziemię pani wuja, napada na jego wozy? Panno Stuart, proszę się zastanowić, czy brzmi to logicznie.

– Ale tak było, panie pułkowniku. To nie byli Indianie. Zresztą my z Komanczami z okolicy zawsze żyliśmy w zgodzie. Mój wuj wcale ich się nie bał, dlatego zabrał ze sobą w podróż tylko kilku ludzi, którzy u niego pracowali.

– To wcale nie musieli być Komanczowie, panno Stuart, tylko jakaś przypadkowa gromada Apaczów, szukających łatwych łupów. Albo Szoszeni, którzy zeszli z gór, może Siuksowie...

– Nie. To nie byli Indianie.

Od drzwi dobiegł cichy szmer. Do gabinetu wsunął się Jon Czerwone Pióro. Nalał sobie kawy do cynowego kubka, przysiadł na krześle.

– Panie pułkowniku – odezwał się swoim spokojnym głosem. – Panna Stuart pochodzi z tych stron i rozpoznałaby Komanczów bez trudu. I to nie byli Apacze, bo oni skalpują tylko Meksykanów, z zemsty. A Siuksowie... Siuksowie nie zostawiliby panny Stuart żywej.

Pułkownik westchnął i z wyraźnym powątpiewaniem pokręcił głową. Czyli mimo poparcia Jona pułkownik wcale nie był skłonny uwierzyć w wersję wydarzeń przedstawioną przez Tess.

– Panno Stuart – odezwał się po chwili. – Słyszałem o von Heusenie. Podobno to człowiek bardzo majątny i ustosunkowany. Czy to prawda, że połowa Wiltshire należy do niego?

– Więcej niż połowa, panie pułkowniku. I nie

tylko miasto jest von Heusena. Także ludzie. Szeryf i sędzia na pewno.

– To bardzo poważne oskarżenie.

– Wiem.

– W takim razie powinna pani zwrócić się do sądu w Wiltshire... No tak, ale pani twierdzi, że sędzia....

Głos pułkownika zamierał, zdawał sobie przecież sprawę, że w świetle tego, co usłyszał, jego słowa zabrzmiały nadzwyczaj nielogicznie.

– A dlaczego pani po prostu nie wróci na Wschód?

– Na Wschód?! – krzyknęła Tess, zrywając się z krzesła. Opanowała się jednak, jej głos przycichł, choć stał się bardzo chłodny. – Wrócić? Ja nigdy nie byłam na Wschodzie, panie pułkowniku. Urodziłam się w Teksasie. Moi dziadkowie, razem z innymi osadnikami, zakładali Wiltshire. A teraz ten jedyny kawałek miasta, który jeszcze nie należy do von Heusena, jest moją własnością. I ja swojej ziemi nie opuszczę. Nigdy. Przykro mi, panie pułkowniku, ale nie mam już nic więcej panu do powiedzenia. Ale mam do pana prośbę. Ostatnie dni dały mi się we znaki i byłabym bardzo wdzięczna, gdybym mogła zatrzymać się w forcie na jedną noc lub dwie, zanim ruszę w drogę powrotną do Wiltshire.

Pułkownik również powstał, a za jego przykładem Jon i porucznik Slater. Porucznik, oczywiście, wpatrzony w Tess. Pewnie śmieje się z niej w duchu. Chociaż...Wyraz jego oczu świadczył o czymś innym. Spoglądał z powagą, z zadumą

prawie, a więc może nareszcie zasłużyła sobie na jego uznanie, ale Bóg z nim, niech sobie myśli, co chce. Jest jej już wszystko jedno. Ostatnią nadzieją był pułkownik, teraz nadzieja prysła. Wygląda na to, że Tess Stuart swoją bitwę z von Heusenem będzie toczyć w pojedynkę.

– Panie pułkowniku, panna Stuart może zatrzymać się w dawnej kwaterze Caseyów – powiedział Jon. – Casey nie żyje, jego żona z dziećmi wróciła na Wschód. Kwatera stoi pusta, Dolly Simmons już tam poszła z ręcznikami i pościelą.

– Świetnie! Jamie, odprowadź razem z Jonem pannę Stuart do jej kwatery. Panno Stuart, ponieważ zamierza pani wracać do Wiltshire, dam pani, naturalnie, eskortę.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

Jon otworzył drzwi, Tess z szumem spódnicy przestąpiła przez próg. Wyszli na dwór. Jon prowadził, milczący porucznik kroczył z tyłu.

– Tu jest największy sklep – objaśniał po drodze Jon. – A tu piwiarnia, jedyna zresztą w forcie i, niestety, daleko jej do tego, żeby nazwać ją saloonem. Dla dam jest kawiarnia, tam, kawałek dalej. W forcie przebywa wiele kobiet. Pułkownik pozwala, żeby żołnierze przywozili tu swoje żony. To duży fort, solidny i bezpieczny. A poza tym, ponieważ są tu sklepy, piwiarnia i kawiarnia, w forcie gościmy też kilka młodych dam, osoby bardzo pożądane, na przykład wtedy, kiedy odbywają się tańce.

– Tańce?

– Dlaczego nie, panno Stuart? Nie chcemy zapominać o cywilizacji nawet na takim odludziu.

– To już dom Caseyów – oznajmił porucznik, wysuwając się do przodu. Wszedł szybko po schodkach, prowadzących do drzwi niewielkiego domku, przyklejonego do nieco większego budynku. Nie zdążył jednak zapukać, bo drzwi otworzyły się same. Na progu ukazała się bardzo wysoka i okazała istota płci żeńskiej, w wieku raczej trudnym do określenia. Twarz okrągła i świeża, włosy o barwie nieokreślonej, ni to jasne, ni to siwe. Ciemne oczy pełne ciepła, tak samo głos.

– O, dziecko drogie! Coś ty musiała przeżyć, biedactwo! Ci Indianie to...

– Panna Stuart twierdzi, że to nie byli Indianie – sprostował porucznik, ale Dolly machnęła niecierpliwie ręką. – Nieważne, kto! Najstraszniejsze, że biedna dziewczyna straciła wuja i poginęło jeszcze tylu ludzi. Bo to był twój wuj, tak, moje dziecko?

– Tak – potwierdziła cichutko Tess. – Wuj Joseph.

– Boże święty...

Dolly, objąwszy Tess ramieniem, wprowadziła ją do środka. Jon i Jamie skwapliwie podążyli śladem dam, co wzbudziło żywy protest Dolly.

– O, nie, panowie! Wy zajmowaliście się panną Stuart w podróży, teraz ja biorę ją w swoje ręce. Przygotowałam już kąpiel i dobre, domowe jedzenie, a potem ułożę to biedactwo do snu. Jej potrzebna teraz czuła, kobieca opieka, a nie towarzystwo dwóch kawalerów.

– Masz rację, Dolly – przytaknął porucznik Slater, uśmiechając się pod nosem. – Mam nadzieję, panno Stuart, że wypocznie pani należycie i poczuje się lepiej.

– A jakże, wypocznie, wypocznie – oświadczyła z pełnym przekonaniem Dolly. – I jeśli szczęście ci dopisze, Jamie, piękna panna do wieczora będzie świeżutka i zabierzesz ją sobie na tańce.

– A dlaczego niby ja? – mruknął porucznik.

– Oczywiście, że nie musisz to być ty! Na brak młodych mężczyzn nie możemy tu narzekać.

Tess czuła, że oblewa się szkarłatnym rumieńcem. Nie wiedziała, kogo ma ochotę szturchnąć mocniej – Dolly, która sprowokowała niezręczną sytuację, czy Jamiego z kwaśną miną, który zareagował tak, jakby towarzystwo Tess było mu nadzwyczaj nie w smak.

– Proszę się nie kłopotać – oznajmiła bardzo chłodno. – Jestem pogrążona w bólu i nie zamierzam iść na żadne tańce.

– Naprawdę? – spytał Jamie równie chłodno. Nie tylko spytał, ale minął przeszkodę w postaci Dolly, podszedł do Tess i chwyciwszy ją mocno za ramiona, spojrzał prosto w oczy. – Pani wuj, panno Stuart, był twardym człowiekiem i jestem pewien, że nie życzyłby sobie, aby pani pogrążyła się w bólu. On dobrze wiedział, że życie jest twarde i bardzo krótkie. Szkoda czasu na łzy. Żyje się także po to, żeby od czasu do czasu śmiać się, tańczyć i cieszyć, nie tylko walczyć.

– Aha. I pan porucznik jest tak łaskaw, że

postanowił nauczyć mnie takiego radosnego życia, tak? A mnie się wydaje, że to pan nie potrafi tak żyć i jest tylko sztywnym jankeskim manekinem.

– Czyżby? To może pani spróbuje przekonać się osobiście, jaki to ja jestem naprawdę?

– Jamie, ty teraz nie zaczepiaj panny Tess! – zirytowała się Dolly. – Ona jest znużona, nie ma siły się bronić.

O dziwo, i Tess, i Jamie spojrzeli na Dolly z jednakowym oburzeniem.

– Tak, tak, łagodna i bezbronna jak puma o ostrych zębach – wycedził Jamie.

– Nigdy nie ustępuję takim jak on! – zadeklarowała stanowczym głosem Tess.

Dolly zaniemówiła, Jon Czerwone Pióro, wyraźnie zachwycony, zaśmiał się cicho.

– Nic dziwnego, że biali ludzie nie lubią Indian – mruknął zjadliwie Jamie.

– Naturalnie. Bo za bardzo się od nich różnią – stwierdził pogodnie Jon, ruszając ku drzwiom. – Biały człowiek kłóci się z białym człowiekiem, to i łatwo go pokonać! Jamie, daj już spokój, idziemy. Wszystko uzgodnione. Przyjdiesz po pannę Stuart o zachodzie słońca.

– Nic nie zostało uzgodnione – zaprotestowała natychmiast Tess.

– Zostało. O zachodzie słońca – warknął Jamie i wyszedł.

Huknęły drzwi. Dolly podskoczyła, zaraz jednak uśmiechnęła się dobrotliwie.

– To kochany chłopak.

– Kochany? – mruknęła Tess, spoglądając ponuro na drzwi. – Wolne żarty.

– Przekonasz się o tym sama, młoda damo, przekonasz. A Jon to lubi wsadzić kij w mrowisko. Tym razem jednak jest chyba inaczej. On po prostu chce utrzyć nosa pannie Elizie. Ta pannica ma chrapkę na porucznika i kto wie, czy nie dopnie swego. Panien w forcie jest o wiele mniej niż kawalerów. Ale ona wcale do niego nie pasuje, wcale. Sama zobaczysz.

– Pani Simmons...

– Mów mi Dolly, dziecko. My tu nie jesteśmy tak oficjalni.

– A więc Dolly, posłuchaj. Ja wcale nie zamierzam iść na tańce z porucznikiem Slaterem. On mi się wcale nie podoba. Jest fałszywy, twardy jak stal, zimny jak lód...

– Może i twardy. Ale zimny... Oj, co to, to nie!

– Ale...

– Tess, kochanie, daj już spokój. Woda stygnie. Wskakuj do wanny, a ja w tym czasie naparzę ci mocnej herbaty. Jedzenie też zaraz będzie gotowe. Jak się wykąpiesz, opowiesz mi więcej o sobie, a ja nie poskąpię ci dodatkowych wiadomości o poruczniku Slaterze.

– Nie chcę już w ogóle o nim słyszeć – oświadczyła Tess, co też całkowicie rozmijało się z prawdą. Chciała wiedzieć o nim jak najwięcej, chciała wiedzieć o nim wszystko.

I bardzo chciała pójść z nim na te tańce. Zatańczyć z porucznikiem Slaterem.... Zamknąć oczy,

czuć, jak ją obejmują jego mocne ramiona. Na tym nie koniec pragnień, w sercu załęgło się jeszcze jedno, o wiele śmielsze pragnienie. Zobaczyć go takiego, jak nad strumieniem. Bosego, w rozchełstanej koszuli, dzięki czemu spalona na brąz szeroka, umięśniona pierś była tak doskonale widoczna...

Dzięki pomocy Dolly Tess błyskawicznie zrzuciła z siebie brudne ubranie i weszła do wanny, niezbyt głębokiej, ale za to z wysokim oparciem, pozwalającym rozsiąść się wygodnie. Dolly wręczyła Tess kawałek różanego mydła i gąbkę i zajęła się polewaniem ramion i nóg Tess gorącą wodą.

– A cóż to się stało z twoimi rękami? – spytała, zaniepokojona.

– Powoziłam. Po raz pierwszy tak długo. Zwykle powoził wuj, ja tylko zmieniałam go od czasu do czasu.

Wuj Joe... Tess czuła, że jej oczy wilgotnieją.

– Popłacz sobie, dziecińko – powiedziała ciepłym głosem Dolly. – Wyplacz z siebie wszystko.

Tess potrząsnęła głową. Nie, ona już swoje wyplakała podczas tych nocy na prerii. A teraz, zamiast płakać, zaczęła opowiadać.

– Wuj Joe to brat mojego ojca. On mnie wychował, Dolly. Moi rodzice umarli, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Umarli jednej zimy na zapalenie płuc. Wtedy wuj Joe sprzedał ziemię rodziców, pieniądze złożył w banku na moje nazwisko i zabrał mnie do siebie. To on nauczył mnie wszystkiego. Kochać ziemię, i książki, i Teksas. Nauczył mnie pracy w gazecie. A przede wszystkim, Dolly, nau-

czył mnie kochać prawdę. W walce o prawdę wuj nigdy się nie poddawał, on w ogóle nigdy się nie poddawał. I ja będę tak samo postępowała jak on... Przecież on dał mi wszystko...

Głos Tess zamierał. Wuj Joe... Nauczył ją jeździć konno, nakładać farbę drukarską na formę w prasie drukarskiej i nauczył pisać artykuły. Nauczył też czegoś więcej. Jak znieść ból, jak podnieść się ze straszliwej rozpacz.

W 1864 roku do Wiltshire przybył oddział piechoty konfederatów. Tess Stuart, wówczas zaledwie siedemnastoletnia, zakochała się po raz pierwszy w życiu. Zakochała się bez pamięci w kapitanie Dawidzie Tylerze. On też ją pokochał. Przetańczyli ze sobą mnóstwo tańców, razem jeździli konno nad rzekę, to dzięki Dawidowi Tess poznała smak pocałunków...

Po tej wojnie, która miała się już ku końcowi, Dawid pragnął pojąć Tess za żonę. Ale Dawida odkomenderowano do Kirby'ego-Smitha. Kiedy większość żołnierzy jankeskich i konfederackich złożyła broń i ruszyła w drogę powrotną do domu, Kirby-Smith walczył dalej. Dawid zginął w ogniu dział, a Tess poznała, jak to jest, kiedy serce pęka, kiedy naprawdę nie widzi się już przed sobą przyszłości. Ale był z nią wuj Joe. Wuj wcale nie próbował jej tłumaczyć, że jest jeszcze bardzo młoda, a czas leczy rany. Wuj po prostu był zawsze obok, zawsze gotów powiedzieć jakieś krzepiące słowo. I coraz bardziej wciągał Tess do pracy w gazecie. W końcu nadeszła chwila, kiedy Tess

uwierzyła, że starczy jej sił na dalsze życie, nawet z tym bolesnym wspomnieniem. Może nawet kiedyś, przywołując Dawida w pamięci, będzie umiała się uśmiechnąć. Bo wspomnienie o Dawidzie jest piękne.

Jamie Slater ma rację. Wuj Joe zawsze chciał, żeby Tess cieszyła się życiem.

A ona już tak dawno nie tańczyła, tak dawno... Skończyła dwadzieścia cztery lata, zdaniem wielu ludzi to podobno niebezpieczny wiek dla kobiety. Choć teraz czasy się zmieniły. Na wojnie zginęło tylu mężczyzn, a przecież to na nich czekały właśnie te kobiety, które dziś mają po dwadzieścia parę lat...

Tess wcale nie uważała, że kobieta musi wyjść za mąż za wszelką cenę. A jeśli decyduje się połączyć z mężczyzną na zawsze, powinna kierować się uczuciem, sprawy majątkowe czy inne względy nie mają tu nic do rzeczy. Swoim wiekiem Tess się nie przejmowała, wuj Joe zadbał, aby wyrosła na bardzo samodzielną osobę. Kiedy wuj Joe był w podróży, Tess nieraz zdarzyło się samej przygotować kolejny numer gazety. Dlatego teraz nie czuła żadnego lęku, że po śmierci wuja wszystko spada na jej barki. Ona zresztą kochała *Wiltshire Sun*. Po śmierci Dawida praca w gazecie przywróciła ją do życia. I niczego więcej już nie pragnęła, tylko pisać artykuły i słuchać wuja Josepha. Ale potem sprawą najwyższej wagi stała się walka z von Heusenem. Walka, którą Tess zamierzała toczyć dalej.

– No i jak, Tess? Miło ci? – spytała Dolly.

– Cudownie! Dziękuję ci, Dolly, opiekujesz się mną jak dzieckiem.

– A ty jesteś bardzo ładniutkim dzieckiem – zachichotała Dolly.

– Dolly!

– Do wieczora wypoczniesz, wrócą ci rumieńce na policzki, a ja zakręcę ci piękne loczki i panna Eliza niech się schowa w kącie.

– Wcale nie zamierzam konkurować z jakąś panną Elizą, mam pilniejsze sprawy na głowie. Muszę jak najszybciej wracać do Wiltshire. Jestem teraz jedyną właścicielką i gazety, i rancza.

– Ranczo? Gazeta? Ty najbardziej potrzebujesz męża, złotko!

– Najbardziej potrzebuję rewolwerowca, Dolly. Kogoś, kto dobrze strzela, jest odważny i potrafi mnie obronić.

Dolly pomyślała chwilkę i nagle jej twarz pojaśniała.

– Tess! W takim razie Jamie Slater pasuje jak ulał!

– Co?

Dolly, aż zarumieniona z podniecenia, podsunęła sobie stołeczek do wanny, rozsiadła się wygodnie i zaczęła trajkotać:

– A tak, Tess, a tak! Przecież bracia Slaterowie to już legenda. Ich jest trzech, kiedyś mieli wielkie kłopoty, oj, wielkie, ale wyszli z tego obronną ręką. Ścigali ich, jak przestępców. Wtedy oni się poddali, sami poszli do więzienia, a sąd orzekł, że są czyści jak łąka! Tak było, ludzie ciągle jeszcze o tym gadają.

I tak jak bracia Slaterowie nie strzela nikt. Strzelają tak szybko jak szybki jest grzechotnik.

Jak grzechotnik... Tess poczuła ciarki na plecach. Tam, nad strumieniem, Jamie ubiegł grzechotnika, któremu Tess lekkomyślnie zakłóciła spokój. Jamie był szybszy niż grzechotnik...

– Sama nie pojedziesz do Wiltshire – perorowała dalej Dolly. – Musisz mieć jakąś eskortę. A poza tym, Tess, ja słyszałam, że nie wiadomo, kto napadł, biali czy Indianie. I o ile znam Jamie’ego, on na pewno będzie chciał to wyjaśnić.

– On mi nie wierzy.

– Tym bardziej będzie chciał dojść prawdy. Jamie szanuje Indian, wie dobrze, że Szoszoni, Komanczowie, Czejenowie, Kiowa, a nawet Apacze są lepsi niż większość białych ludzi, którzy stąpają po tej ziemi. Porucznik Slater zna wszystkie języki Indian, on ci jednym tchem wyliczy plemiona i powie, które z nich spokrewnione są ze sobą. Zna ich obrzędy, wie, jak żyją. On czasami wie o nich więcej niż Jon Czerwone Pióro, a to dlatego, że Czerwone Pióro jest Siuksem Czarną Stopą i uważa, że na Siuksach świat się kończy. I jeśli ty mówisz prawdę... Boże wielki, co ja plotę, przecież na pewno nie kłamiesz. Uwierz mi, że Jamie koniecznie będzie chciał zdobyć dowody, bo on nie pozwoli, żeby ktoś niesłusznie oskarżał Indian.

Tess nie odzywała się. Dolly też pomilczała, ale tylko chwilę.

– Jeśli nie porucznik Slater, to ktoś inny odwiezie cię do domu. Może nawet sam pułkownik.

Jego żonę, jeszcze przed wojną, zabili Indianie z plemienia Pawnee. Pułkownik nienawidzi więc Indian, tak samo jak sierżant Givens i kapral Lorsby...

– Dolly, przepraszam, czy mogłabyś podać mi ręcznik?

Dolly skwapliwie zerwała się ze stołka, chwyciła wielki ręcznik i rozpostarła go w rękach. Tess, owinąwszy się ręcznikiem, usiadła przed kominem i zajęła się wycieraniem olbrzymiej ilości swych złocistych włosów.

– Dolly – mruknęła. – A powiesz mi coś o tej pannie, co niby jest taka okropna?

– Panna Eliza? No, może ona i nie jest taka okropna, ale uważa siebie za dar bezcenny, który niebiosa zesłały kawalerzystom. Oni zresztą wszyscy smalą do niej cholewki, wszyscy oprócz Jamie'ego. I chyba dlatego panna Eliza zagięła na niego parol. Jego to bawi, jak na razie. Ale kto wie... kto wie... Panna Eliza ma nie tylko wdzięczną postać, ma także gorące serce i potrafi dopiąć swego. Zresztą sama ją zobaczysz. Ale dość gadania, Tess, teraz sobie podjesz. Zrobiłam ci gulasz po irlandzku. Duszona baranina z ziemniakami i cebulką. Palce lizać, na pewno nigdy nic lepszego nie jadłaś. Zjesz, a potem zaraz spać! Koszulę położyłam ci na łóżku.

Jedzenie było pyszne, Tess migiem opróżniła talerz, nałożyła koszulę nocną i z rozkoszą ułożyła się w miękkim łóżku.

Nagle poderwała się.

– Dolly, ty poświęcasz mi tyle czasu, a na ciebie na pewno czeka twoja rodzina.

Dolly uśmiechnęła się smutno.

– Na mnie nikt nie czeka, Tess. Większość dnia siedzę zwykle sama i wspominam mego Willa. Mojego męża, Tess. Był w kawalerii, zabili go parę lat temu. To Jamie wtedy mi go przywiózł... Och, Boże... Zostałam sama, ale nie wyjechałam z fortu. Najęłam się do sklepu, idę tam codziennie na parę godzin, a poza tym trochę matkuję żołnierzynom, tym bez rodzin. Oni potrzebują opieki. Dlatego nie mniej wyrzutów sumienia, dziecko. Zająłam się tobą z przyjemnością. A teraz śpij, wypocznij...

Wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Tess opadła na poduszki. Było cudownie, mięciutko, ciepłutko, pościel pachniała świeżością. Tess ziewnęła i przymknęła oczy. Czuła się zmęczona, więc na pewno za chwilę zaśnie, choć jej serce przepętlone jest głębokim smutkiem.

Nie, nie mogła zasnąć. I wstyd przyznać, przeszkadzał jej w tym nie smutek, lecz myśli namolne i niepokojące o sztywnym jankeskim poruczniku. To jego twarz Tess widziała pod powiekami, i jego palące spojrzenie, jak wtedy, nad strumieniem, gdy przemknęło po jej nagim ciele... Boże drogi, przecież ona wcale nie potrzebuje kochanka! Ona szuka odważnego mężczyzny, który dobrze włada bronią. Dolly mówi, że Jamie pasuje do tej roli jak nikt. Może więc go poprosić, jakoś z nim się ułożyć? Szkopuł w tym, że jeśli porucznik da się przekonać, wtedy oprócz walki z von Heusenem czeka ją jeszcze jedna walka, z tymi dziwnymi myślami i pragnieniami, które rozbudza w niej Jamie Slater.

A takich pragnień nie wywołał w niej żaden mężczyzna od co najmniej pięciu lat.

Zasypiając, pomyślała jeszcze mgliście, że zapomniała się pomodlić, i że pozostaje jej nadzieja, że nie będzie zmuszona o nic prosić porucznika Slatera, bo może rzeczywiście sam pułkownik zechce ją odwiedzić do Wiltshire...

A kiedy wreszcie sen ją zmorzył, wszelkie niepokoje znikły i zanurzyła się w senne marzenie. Śnił się jej szarooki porucznik, który bierze ją w ramiona.

Po prostu sytuacja bez wyjścia, myślał Jamie, zbliżając się wielkimi krokami do domku Caseyów. Sam wpadł w te sidła. Tess obstawała przy swej wersji zbyt uparcie, tylko głupiec poprzestałby na stwierdzeniu, że panna Stuart kłamie. A Jamie Slater zna Indian bardzo dobrze i nie dopuści, żeby z powodu niesłusznego oskarżenia biali ruszyli przeciwko Komanczom. Dlatego Jamie podjął już decyzję. Trzeba poznać prawdę, udowodnić i ujawnić. I on to zrobi.

Przed drzwiami zatrzymał się na moment, co było konieczne, aby powstrzymać nagłą ochotę popełnienia czynu gwałtownego. Po prostu pchnął te drzwi, wtargnął do środka i chwycił w ramiona piękną pannę Stuart. Bo niezależnie od tego, ile by bawełny w kratkę, koronek czy falbanek okrywało jej powabne ciało, on i tak widział je takim, jakie jest, wtedy... tam nad strumieniem.

A powiedział jej coś głupiego. Że niby ona nie potrafi żyć. Przecież ta kobieta jest uosobieniem

witalności. Pełna odwagi, zdeterminowana, mimo ogromnego zagrożenia wraca do tego swojego Wiltshire, żeby walczyć z łajdakiem. Von Heusen... Czy ten człowiek rzeczywiście jest aż tak niebezpieczny? Jamie wolałby być bardziej nieufny, sceptyczny, ale patrząc w oczy panny Stuart, nie sposób było nie wierzyć jej słowom. Te oczy patrzyły śmiało i otwarcie. Czy kogoś, kto jest uczciwy, nie kłamie, nie ma nic do ukrycia.

Te oczy, koloru ni to fiołków, ni to morskiej wody, na stałe zagościły już w jego snach. Były zawsze słodko zamglone, a wokół wiła się ciemno-złocista przędza jej włosów. Do diabła! A ona powiedziała, że on jest manekinem! Manekin! Ile razy spojrział na Tess, a w czasie ich wspólnej podróży robił to prawie nieustannie, tyle razy krew burzyła się w jego żyłach, kipiała, tak jak teraz, kiedy stał pod tymi drzwiami. I było mu wszystko jedno, co robią biali, co Indianie, czy ziemia kręci się, czy nie. On chciał tylko wziąć w ramiona Tess Stuart i poczuć pod palcami aksamit jej skóry... Do diabła!

Zapukał do drzwi.

– Proszę, niech pan wejdzie, poruczniku.

Pchnął drzwi, co prawda niezbyt gwałtownie, tym niemniej pchnął, wściekły, że musi opanować swoje chęci. I pewien, że Tess nie jest jeszcze gotowa, kobiety przecież zwykle się spóźniają. Tess zapewne gorączkowo kończy upinanie włosów albo poprawia coś przy sukni.

Stała przy kominku, przy dogasającym ogniu.

Oczy promienne, uśmiech słodki, twarz świeża, wypoczęta. Przepiękny gąszcz włosów w kolorze złocistego miodu ściągnięty z czoła i upięty z tyłu niebieską wstążką, ramiona i plecy pokryte kaskadą loków. Jeden złocisty lok spływał na kremową skórę dekoltu. Suknia błękitna, z aksamitnym staniczkiem o ton ciemniejszym i głęboko wyciętym, krótkie bufiaste rękawy, wcale nie zakrywające starannie rąk. Suto marszczona, zwiewna jak mgiełka spódnica...

– Jest pani gotowa, panno Stuart? Możemy iść?

– Naturalnie. Umówieni byliśmy o zachodzie słońca.

Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Ta dziewczyna, twarda jak skała, mądra i szlachetna, była jednocześnie piękną, porywającą kobietą, świadomą swego uroku.

Podał jej ramię, wyprowadził przez drzwi.

– Wygląda pani pięknie.

– Och... Powiedział mi pan komplement, poruczniku? Omal nie zakręciło mi się w głowie.

– Nie wierzę. Pani nie straciłaby kontenansu nawet wtedy, gdyby całe plemię Apaczów pożerało panią wzrokiem.

– Dziękuję, ten komplement był oszałamiający.

– Ale nie był niemiły? Pani lubi komplementy?

– Któraż dama nie jest łasa na miłe słówka.

Dochodzili już do piwiarni. Przez otwarte drzwi słychać było skoczne dźwięki. Najweselej, najgłośniej grały skrzypki. Uśmiech znikł nagle z twarzy Tess i Jamie poczuł się niezręcznie. Pomysł

z tańcami nie był chyba najlepszy. Ta dziewczyna ma za sobą straszliwe przeżycia, które i tak znosi nadzwyczaj mężnie.

– Panno Stuart? Może jednak nie ma pani ochoty wchodzić do środka?

– Mam ochotę, panie poruczniku. Czuję się znakomicie.

Jamie w milczeniu skinął głową i wprowadził pannę Stuart do piwiarni, wypełnionej tłumem tancerzy. Tańczyli żołnierze w zwykłych niebieskich mundurach i oficerowie w mundurach z epoletami, przepasani barwnymi szarfami. A na tle tej żołnierskiej niebieskości pyszniły się strojne suknie dam, czerwone, zielone i w kolorach pastelowych, szeleścił brokat i jedwab, satyna i aksamit.

Żadna jednak z tych sukni nie mogła równać się z błękitną suknią Tess Stuart. Żadna z nich nie była tak twarzowa, żadna z nich nie osłaniała tak zgrabnej, wiotkiej postaci, jednocześnie ją podkreślając, żadna z nich nie była tak skromna, a jednocześnie tak dziwnie zmysłowa. Tylko suknia Tess. O, tak, właśnie zmysłowa, jak leciutkie dotknięcie palców Tess, złożonych w jego dłoni, jak ten zapach róż, unoszący się wokół niej, jak ona cała, od której kręciło mu się już w głowie.

Zauważył, że Jon Czerwone Pióro zmierza w ich kierunku i zaklął w duchu. Zwykle Jon chodził miękko, bezszelestnie i był oszczędny w słowach. Tym razem sunął do nich niemal w podskokach, jak jakiś angielski fircyk i już z daleka błyszczał swoją oksfordzką elokwencją.

– Witam, witam, panno Stuart! – wołał. – Jakże miło panią znów zobaczyć! Panno Stuart, czy mogę mieć nadzieję na pierwszy taniec? Proszę nie poczytywać tego za zbytnią śmiałość! Jamie, przyjacielu, chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu...

– Jon... – zaczął Jamie, zdecydowany zaprotestować z całą mocą, przerwał mu jednak słodki głos Tess.

– Och, Jon, mnie jest tylko bardzo, bardzo miło, że zechce pan ze mną zatańczyć.

Jej głosik był tak pełen zachwytu, że Jamie miał ochotę powiedzieć coś bardzo złośliwego, ale się powstrzymał, tylko zaklął w duchu. Proszę, proszę, więc ta para jest oczarowana sobą. Dziwne, że Jon sam nie poszedł po Tess. Przecież Jamie'emu nie robiłoby to żadnej różnicy.

Bzdura. Nigdy by do tego nie dopuścił.

Tess należy do niego. Do porucznika Slatera. On ją znalazł, on przyprowadził ją na tańce. Może i z własnej woli wpadł w jakieś sidła, ale już w nich siedzi i nie ma sposobu, by z nich się wydostać. A ten Jon... Niestety, tu, w tym konkretnym miejscu, obowiązują pewne zasady. Nie można sobie pofolgować. Bo gdyby byli na prerii... O, tam Jamie załatwiłby sprawę z Jonem w sposób raczej niecywilizowany. Ale tu, w tej sali... No, cóż... Mógł tylko zgiąć się w ukłonie, zręcznie i wytwornie, jak prawdziwy dżentelmen z Południa i grzecznie rzec:

– Panno Stuart... Jon, proszę bardzo, ale uważaj, żeby panna Stuart, tańcząc z tobą, nie poniosła żadnego uszczerbku.

– Jamie sugeruje, jakobym upodobał sobie zdejmowanie skalpów z pięknych dam... i to najchętniej w czasie tańca – wyjaśnił Jon, spoglądając na Tess wesołym wzrokiem. – Uwierz, pani, że tak wcale nie jest.

– Wierzę, wierzę i bez żadnych obaw z panem zatańczę. Z wielką przyjemnością.

Jamie znów miał ochotę powiedzieć coś wielce obraźliwego, ale i tym razem się opanował, tylko zaklął w duchu po raz drugi. Do diabła! Ona po prostu rozpływa się w tym uśmiechu! Miód dla Jona, a dla Jamie'ego ocet.

– Dobry wieczór, poruczniku Slater!

– Dobry wieczór, panie pułkowniku!

– Pannę Stuart porwano już do tańca. Nic dziwnego. Przyda się tak urodziwa panna na naszym wieczorku, nie sądzisz? A... ale ty, Jamie, długo nie zażyjesz samotności.

Panna Eliza, dyskretnie chłodząc się strojnym wachlarzem, zdecydowanie parła w ich stronę. Po drodze przystanęła parę razy, zamieniając kilka słów z tym i owym, jednak jej cel był bardzo wyraźny – Jamie Slater.

Jamie po powrocie do fortu nie miał jeszcze sposobności spotkać się z panną Elizą. Ale ona z pewnością już wiedziała, że porucznik Slater przywiózł z preii jakąś kobietę i z tą kobietą przyszedł dziś na tańce. Tak, panna Eliza zdążyła już dowiedzieć się wszystkiego. Jamie wyczytał to z jej ciemnych aksamitnych oczu i z ust, niby uśmiechniętych, a tak naprawdę wykrzywionych w osobliwym grymasie.

Trudno było nie zauważyć, że to piękna dziewczyna. Szyja łabędzia, włosy jak heban, postać wdzięczna, a dekolt kryje w sobie nieprawdopodobnie ponętną obfitość. Skóra panny Elizy, gdziekolwiek by nie spojrzeć, była nieskazitelna i miała barwę kości słoniowej, usta pełne, czerwone, twarz śliczna. Jamie wiedział, że panna Eliza od dawna miała ochotę zasiać w jego duszy miłosny niepokój. Owszem, jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność, była przecież piękna i urocza. Widział jednak, ile serc zdążyła złamać, zanim zaczęła na niego ostrzyć pazurki. Dlatego starał się być ostrożny, zachować dystans i zważać bardzo na słowa, aby żadne z nich nie miało mocy zobowiązującej.

Niestety, oprzeć się nie zdołał. Na szczęście, nie on był jej pierwszym kochankiem. I był pewien, że tym ostatnim, na całe życie, też nie będzie.

Tego wieczoru panna Eliza była wyjątkowo uwodzicielska. Czarne włosy, zebrane z boku głowy, opadały kaskadą loków na jedno z białych ramion. Głęboka dekoltu jasnozielonej sukni dokładnie ukazywała kuszący dołek między piersiami. A głos panny Elizy wabił tak samo jak jej strój i uczesanie.

– Och, Jamie, kochany, jaki jesteś miły, że zaczekałeś na mnie i dzięki temu pierwszy taniec mamy dla siebie. A ja tak stęskniłam się za tobą! – zagruchała i nie dbając o liczną widownię, wspięła się na paluszki, objęła porucznika Slatera za szyję i pocałowała go w same usta.

Niby powinno nim to wstrząsnąć, a on poczuł

tylko złość. I zaklął w duchu, uzmysławiając sobie, że klamka zapadła. On jest w stanie zdrześć już tylko pod dotykiem jednej jedynej kobiety. Tess Stuart.

– Miło cię widzieć, Elizo – wymamrotał, zdejmując jej ręce ze swojej szyi.

Panna Eliza bardzo ładnie wydeła usteczka, ale on prawie tego nie zauważył, wpatrzony w roztańczone pary. Dokładnie w jedną parę, roześmianą Tess w ramionach jego najlepszego przyjaciela. Jakżeż oni do siebie pasowali! Ten wysoki, ciemny, półkrwi Indianin i ta jasnowłosa, krucha piękność...

– Pierwszy taniec? A tak – prawie warknął i objąwszy Elizę, ruszył z nią w płąsy.

– A ty chyba wcale się za mną nie stęskniłeś – powiedziała rozkosznie naburmuszonym głosem.
– A ja czekałam na ciebie...

– Musiałem przygotować raport.

– Dziś w nocy też będę czekała, kochany....

W nocy... Nagle zachciało mu się zamknąć oczy i wyobrazić sobie noc i siebie trzymającego w ramionach dziewczynę o włosach koloru miodu.

– Elizo, ja przyszedłem na tańce z panną Stuart.

– Z panną Stuart? A tak, słyszałam o niej. Jakaś głupiutka kobieta, która uważa, że napadli na nią biali, a nie Komanczowie. Jamie, ja rozumiem, że czujesz się za nią odpowiedzialny. Odprowadzisz ją do jej kwatery, a potem przyjdiesz do mnie...

– Nie, Elizo. Dziś nie mogę przyjść do ciebie.

Czarne oczy Elizy błysnęły gniewnie. Nie odezwała się jednak, sięgając po argumenty milczące,

ale jakże wymowne. Jej obfity biust przywarł jeszcze bardziej zdecydowanie do piersi porucznika, noga wkleiła się w jego udo.

– Cieszę się, że rozumiesz tę sytuację – powiedział Jamie uprzejmie.

– Tak, ja staram się zawsze wszystko zrozumieć – odparła głosem dość smętnym.

Jamie nie słuchał, miał głowę zajęętą czymś innym. A w sercu coraz większą złość. Jon od dłuższego czasu nie tańczył z Tess, Tess zdążyła już zatańczyć chyba z połową oddziału. Po prostu wrywano ją sobie z rąk. Teraz tańczy z sierżantem, głupim żółtodziobem, co to wąż ledwo mu się sypnął pod nosem. Gapi się w nią jak w obrazek. A żeby tak potknął się o te swoje krzywe nogi.... O, teraz znowu Jon przypiął się do niej... Wygląda na to, że Jamie Slater był tylko potrzebny do tego, żeby pannę Stuart tu przyprowadzić. Bo chyba nie zatańczy z nią, po prostu nie ma szans...

Nie miał pojęcia, że Tess Stuart, niby tak rozbawiona, co chwilę zerka w jego stronę i dziwi się sobie, dlaczego tak bardzo irytuje ją ta czarnowłosa dama, rozplaszczająca swe piersi o tors porucznika. Ona po prostu mu te piersi podtyka pod nos!

Była bardzo zadowolona, kiedy znów do tańca porwał ją Jon.

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, Jon, któż to jest ten posąg z białego marmuru?

Jon, o dziwo, pojął w lot, o kogo chodzi.

– Dama, która tańczy z Jamie'em? To panna Eliza. Przed nią trzeba mieć się na baczności, panno Stuart.

– Niewątpliwie!

Tess potrząsnęła złocistymi lokami i wybuchnęła śmiechem. Wysokim, dźwięcznym, perlistym.

Wszyscy mężczyźni spojrzeli w jej stronę. Porucznik Slater także.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tess nie zauważyła, w którym momencie Jamie uwolnił się od czarnowłosej kariatydy. Zjawił się nagle i zgodnie ze zwyczajem klepnął Jona w ramię, dając do zrozumienia, że teraz to on, porucznik Slater, porywa do tańca pannę Stuart.

Tańczył znakomicie, był w tym tak samo biegły, jak w strzelaniu czy jeździe konnej. Tess miała poczucie, jakby unosiła się w powietrzu, jakby dookoła nikogo nie było, tylko porucznik Slater. Prowadził ją w tańcu po mistrzowsku i jednocześnie przewiercał ją groźnym spojrzeniem na wylot.

- Zadowolona pani z podbojów, panno Stuart? Spojrzenie Tess było tylko i wyłącznie niewinne.
- Podbojów? Nie rozumiem, o co panu chodzi.
- Chodzi mi o to, że każdy gołowąż w tej sali gotów jest na jedno pani skinienie oddać swoje młode życie.
- Naprawdę? Jak to miło ze strony tych młodzieńców! A co z resztą, panie poruczniku? Z mężczyznami statecznymi, pełnymi rozsądku?

– Rozsądek znikł, panno Stuart. Oni gotowi są własnymi rękoma wykopać sobie grób, gdyby taka była wola łaskawej pani.

– Wielki Boże! Pozostaje tylko nadzieja, że nie przyjdzie mi ochota zapragnąć tak wielkiego poświęcenia. Panie poruczniku, biorąc jednak rzecz poważnie, czymże zasłużyłam sobie na sugestię, że jakoby zawładnęłam wszystkimi mężczyznami tutaj, w wieku od lat dziewiętnastu do lat czterdziestu?

– Bo to fakt, panno Stuart. Co najmniej połowa z nich bez wahania skoczy sobie nawzajem do gardła, aby zdobyć choć jeden pani uśmiech.

W głosie porucznika słychać było nutkę osobliwą, świadczącą, że on wcale tak lekko do tej niby dowcipnej wymiany zdań nie podchodzi. Tess dyplomatycznie więc na chwilę umilkła, kryjąc oczy za firanką rzes. Potem firanka się uniosła, w fioletowych oczach błysnęło wyzwanie.

– Chwała Bogu, panie poruczniku, że pan nikomu do gardła skakać nie będzie. Pan przecież już oddał się w niewolę...

– Jaż!

– Pięknej brunetce, pannie Elizie.

– A, Eliza...

Postarał się, aby zabrzmiało to bardzo obojętnie, wręcz lekceważąco. I nagle pożałował, że on tę brunetkę zdążył poznać już bardzo dokładnie.

– Pan jest zaręczony, panie poruczniku?

– Na Boga! Nie!

– A skąd to przerażenie? Czy zaręczyny z panną Elizą byłyby czymś tak straszliwym?

– Panno Stuart, pozwolę sobie zauważyć, że pani jest nieco obcesowa.

– Obcesowa?! To ja pozwolę sobie zauważyć, że nikt pana nie zmuszał do tańca ze mną.

Jego ramiona objęły Tess jakby mocniej. Uśmiechał się, ale to nie był dobry, pogodny uśmiech i Tess poczuła się niepewnie. Tego mężczyzny nie powinno się drażnić. Jest zbyt niebezpieczny. Ale z drugiej strony to takie ekscytujące. Wbijać mu szpileczki, a on będzie się złościł coraz bardziej.

– Panno Stuart, pani zapomina, że pani ze mną przyszła na tańce.

– Trudno było o tym nie zapomnieć, widząc, jak pan czule wita się z panną Elizą.

– Czyżby przemawiała przez panią zazdrość?

– Panie poruczniku, czy pan aby nie przesadza? Znamy się zaledwie od kilku dni, a zatem jestem jak najdalsza od wnikania w pańskie romanse.

Romanse... Udało się, ukłuła porządnie. Słyszała, jak niemal zgrzytnął zębami. Uśmiech znikł, przystojna męska twarz sposępniała. Silne ramię, obejmujące kibić Tess, zeszywniało, palce drugiej dłoni, które powinny delikatnie podtrzymywać dłoń damy, zacisnęły się boleśnie na jej palcach. Ale Tess to ściskanie wcale nie przeszkadzało, ona rozkoszowała się nowym doznaniem. Bliskością porucznika, jego świeżym zapachem, który kojarzył jej się tylko z tym, co surowe i męskie. Bezkresną prerią, końmi i zapachem prochu.

Jakiś głos wewnętrzny szeptał cichutko: Uwważaj, Tess, ten porucznik na pewno jest draniem.

To nieważne...

– Pani zawsze tak wali prawdę prosto z mostu?

– Pan wybaczy, ale chyba nie dosłyszałam... Ja po prostu jestem szczerą.

– Szczerą...

Cały czas prowadził ją w tańcu wyraźnie w kierunku drzwi. Jeszcze kilka kroków i przekroczyli próg. Na werandzie Jamie zatrzymał się, oparł Tess o biały filar i jego usta spadły na jej wargi znienacka, od razu były namiętne, łakome. A ona swoje usta natychmiast rozchyliła, wzdychając cichutko z wielkiej ulgi. Jakże pragnęła tego pocałunku! To dlatego drażniła, jątrzyła... A teraz nareszcie ją całował i to wcale nie był salonowy pocałunek, takie zdawkowe muśnięcie wargami. Pocałunek porucznika był nieskończenie intymny i żarliwy, taki, jakiego Tess dotychczas jeszcze w swoim życiu nie doświadczyła.

On pierwszy oderwał usta od jej warg i podniósł głowę. Tess spojrzała w górę, na jego twarz, natychmiast tego żałując. Była pełna lęku, że jej oczy zdradzą wszystko. Jej niewinność, brak doświadczenia i oszołomienie. Ale oczy porucznika, o dziwo, były też jakby oszołomione...

– Tutaj! Ona jest tutaj!

Ktoś krzyczał bardzo głośno. I wrogo. Tess zesztyniała, Jamie cofnął się o krok.

Do werandy zbliżała się mocno już starsza kobieta, niewysoka, korpulentna. Spod wykrzywionego czepka wymykały się włosy białe jak mleko, pod spódnicą suta halka, taka, jaką nosiło się w latach

wojny. Pulchne ramiona okrywał równie niemodny szal z frędzlami.

Kobieta nie była sama, otaczał ją spory tłumek bardzo podekscytowanych osób.

– Klaro, co się stało? – zawołał Jamie.

Klara nawet nie spojrzała w jego stronę. Jej płonący wzrok utkwiony był w Tess.

– Ty dziewczko przekłeta! – syczała. – Jak śmiesz oskarżać białych ludzi o taką niegodziwość! Indianie ją napadli, a ona jakieś bajki zmyśla! Powinni byli cię zabić! Pan Bóg powinien sam skierować na ciebie strzałę, ty nędzniczo, ty...

– Klaro!

Okrzyk Jamie'ego był gniewny i ostry jak smagnięcie batem.

– Zamilcz, Klaro! Jak możesz?! Winna jesteś tej damie przeprosiny. Nie wiesz, co się stało i...

– Mam ją przeproszać? Ją? Niedoczekanie! Tę sukę? Ten pomiot szatana?

Tess nagle zdała sobie sprawę, że cała weranda zapełniła się ludźmi. Młodzi żołnierze, jeszcze przed chwilą gorliwie nadskakujący Tess, teraz zdawali się być gotowi przybić ją gwoździami do ściany.

A Klarze usta się nie zamykały.

– Iluż naszych bliskich straciliśmy przez tych krwawych dzikusów! Tobie, Lidio, Indianie Pawnee zabrali jedyną córkę. Charlie! Ty straciłeś przez nich rękę, a Jim, twój syn, poległ w walce z Apaczami. Przekłeci barbarzyńcy, krwawi poganie! A ona ich broni, kłamie, mówi, że na jej wozy napadli biali ludzie! Ona nie chce, żeby ścigać prawdziwych

winowajców, ona chce, żeby biały bił się z białym! I wtedy te dzikusy napadną na nas...

– Nie! Wcale tego nie chcę! – krzyknęła z pasją Tess. – Pani nic nie rozumie, pani tam nie było. I nie wolno pani...

– Co nie wolno?! Ty czarownico! Powinno się wysmarować cię dziegiem, okleić piórami i wygonić stąd, naga jak sójka! Bedziesz mogła sobie pobiec do tych swoich czerwonych pobratymców, szakali przeklętych!

Zapadła cisza. Tess zmartwiała. Pewna, że tłum ruszy teraz i rozerwie ją na strzępy.

– Tak! Tak! – krzyczała Klara. – Trzeba ją...

– Dość! – huknął Jamie.

Jego ostrogi zadźwięczały cichutko. Zrobił krok do przodu i stanął dokładnie między Klarą i Tess.

– Dość! – powtórzył mocnym, zdecydowanym głosem. – Klaro, nie wiem, skąd twoje nagłe wzburzenie. Ale wiem jedno. Nie wolno ci osądzać tej dziewczyny, nie wolno wydawać na nią wyroku! Czy znasz prawdę? Nie! Jakim prawem więc rzucaś jej w twarz tak straszliwe oskarżenie? I nikt z was...

Urwał nagle, jego wzrok przemknął po twarzach wzburzonych ludzi. Jedna z twarzy była jakby spokojniejsza. Panna Eliza stała z miną niewiniątka. A więc sprawa oczywista. To ona podburzyła tłum. Nie mogła ścierpieć, że Jamie ją zostawił i poszedł tańczyć z jakąś obcą kobietą.

– A niby dlaczego pan jej broni, poruczniku? – perorowała dalej rozjuszona Klara. – To na pewno

byli Indianie, Komanczowie albo jakieś inne plemię, które wkroczyło na wojenną ścieżkę! I ani się obejrzymy, a będziemy ich wszystkich mieli na karku!

– Ja nikogo nie bronię, ale też i nie oskarżam pochopnie. Najpierw trzeba dojść prawdy, żeby wiedzieć, kogo oskarżyć. I ja to zrobię, Klaro. Dojdę prawdy. Daję ci na to moje słowo.

Ktoś w tłumie nazbyt głośno westchnął. Naturalnie to panna Eliza, rozczarowana bardzo, jej plan bowiem spalił na panewce. A Tess wiedziała już jedno. Niezależnie od tego, czym naprawdę powodował się Jamie, postąpił jak prawdziwy dżentelmen, broniąc dobrego imienia damy.

– Odwiozę pannę Stuart do Wiltshire – mówił dalej twardym głosem. – I rzecz całą wyjaśnię.

Obok Jamie'ego pojawił się nagle Jon Czerwone Pióro. Stał ramię w ramię z przyjacielem, gotów w każdej chwili go bronić. I zrobił coś jeszcze. Podszedł do wzburzonej Klary, delikatnie ujął jej dłoń w swoje ręce.

– Klaro, daj Jamie'emu trochę czasu.

Zacietrzewienie Klary zaczęło znikać.

– Och, Jon, przecież ja przeciwko tobie nic nie mam...

– Wiem. Ja tylko w połowie jestem krwawym barbarzyńcą i poganinem.

Policzki siwowłosej damy zrobiły się purpurowe.

– Jon...

– Wszystko w porządku, Klaro. I niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jeśli to Siuksowie wkroczyli

na wojenną ścieżkę, bo nie wiem, po czyjej stronie bym walczył. A wam wszystkim chcę powiedzieć jedno. Każdy z was miał sposobność się przekonać, iluż okrutnych niesprawiedliwości doświadczyli Indianie od białych ludzi. Służyliście pod dowódcami, na których mordowanie kobiet i dzieci nie robiło żadnego wrażenia. Dlaczego więc, do diabła, z góry zakładacie, że ta dziewczyna kłamie?

Przez tłum przeszedł pomruk i ludzie powoli zaczęli się rozchodzić. A Klara rozplakała się.

– Odprowadzę ją do domu – powiedział cicho Jon, biorąc starszą panią ostrożnie pod ramię.

Jamie skinął głową. A kiedy weranda opustoszała i ostatni nieproszony gość znikł w mroku, Jamie wyrzucił z siebie ze złością:

– No i dopięła pani swego, panno Stuart.

Powiedział to ten sam mężczyzna, który przed kwadransiem całował ją tak namiętnie. Tess od-ruchowo otarła usta wierzchem dłoni.

– Nie, poruczniku! – powiedziała podniesionym głosem. – Wcale nie dążyłam do tego, żeby jakaś stara kobieta z bólu traciła panowanie nad sobą i obrzucała mnie wyzwiskami! Ani do tego, żeby ktoś wysmarował mnie dziegiem i okleił piórami!

– Ale chce pani, żebym to ja pojechał do Wiltshire i walczył z von Heusenem!

– Tak. Bo pan...

Nie dane jej było dokończyć. Ktoś chrząknął, dyskretnie dając znać o swojej obecności.

– Przepraszam, panie poruczniku – bąknął sier-

żant Monahan – ale pan pułkownik chce się z panem zobaczyć. Natychmiast.

– Najpierw muszę odprowadzić pannę Stuart do jej kwatery.

– Pułkownik wydał rozkaz, żebym to ja odprowadził pannę Stuart. A z panem pułkownik chce się zobaczyć zaraz. Chodzi o odwiezienie panny Stuart do Wiltshire.

Rozkaz to rozkaz. Jamie skinął jeszcze tylko głową pannie Stuart, częstując ją na odchodnym spojrzeniem bardzo groźnym. Jakby ją ostrzegał, choć Bóg tylko jeden wiedział, przed czym.

– Dobrej nocy, panno Stuart! Postaram się, abyśmy jak najszybciej ruszyli w drogę.

Oddalił się krokiem mocnym i sprężystym.

– Zapowiada się burzliwie – mruknął sierżant.

– Dlaczego? – spytała zaciekawiona Tess.

Sierżant zarumienił się, zmieszany, jakby dopiero teraz zauważył, że nie jest sam.

– Sierżancie!

– Dobrze, powiem. Pułkownik będzie próbował przekonać porucznika, żeby nie jechał do Wiltshire.

– Przekonać? Przecież pułkownik jest wyższy rangą, może po prostu wydać rozkaz.

– Nie, nie może. Porucznik Slater zakończył służbę, ma prawo odejść stąd w każdej chwili. Czeką tylko jeszcze na dokumenty, a takie rzeczy czasami załatwia się tu opieszale.

– Rozumiem. Ale dlaczego pułkownik nie chce, żeby porucznik jechał do Wiltshire?

– To nie pułkownik.

– A kto? Sierzancie, ja umieram z ciekawości!
Twarz sierżanta nie była zarumieniona. Była purpurowa. W końcu wydusił:

- Panna Eliza.
- Słucham?
- Panna Eliza Worthingham. Córka pułkownika.
- Och!

Tess była w stanie wydać z siebie tylko okrzyk zdumienia.

– Proszę wybaczyć, panno Stuart, nie chciałem pani denerwować – sumitował się sierżant. – Ale proszę się nie martwić, porucznik to twardy chłop. On nie pozwoli, żeby jakaś spódniczka nim rządziła, nawet panna Eliza. Ona jest piękna, ale ośmielam się zauważyć, że pani jest jeszcze piękniejsza, panno Stuart. Ale porucznik nie ugnie się przed żadną kobietą. Panno Stuart, bardzo proszę, pani pozwoli, odprowadzę panią na spoczynek.

- Dziękuję, sierzancie.

Podążając obok szarmanckiego sierżanta, Tess myślała gorzko, jak niefortunnie zakończył się wieczór. Najpierw ten pocałunek, pocałunek, o którym Tess będzie pamiętać zawsze, nawet gdyby miała żyć lat dwieście z okładem. A potem zaraz okropne zajście z Klarą, no i ta wiadomość na końcu, przekazana przez sierżanta Monahana, wiadomość siejąca w sercu Tess wielki niepokój.

Porucznik nie pozwoli, żeby rządziła nim kobieta. Sierżant stwierdził to bezapelacyjnie. No, dobrze, ale przecież porucznik zdecydował się na wyjazd do Wiltshire, a więc tak jakby poddawał się woli

Tess. Czyżby? Wcale nie. Podjął decyzję ostateczną, żeby uspokoić Klarę i podburzony przez nią tłum. Tym niemniej ta właśnie decyzja jest po myśli Tess. Wszystko jednak zdarzyć się może. Kto wie, czy po rozmowie z pułkownikiem porucznik nie oświadczy, że nigdzie nie jedzie. I powód tej z kolei decyzji będzie ewidentny. Nie pojedzie do Wiltshire ze względu na Elizę.

Podsumowując, porucznik, niby tak odporny na życzenia kobiet, siłą rzeczy życzenie jednej z dwóch kobiet spełni. Tess albo Elizy. Ciekawe, która z nich zwycięży?

Sierzant Monahan pierwszy wszedł do domku Caseyów, zapalił lampę i bacznie rozejrzał się dookoła.

– Wszystko w porządku.

– Sierzancie! Przecież to fort, garnizon kawalerii. Jakże tu coś może być nie w porządku?

– Lepiej zawsze mieć się na baczności, panno Stuart! Wiemy to tutaj z własnego doświadczenia.

Życzył dobrej nocy, zasalutował elegancko i odmaszerował. Tess zdjęła szybko balową kreację i w pożyczonej od Dolly koszuli nocnej wsunęła się do łóżka. Ale oczy nie chciały się zamknąć. Nic dziwnego, skoro tak groźny przeciwnik pojawił się na horyzoncie. Piękna Eliza...

Groźny czy niegroźny, Tess Stuart i tak nie podda się bez walki.

A jeśli ona już tę walkę przegrała? Jamie Slater pozostanie w forcie, a Tess Stuart odjedzie i nigdy go już nie zobaczy...

Niestety, dopiero jutro rano będzie sposobność dowiedzieć się, jak to jest naprawdę.

Ta noc wlecze się w nieskończoność... Jak tu zasnąć, skoro z ust nie znika smak tego pocałunku, rozbudzający marzenia o pocałunkach następnym, nie tylko w usta, mężczyźni przecież całują kobiety w szyję i po ramionach, i...

Zasnęła bardzo późno. Niezależnie od wieczornych emocji, spała snem mocnym, zdrowym, dopóki nie obudził ją hałas. Ktoś bez pardonu szarpnął kłamką, pchnął drzwi i cały domek Caseyów wypełnił odgłos mocnych, zdecydowanych kroków. Tess oprzytomniała momentalnie. Siadła na łóżku, prosto jak struna, poprawiając pośpiesznie koszulę, która podczas snu zsunęła jej się z białych ramion.

Na środku pokoju stał porucznik James Slater. W pełnym umundurowaniu, kapelusz z piórami nasunięty głęboko na czoło, dłonie w rękawiczkach. Stał dumny, wyprostowany, niemal złowieszczy.

Tess zdołała tylko wykrztusić:

– Pan...

– Ja.

I nagle się uśmiechnął. Zerwał z głowy kapelusz i złożył przed nią głęboki ukłon.

– Proszę wybaczyć, panno Stuart, że zakłócam pani odpoczynek. Chciałbym jednak powiadomić panią, że ruszamy jutro o świcie. Zdaję sobie sprawę, że dla pani to pora niezbyt odpowiednia, jako że mamy już południe, a pani nadal w pościeli. Tym niemniej proszę, aby pani jutro łaskawie wstała z łóżka wcześniej.

– Czy... czy to znaczy, że pan jedzie ze mną?

– Powiedziałem już przecież, że jadę. Dlaczego miałoby się coś zmienić?

Powieki Tess natychmiast opadły, skrzętnie przesłaniając oczy, było nie było, zwierciadło duszy.

– Nic, nic... ja tylko chciałam się upewnić. Bo po tej rozmowie z... pułkownikiem mógł pan przecież zmienić decyzję.

Cisza trwała sekundę.

– Panno Stuart, o ile pani pamięta, decyzję podjąłem wcześniej, jeszcze przed tą rozmową.

– Ale ja myślałam, że skoro pan tak naprawdę wcale nie chce jechać ze mną...

– Jadę, jadę! Na miłość boską! Jadę razem z panią. Wyjeżdżamy jutro o świcie, to znaczy, o ile pani raczy wstać tak wcześnie.

Czyli nie było już żadnych wątpliwości. Tess, czując ogromną radość, wyskoczyła z łóżka. W pożyczonej, za dużej koszuli, zsuwającej się z ramion.

– Dziękuję, dziękuję! – krzyknęła rozradowanym głosem, rzucając się porucznikowi na szyję.

On wcale nie protestował, przeciwnie, przygarbił ją mocno do swego twardego ciała. Tess czuła, jak jej piersi wgniotły się w kurtkę niebieskiego munduru. I to otrzeźwiło ją momentalnie.

Cofnęła się szybko, jej głos był teraz dziwnie zdyszany i troszkę piskliwy.

– Jestem bardzo wdzięczna, panie poruczniku. Doceniam to, co pan dla mnie robi. Nie bardzo wierzę, czy pan to pojmuje, ale naprawdę jestem wdzięczna.

Nieszczęsna koszula znów zsunęła się z ramion, więc zaczęła pospiesznie ją poprawiać, jednocześnie uświadamiając sobie z rozpaczą, że pokój zalany jest słońcem, a ona stoi plecami do okna. Koszula jest z bardzo cienkiego batystu, czyli porucznik dokładnie widzi wszelkie wypukłości i wklęsłości jej ciała. Co za wstyd!

– Ja... ja naprawdę jestem wdzięczna, po... poruczniku – zdołała jeszcze wymamrotać i jak strzała pomknęła z powrotem do łóżka. Naciągnęła kołdrę po samą brodę, a porucznik, naturalnie, cały czas lekko się uśmiechał.

– Panno Stuart?

– Słucham?

– Mam do pani prośbę.

– Do mnie?

– A tak. Podczas naszej wspólnej podróży niech pani stara się mówić normalnie. Niech pani tak... nie szczebiocze.

– Szczebiocze? – powtórzyła Tess już głosem twardym i pełnym oburzenia. – Ja nigdy nie szczebioczę.

– Nigdy?

– Może... czasami. Ale musi pan przyznać, że mam powód do zdenerwowania. Ta sytuacja jest dla mnie nader krępująca. Wdziera się pan do mojego pokoju bez uprzedzenia, wyrywa mnie ze snu i nie daje sposobności się ubrać.

A on dalej się uśmiechał.

– Zgadza się, panno Stuart. I stokrotnie proszę o wybaczenie. Ale proszę też liczyć się z tym, że taka

sytuacja może się powtórzyć. Kto wie, co zdarzy się w drodze i czy nie będę zmuszony jeszcze nieraz do zakłócenia pani snu. – Skłonił się i brzęcząc ostrogami, opuścił dom Caseyów.

Tess opadła na poduszki i uśmiechnęła się. Jakby fakt, że porucznik nadal zamierza zakłócać jej sen, wcale nie był zatrważający.

Jechali we trójkę. Jon Czerwone Pióro, zgodnie z obietnicą, również wybierał się do Wiltshire. Jamie szykował się do podróży długo i starannie. Czekala ich długa droga i nigdy też nie wiadomo, co w drodze może się zdarzyć. Dlatego lepiej zawczasu wszystko spokojnie przemyśleć, jaką broń wziąć, ile amunicji, co załadować na juczne konie, a co schować w wozie Tess.

Rozmowa z pułkownikiem Worthinghamem poszła nadspodziewanie łatwo, choć uczestniczyła w niej również panna Eliza. Uczestniczyła zresztą bardzo żywo, przede wszystkim głęboko ubolewając, że Jamie udaje się w tak długą podróż, gdzie na każdym kroku czyhają wszelakie niebezpieczeństwa. A poza tym fatalnie, że Jamie opuszcza fort, przecież on jest tu po prostu niezastąpiony. Była smutna, zatroskana, nikt by nie przypuszczał, że ta słodka piękność ma za skórą prawdziwego diabła.

W rezultacie pułkownik Worthingham zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście ktoś inny jest w stanie przejąć obowiązki porucznika Slatera. Wtedy Jamie uprzejmie przypomniał, że on *de facto* w kawalerii już nie służy. To zadziało i panowie

natychmiast doszli do porozumienia. Jamie Slater oczyszcza fort na całe trzy miesiące.

Trzy miesiące z panną Stuart... Jamie przymknął oczy i natychmiast pod powiekami pojawił się obraz Tess, ostatnia jej wersja, kusząca nieprawdopodobnie. W koszuli z cienutkiego białego batystu, przez który tyle można było zobaczyć. Do diabła! I ta ciepłutka jeszcze ze snu, pachnąca słodko istota sama rzuciła mu się w ramiona!

Dlatego tak szybko zrejterował. Bo jeszcze chwila i panna Stuart przekonałaby się namacalnie, że on nie jest jankeskim manekinem. Ta kobieta jest grzechu warta, o tak... Właściwie to powinien trzymać się od niej z daleka. A on, przeciwnie, pcha się za nią do tego Wiltshire. Ma ją niby chronić. Hm... A może w zamian czegoś zażądać? Wiadomo, czego. A ona jest w desperacji, gotowa na wszystko.

Cóż to za żalosna myśl! On nigdy by od niej czegoś takiego nie zażądał! Nigdy! Dla niego samego byłoby to wręcz uwłaczające. A teraz, zamiast rozmyślać tak głupio, lepiej skupić się na przygotowaniach do podróży...

Do swojej kwatery wrócił dopiero o zmierzchu. Jego jedynym marzeniem była teraz obfita kolacja i gorąca kąpiel. Przez otwarte drzwi do sypialni dojrzał wannę, rozkosznie parującą, a więc zapobiegliwy ordynans zadbał już o wszystko. Jamie, bardzo zadowolony, cisnął kapelusz na krzesło, odpiął pas z bronią i położył na biurku. Zsunął buty, koszulę ściągnął już w drodze do sypialni. Jeszcze tylko spodnie. Sięgnął do paska i ręka znieruchomiała...

W sypialni była Eliza. Zdążyła już skorzystać z wanny porucznika Slatera. Teraz leżała sobie na łóżku, wilgotne włosy, poskręcane w loki, wiły się wokół jej twarzy. Nie była naga, ale wyglądała jeszcze bardziej zmysłowo niż gdyby całkowicie nie miała na sobie garderoby. Miała na sobie koronkowy gorset, który właściwie niczego nie zasłaniał, miał tylko za zadanie unieść obfity biust na niebotyczną wysokość. Oprócz gorsetu Eliza miała na sobie pantalon z jedwabiu i koronek, i to było wszystko.

– Przyszłam się z tobą pożegnać, kochanie!

– Oszalałaś?!

– Nie cieszy cię mój widok?

– Szczerze mówiąc... nie!

– Trudno, kochanie. Ale ja wcale nie mam zamiaru pozwolić, żebyś wyjeżdżał gdzieś z tą jasnowłosą dziewuchą.

– Elizo, miarkuj się ze słowami! I popatrz na siebie, jak ty wyglądasz!

– Jamie!

Jednym zwinnym ruchem Eliza zsunęła się z jego łóżka.

– Jamie! To dla ciebie, kochany, dla ciebie! Jak myślisz, dlaczego kochałam się już z tobą? Dlaczego? Bo jesteś mi najdroższy! I dlatego teraz do ciebie przyszłam, a ty wcale się nie cieszysz. Boisz się mego ojca, Jamie?

Białe ramiona Elizy już oplatały się wokół szyi porucznika.

– Nie, ja wcale się nie boję – powiedział oschle, chwytając ją za ręce. – To ty powinnaś się bać. Jeśli

twój ojciec dowie się, że jesteś tutaj, odeśle cię natychmiast na Wschód.

– Wcale nie. Po prostu będziesz musiał się ze mną ożenić.

– Nikt nie zmusi mnie do małżeństwa.

– Ale ty już należysz do mnie, Jamie! Kochałeś się ze mną!

– Tak samo, jak co najmniej połowa kompanii C, D i E!

Wyszarpnęła rękę, zamachnęła się, ale Jamie zdążył tę rękę pochwycić. Szarpnął i nagle Eliza znalazła się bardzo blisko, niemal w jego ramionach. A na jej twarzy pojawił się osobliwy uśmiezek, drwiący, pełen złośliwej satysfakcji. Z tym uśmieczkiem spoglądała gdzieś przed siebie, ponad jego ramieniem.

Jamie odwrócił się i serce w nim zamarło. W drzwiach stała piękna dama w skromnym i wytwornym stroju. Ciemnozłociste loki upięte starannie na czubku głowy, spódnica granatowa, śnieżnobiała bluzka zapięta pod samą szyję, a na bluzce niewielka broszka jako jedyna ozdoba.

– Proszę o wybaczenie – powiedziała Tess równym, dźwięcznym głosem. – Przyproceedził mnie młody oficer, mówił, że pan chce się ze mną widzieć. Nie ośmieliłabym się tu wejść, ale ów oficer pchnął drzwi bez pukania i zaprosił mnie do środka. Czuję się ogromnie zażenowana. Dobry wieczór, panno Worthingham. Panie poruczniku, czy pan mnie wzywał?

– Ależ skąd!

– W takim razie państwo wybaczą. – Odwróciła się, lekkie kroki zastukały po schodkach werandy.

Eliza zaśmiała się w głos, ale tylko raz, bo Jamie już do niej doskoczył i chwyciwszy ją za ramiona, potrząsnął nią z całej siły. Jego twarz aż pobladła ze złości.

– To ty! To ty okłamałaś tego oficera!

– I co z tego? Drobne kłamstewko nie zaszkodzi, a teraz przynajmniej ona przestanie wodzić cię na swoim pasku!

Jamie nie odpowiedział. Odepchnął ją od siebie i rzucił się do drzwi. Nie dbał o to, że jest bosi i półnagi. W końcu spodnie miał na sobie.

– Tess!

Nie odezwała się, nie odwróciła. Przeciwnie, przyspieszyła tylko kroku.

– Tess!

Dopadł do niej, chwycił mocno za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie.

– Tess!

– Co? – burknęła, próbując wyzwolić się z jego rąk.

– Dlaczego uciekasz? Wołałem cię!

Tess nie odzywała się, modłać się w duchu, żeby choć w połowie udało jej się być tak spokojną, jak by sobie tego życzyła. Nie podejrzewała niczego. Młody żołnierz zapukał do niej przed chwilą i bardzo grzecznie przekazał prośbę porucznika Slatera. Tess była pewna, że wynikała jakaś pilna sprawa związana z wyjazdem. A może i nie tak pilna, może porucznik chciał jeszcze raz zaznaczyć, że

wyjeżdżają o świcie i bardzo prosi, aby panna Stuart o odpowiedniej porze zerwała się z łóżka. Albo zawiadomi, że załadował do jej wozu jakieś rzeczy, których, broń Boże, nie wolno dotykać...

Tess nigdy by się nie spodziewała, że widok porucznika, obejmującego inną kobietę, będzie dla niej takim wstrząsem. A to było straszne. Zobaczyć tę brunetkę, ubraną tak wyzywająco, i ten jej ogromny biust wciśnięty w pierś porucznika...

Jamie i Eliza na pewno od dawna są kochankami i będą nimi nadal, kiedy porucznik Slater, po odwiezieniu panny Tess Stuart do Wiltshire, powróci do fortu. Ale zanim wróci w objęcia Elizy, stanie się jeszcze coś. Kochankami zostaną Tess i Jamie, bo Tess nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnęła żadnego mężczyzny...

I to będzie żalosne. Lepiej więc, żeby porucznik Slater nie jechał z nią do Wiltshire...

– Do diabła, Tess... panno Stuart! Wystłucha mnie pani, czy nie?

– Nie sądzę, żeby to w ogóle było istotne. Ale proszę, niech pan mówi.

– To było ukartowane.

Tess milczała. A on czuł w sobie coraz większą złość.

– A tak właściwie, to po co ja się tłumaczę! – krzyknął gniewnie. – Może pani sobie myśleć, co pani chce, panno Stuart! – Jego ręce opadły. Odwrócił się, zaklął i ruszył przed siebie.

Tess przez dłuższą chwilę stała nieruchomo. Nagle zawołała:

– Poruczniku!

Odczekała, aż kroki umilkną. A więc przystanął. Wtedy odwróciła się, spojrzała na wysoką postać mającą w mroku.

– Ja wierzę panu, poruczniku, że to było ukarowane. I bardzo mi żal panny Worthingham, że ona czuje potrzebę posuwania się aż do takiej intrygi... do takiej mistyfikacji. Może powinien pan, poruczniku, obdarzyć ją większą czułością?

Usłyszała przekleństwo, bardzo nieprzystojne, i porucznik odmaszerował, a Tess wróciła do domku Caseyów, gdzie czekała ją ciężka noc, bo tylko na wpeł przespana. Jakże bowiem spać, skoro w głowie kołacze ciągle to samo pytanie. Co robi teraz porucznik Slater? Czy poszedł za radą Tess i okazuje właśnie pięknej brunetce więcej czułości?

Zasnęła tuż przed świtem, chyba tylko na chwilę, bo już budził ją dziarski głos:

– Tess, pobudka! Wstawaj, złotko! Tu jest garnizon kawalerii, życie zaczyna się o brzasku!

Nieoceniona Dolly wsunęła do rąk Tess cynowy kubek z gorącą kawą i nie przestając paplać ani na chwilę, zaczęła krzątać się po pokoju.

– Co nałozysz, Tess? Może tę białą sukienkę z bawełny? Na podróż w sam raz, poza tym materiał cienki, a dzień zapowiada się upalny. Dlatego nałóż tylko jedną halkę i pamiętaj, żadnego gorsetu! Pij tę kawę, pij i pospiesz się! Porucznik Slater i Jon Czerwone Pióro czekają już na nas!

Na nas? Tess spojrzała na Dolly uważniej. Jej strój był wyraźnie podejrzany. Podróżna suknia

w kolorze malwy, na głowie kapelusz z szerokim rondem.

– Na nas, Dolly?

– Jadę z wami, kochanie. O ile, oczywiście, nie masz nic przeciwko temu.

– Naturalnie, że nie. Ale zdajesz sobie sprawę, Dolly, że narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo. Ten von Heusen...

– Domyślam się, Tess. Ale ja... – Znikła wesoła, zażywna jejmość. Dolly wyprostowała ramiona i dumnie uniosła głowę. – Tess, ja nieraz stawiałam czoła niebezpieczeństwu. Pomieszkiwałam w takich miejscach, że niejedna kobieta na samą myśl dostałaby gęziej skórki. Walczyłam z Apaczami, Komanczami, Szoszonami, Czejenami, Siuksami i Bóg jeden wie, z kim jeszcze. A poza tym...

Dumna dama znikła tak samo nagle, jak się pojawiła.

– Tess, ja czuję się tu bardzo samotna – dokończyła Dolly przygnębionym głosem. – Bardzo chcę jechać z tobą. Nie będziesz żałowała. Umieć dobrze gotować, poradzę sobie w każdych warunkach. Ja...

– Dolly, kochana moja, oczywiście, że jedź z nami! – przerwała jej Tess. – Dla mnie to tylko wielka radość!

Dzięki pomocy Dolly Tess ubrała się szybciotko. Zebrały rzeczy, jeszcze raz spojrzały po kątach, czy o niczym nie zapomniały, i pośpieszyły do wozu. Ktoś zdążył już wprząc muły, a z tyłu wozu przywiązał dwa juczne konie. Jamie stał obok swego deresza i dociągał popręgi. Porucznik Slater zmienio-

ny był prawie nie do poznania. Mundur znikł, teraz Jamie miał na sobie bawełnianą koszulę, zwykłe spodnie z grubego płótna i wysokie buty z cholewami. Włosy w nieładzie, a spojrzenie spod niesfornych kosmyków nadzwyczaj chłodne.

– Najwyższy czas – mruknął.

– Przecież jest właśnie świt – oświadczyła nieco urażona Tess.

Jamie zignorował ją, natomiast bardzo uprzejmie skinął głową Dolly, wcale nie zaskoczony jej widokiem. I natychmiast przystąpił do wydawania rozkazów:

– Wsiadajcie. Ruszamy już. Panno Stuart, pani powozi, ale Jon i ja będziemy panią zmieniać. I niech pani nie zapomni nałożyć rękawiczek.

– Nikt nie musi mnie zmieniać. Dam sobie radę.

Z obrażoną miną zaczęła wspinać się na kozioł. Nagle poczuła na swoim ramieniu ciężką dłoń i usłyszała bardzo podirytowany głos:

– Wiem, że pani umie powozić. Ale poradzi sobie pani o niebo lepiej, jeśli będzie się mnie słuchała. I od dziś tak ma być! Zrozumiano?

Cóż mogła zrobić? Tylko warknąć przez zaciśnięte zęby:

– Tak jest, panie poruczniku!

Usiadła na koźle, wzięła lejce do rąk. Dolly zajęła miejsce obok. Jon siedział już na swoim koniu, trochę srokatym, a trochę karym. Jamie wskoczył na okazałego deresza. W tym momencie uchyliły się drzwi kwatery dowódcy. Pan pułkownik zapragnął osobiście pożegnać odjeżdżających.

– Do widzenia, panno Stuart. Życzę pani powodzenia.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

– Poruczniku, Jon, uważajcie na siebie. Chcemy, żebyście do nas wrócili. Wiecie, jak jesteście nam potrzebni.

– Tak jest, panie pułkowniku!

Jamie, choć w cywilnym ubraniu, zasalutował. Drzwi kwatery dowódcy uchyliły się raz jeszcze. Panna Eliza, z włosom rozwianym, sfrunęła ze schodków i przypadła do deresza.

– Och, Jamie, Jamie, proszę, błagam, bądź ostrożny! Ja się tak bardzo boję o ciebie!

– Dziękuję, Elizo, za troskę – powiedział szorstko. – Będę ostrożny.

– Elizo, uspokój się, kochanie! – poprosił pułkownik, odciągając córkę od konia. – Porucznik nieraz już wyjeżdżał z fortu i wiesz dobrze, że zawsze szczęśliwie powracał.

A Tess znów zaczęła się zastanawiać, co też działo się dzisiejszej nocy w kwaterze porucznika Slatera. Była wściekła na siebie, że ta kwestia nadal jest dla niej tak istotna. Nie tylko istotna. Sprawia jej ból, a to było nie do zniesienia.

A jeśli on jednak zostanie... Eliza w tej żółtej sukni jest tak piękna, że aż zapiera dech. Czarne włosy lśnią jak heban, ogromne oczy pełne rozpaczy...

Nagle uświadomiła sobie, że deresz tańczy już w miejscu, a Jamie woła do niej, żeby ruszała.

Krzyknęła na muły. Zaskrzypiały koła i wielki

wóz, kryty białym płótnem, powoli potoczył się ku bramie fortu. Tess nie obejrzała się za siebie ani razu i odetchnęła z ulgą, słysząc, jak wielka drewniana brama zamyka się za nimi.

A więc jadą, naprawdę jadą do Wiltshire. Jamie Slater też jedzie. Panna Eliza, nawet jeśli tej nocy spała w jego ramionach, nie zdołała go przy sobie zatrzymać...

Nie, nie można tak ciągle o tym myśleć. Najważniejsze, że ma przy sobie mężczyznę, który strzela lepiej niż najlepszy rewolwerowiec. To nieważne, że go aż tak bardzo pragnie...

Jeśli wierzyć pogłoskom, Jamie Slater jest jednym z najlepszych strzelców na całym Zachodzie. Może los zechciał w końcu uśmiechnąć się do Tess Stuart...

A może inaczej. Może serce Tess Stuart zostało złamane już na zawsze.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wyglądało na to, że Jamie Slater nigdy niczego nie robił połowicznie. Jeśli mieli już jechać, to jechali naprawdę. Cały ranek, całe przedpołudnie. Jechali bardzo ostrożnie. Jon i Jamie, na zmianę, robili zwiad. Jeden z nich galopował na swoim koniu do przodu, sprawdzić, czy droga jest bezpieczna, drugi zostawał przy wozie.

Koło południa na kozioł dosiadł się Jon i przejął lejce od Tess. Siedzieli sobie teraz we trójkę i gwarzyli. Tess zauważyła, że Dolly i Jon są bardzo ze sobą zżyci. Para starych przyjaciół, znających się od podszewki. Do Tess oboje odnosili się z wielką sympatią, Jon do Tess zaczął konsekwentnie zwracać się po imieniu, jak do starej znajomej, i to było bardzo miłe.

Po jakimś czasie Dolly zebrało się na wspominki.

– Ja i mój Willy przyjechaliśmy do Teksasu, kiedy ty dopiero co przyszedłeś na świat, Tess. Teksas nie był wtedy jeszcze stanem. To była republika,

Republika Teksaska. A o forcie Alamo słyszałaś, prawda? Znałam niektórych chłopców, którzy bronili Alamo przed Meksykanami. Wspaniali chłopcy, prawdziwi ludzie z gór, twardzi, nieustępliwi. Takich ludzi rodzi Teksas. Mojego Willa nie było wtedy w Alamo, wysłali go za Czejenami. Kiedy wrócił, było już po wszystkim. Iluż ludzi wtedy poginęło... Ale Daveya Crocketta wtedy jeszcze nie zabili, o nie, choć ludzie gadają, że tak było. Meksykanie wzięli go do niewoli i torturowali. Zamęczyli go na śmierć, ale nie dał się złamać. Prawdziwy bohater. Tacy są ludzie z gór. Twardzi jak Czarne Stopy, co, Jon?

– Albo Angielki – odparł z uśmiechem Jon.

– Oj, tak, tak, masz rację.

Tess co i rusz zerkała na Jona. Piękny mężczyzna. I wyprzeć się swoich przodków nie może. Kości policzkowe Jona są szerokie, skóra ciemnobrązowa, włosy czarne jak atrament, sztywne i proste. Prawdziwy Indianin, tylko oczy z innego świata. Zielone, głęboką, nasyconą zielenią.

Zielone oczy spojrzały na nią uważniej.

– Przepraszam, Jon – bąknęła, zarumieniona.

– Nie chciałam być natarczywa.

– Nic się nie stało, Tess. Możesz sobie podziwiać mnie do woli. A jeśli jesteś ciekawa, to ci powiem, skąd wzięłam się na tym świecie. Mój ojciec był wodzem Czarnych Stóp, a matka córką angielskiego baroneta.

– Baroneta?

– A jakże! Sir Rogera Benningtona. Dziś to

staruszek, ale bardzo dziarski. Domyślasz się, że sir Roger wcale nie marzył o wydaniu córki za Indianina. Moja matka została porwana przez Indian, los jednak chciał, że pokochała mego ojca. Pokochali się oboje i matka została u Czarnych Stóp, dopóki ojca nie zabili. Wtedy wróciła do Anglii. Niestety, matka też już nie żyje.

– To bardzo smutne, Jon.

– Ale i piękne, Tess. Moi rodzice byli ze sobą bardzo szczęśliwi.

– A gdzie ty się wychowałeś, Jon? Mówisz inaczej niż biali z Teksasu czy tutejsi Indianie.

– Urodziłem się na Czarnych Wzgórzach, w Dakocie. Ale matka, jeszcze przed śmiercią ojca, wysłała mnie do Anglii. Przekonała go, że tak będzie dla mnie najlepiej. Ona wiedziała, że dni Indian są policzone. Bizony zostaną wybite, biały człowiek nieustannie będzie parł na Zachód. Dla Indian zostaną w końcu tylko wody oceanu albo rezerwy, puste, bez zwierzyny. Będzie to więzienie dla Indian.

– W twoim głosie nie słychać jednak goryczy, Jon.

– Gorycz jest uczuciem złym, podstępny. Niszczy człowieka. To uczucie trzeba umieć w sobie zwalczyć.

– A jak ty w ogóle żyjesz, Jon?

– Bardzo rozmaicie. Teraz jadę z wami, bo po prostu tak sobie postanowiłem. Potem wrócę tam, gdzie serce ciągnie. Do plemienia mego ojca. A w każdej chwili, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota,

mogę jechać do Londynu, do dziadka. Pogadać ze starszym, pójść z nim do opery i teatru. Dziadek ma niezłą zabawę, kiedy wszyscy wytrzeszczają oczy na jego indiańskiego wnuka. A tak przy okazji... Umiem nosić surdut, podobno całkiem niezłe w nim wyglądam. Ale Zachód noszę w sercu, Tess. Kocham moich indiańskich braci, kocham konie, stukot kopyt, kiedy gnam po równinie, kocham tę wyschniętą surową ziemię. I lubię jeździć z Jamie'em. Porucznik Slater dobrze dogaduje się z ludźmi, on ich zna. Większość swego życia walczył, ale nie zapomniał, co to człowiek. I on walczy tylko z mężczyznami, nigdy nie napada na słabszych od siebie, Tess...

Zielone oczy przez moment popatrzyły na Tess bardzo uważnie.

– Jamie ci wierzy, Tess. On wie dobrze, do czego zdolny jest biały człowiek. Nieraz jeździł do osad indiańskich po napadzie białych. Dla wielu białych ludzi indiańskie dziecko to nie dziecko, tylko Indianin, który w każdej chwili może wystrzelić strzałę z łuku i zabić. Był kiedyś taki porucznik, który swoim żołnierzom kazał strzelać tylko do kobiet. Dzieci zabijano inaczej. Żołnierz chwycił jedno dziecko i walił jego główką o główkę drugiego. Zabił, a kulę oszczędził.

– Chryste Panie...

– Tak było, Tess, tak było. Jamie zdążył się napatrzeć na różne rzeczy jeszcze podczas wojny. On pochodzi z pogranicza Missouri i Kansas, dobrze wiesz, co tam się działo...

– Ale wojna skończyła się pięć lat temu – prze-wrała Dolly ostrym głosem. – Lepiej już nie wracać do tego, trzeba to wszystko zostawić za sobą. Teraz pan Grant jest prezydentem...

– I powinien bardziej interesować się tym, co dzieje się na Zachodzie – mruknął pod nosem Jon.
– Tess, byłaś kiedyś w Londynie?

– A skądże! Nigdy nie wyjeżdżałam z Teksasu.

– Wielka szkoda. Taka dama jak ty powinna poznać świat.

Uśmiechnął się, elegancko skłonił głowę i, jak to Jon, raptem odezwał się jak prawdziwy angielski dżentelmen:

– Panno Stuart, dla mnie byłby to zaszczyt niebывały, gdyby pani kiedyś pozwoliła mi towarzyszyć sobie w podróży do Europy.

Do wozu podjechał Jamie, z miną jak chmura gradowa. Tess dyplomatycznie zakryła oczy powiekami. Jamie na pewno słyszał ostatnie słowa Jona, a Jon powiedział, co powiedział, bo zauważył nadjeżdżającego Jamie'ego. Tego Tess była całkowicie pewna.

– Jon? Chcesz wsiąść na konia? – spytał Jamie.

– Ja mogę teraz powozić.

– Zgoda.

Jon odłożył lejce i zeskoczywszy zręcznie z kozła, ruszył na tył wozu, gdzie uwiązał swego ciemnego srokacza.

– Mogę powozić sama – zaprotestowała Tess.

– Doceniam pańską troskę, poruczniku, ale nie widzę...

– Panno Stuart, ja teraz będę powoził. Pominąw-

szy wszystko, trzeba oszczędzać białe rączki, które parają się piórem.

– Pozwól mi, pozwól – odezwała się pojednawczym głosem Dolly, poklepując Tess po kolanie. – Jamie ma rację, przecież sama mówiłaś, że czeka na ciebie ta twoja gazeta. A ja zdrzemnę się chwilkę, oczy jakoś dziwnie same mi się zamykają...

Ziewnęła szeroko, wstała z kozła i postękując, wsunęła się do środka wozu. Tess patrzyła z uśmiechem, jak Dolly mości się na pościeli wuja Josepha. W tym czasie Jamie usadowił się na kozle i chwycił za lejce. Jon przemknął na swoim srokaczu, można więc było ruszać w dalszą drogę.

Jechali w milczeniu, Tess czuła się skrępowana nieoczekiwanym sam na sam z porucznikiem, skrępowana również tym, że z powodu jego bliskości temperatura jej ciała zdecydowanie zaczynała się podnosić.

Jamie pierwszy zaczął rozmowę.

– Dziwna rzecz, że udało się pani wstać dziś w porę – wycedził. – Ale zapewne nie wyspała się pani...

– Przeciwnie, spałam krócej, ale bardzo mocno. Spałam bardzo dobrze – skłamała jak z nut. – A pan, poruczniku? Czy pan w ogóle zmrużył oczy tej nocy?

– Też spałem, czemu nie?

Odpowiedź była enigmatyczna i nadzwyczaj irytująca. Ona przecież pragnęła odpowiedzi bardziej szczegółowej, on chyba się tego domyślał i wcale nie zamierzał sprostać jej oczekiwaniom.

– Podróż też ma pani chyba przyjemną, panno

Stuart. Nie nudzi się pani. Dawno nie widziałem, żeby Jon tak się rozgadał.

– Pan Jon Czerwone Pióro jest czarującym dżentelmenem.

Jamie chrząknął bardzo znacząco.

– A ja nie jestem?

Uzyskał odpowiedź natychmiastową.

– Nie. Pan nie jest. Pan jest butny, zarozumiały. Prawdziwy dopust boży.

– To dlaczego raptem zapragnęła pani mojego towarzystwa?

– Bo umie pan strzelać.

– Aha. I dlatego, że umiem strzelać, wczoraj rano rzuciła się pani w moje ramiona. Z własnej nieprzymuszonej woli i ponadto półnaga.

– Półnaga? Wypraszam sobie!

– Ja odczułem to tak, jakby pani była półnaga.

– Panie poruczniku, pan jest podłym, niegodziwym szakalem.

– Ale na szczęście ten niegodziwy szakal umie dobrze strzelać?

– Zgadza się – przytaknęła Tess. – Strzela bardzo precyzyjnie, sama widziałam.

– No cóż... Z tego wynika, że pani za wszelką cenę chce pozostać w Wiltshire. A czy pani nie mogłaby wydawać tej gazety gdzie indziej?

– Mogłabym. Ale gdzie indziej nie miałabym tak dobrej ziemi do hodowli bydła.

– Warto dla kawałka ziemi ryzykować życiem?

– Nie chodzi tylko o kawałek ziemi, panie poruczniku. Chodzi też o to, aby przeciwstawić się dranio-

wi, który zabił mojego wuja. Bo to on nasłał morderców. Czyli to on zabił. I dlatego teraz ja zabiję jego.

– Korzystając z pomocy podłego szakala, który dobrze strzela?

– Korzystając z pomocy każdego, kto gotów jest jej udzielić. A ja czuję, panie poruczniku, że pan mi wierzy. Pan wierzy, że za tym napadem stoi von Heusen.

– No cóż... Mam jeszcze pewne wątpliwości, ale zdecydowałem się pojechać z panią do Wiltshire.

W oczach Tess pojawił się lęk.

– Tylko pojechać?!

– A pani czegoś jeszcze ode mnie oczekuje?

– Przecież pan sam powiedział, że dojdzie prawdy. Obiecał pan to Klarze!

– Zgadza się. Ale nie obiecywałem, że w obronie pani interesów będę z kimkolwiek walczył.

– Łajdak!

– Proszę się uspokoić, panno Stuart! Mocne wyrazy dziwnie brzmią w ustach młodej damy z Południa. Proszę lepiej powiedzieć dokładniej, czego pani ode mnie oczekuje.

– Chcę, żeby pan i Jon zostali w Wiltshire, byli tam, kiedy von Heusen naśle na mnie swoich ludzi. Niech ten drań się przekona, że ja też mam swoich ludzi, którzy potrafią strzelać.

– Rozumiem. Jon Czerwone Pióro i ja przeciwko zgrai wynajętych rzezimieszków. Czyli obaj mamy dać się podziurawić tylko dlatego, że pani łaskawie nazwała mnie podłym szakalem?

Tess wstrzymała oddech i szybciotko policzyła do dziesięciu. Potem do dwudziestu. Ten porucznik wyśmiewa się z niej, a więc naprawdę jest najpodlejszym szakalem. Znów zaczęła liczyć, doszła do dziesięciu, gdy jej ręka mimo woli wykonała gwałtowny ruch.

Natychmiast silne, umięśnione ramię zacisnęło się wokół jej pleców jak obręcz.

– To zbyt ciche – wysyczała, próbując się wyzwolić.

– Czyżby? W pani towarzystwie wolę nie tracić czujności.

Tess zakłęła. Porucznik zaśmiał się, ale w szarości jego oczu zaczynało niebezpiecznie błyskać.

– Możemy dobić targu, panno Stuart.

– Targu?

– Tak. Jeśli mam umrzeć, to chcę umierać za coś więcej niż za jeden uśmiech.

Jego ramię grzało niebezpiecznie, Tess miała uczucie, jakby palące promienie słońca przesywały ją aż do środka. Jednocześnie, rzecz osobliwa, drżała na całym ciele. A policzki na pewno były już purpurowe.

On mógł myśleć tylko o jednym, to nie ulegało wątpliwości.

Powinna być oburzona. Powinna wykrzyknąć mu w twarz, że ma iść do diabła, bo Tess Stuart ceni sobie honor nad życie. Było jednak coś, co nie pozwalało jej się oburzyć, co jak fala oceanu to oburzenie zmywało i przyśpieszało puls do zawrotnej szybkości. Coś, co porucznik wyczuwał dosko-

nale i dlatego na jego ustach błąkał się obrzydliwy, drwiący uśmieszek.

Ten irytujący porucznik był ekscytujący, zmysłowy, męski. Jego zapach, uścisk jego ramion oszałamiały, budziły tęsknoty, jak wtedy, podczas ich pocałunku. Tęsknoty, pragnienia, nad którymi nie sposób zapanować. Co nie znaczy, że nie można zapytać głosem w miarę spokojnym:

– Czy z panną Elizą też pan dobijał takiego targu, poruczniku?

– Co? To ona nadal zaprzęta pani myśli?

– A pańskie?

Jamie odrzucił głowę w tył i wybuchnął nagle głośnym śmiechem.

– Ta sytuacja wcale nie jest zabawna, poruczniku.

– Jest, jest, panno Stuart. I zaspokoję pani ciekawość. Z panną Worthingham nie musiałem dobijać żadnego targu. Ale wróćmy do naszych spraw. Najpierw należałoby chyba określić przedmiot targu. W oczach pani czai się lęk, panno Stuart, pani myśli bieżną więc jednym tylko torem. Ten kawalerzysta to łajdak, nie sięgnie nawet po kolta, póki nie dostanie tego, co mężczyźnie bardzo miłe. Cóż więc ja biedna mam uczynić? Zapomnieć o godności i przystać na wszystko, czego ten podły szakal zażąda?

– Ktoś powinien pana zastrzelić!

– I to się stanie, jeśli ulegnę pani zachciankom. Chociaż może i warto... Jakże pięknie byłoby umierać, czując jeszcze na ustach smak pocałunków nadzwyczajnej panny Stuart!

Podlec! Tess szarpnęła się wściekle, niestety, ramię porucznika ścisnęło jeszcze mocniej.

– Spokojnie, panno Stuart, spokojnie. Ja i tak pani nie puszcze. Znając pani temperament, byłoby to z mojej strony wielką lekkomyślnością. Proponuję, żebyśmy porozmawiali teraz na serio. Ja wiem, że pani jest zdesperowana, gotowa uczynić wszystko, czego zażądam... ale...

– Poruczniku Slater...

– Może po prostu Jamie, co?

Nagle usłyszeli krótki, ostrzegawczy okrzyk i stukot kopyt. Jamie natychmiast puścił Tess i pociągawszy mocno za lejce, zatrzymał muły.

– Co jest, Jon?

– Komanczowie.

– Ilu?

– Co najmniej pięćdziesięciu. Rozstawieni są na wzgórzu, za następną wydumą.

– Chcą walczyć?

– Nie sądzę. Są, co prawda, w barwach wojennych, ale według mnie tylko na pokaz. I jestem prawie pewien, że to wódz Płynąca Rzeka ze swoimi ludźmi.

Jamie bez słowa zeskoczył z kozła, znikł za wozem i już wyjeżdżał stamtąd na tańczącym deresz.

– Jon, jedziemy! Trzeba pogadać z Płynącą Rzeką! Proszę jechać, panno Stuart.

– Chwileczkę... – zaczęła Tess.

– Pani chciała sama powozić, prawda? – rzucił Jamie. – No to teraz jest sposobność.

Spiął konia i obaj z Jonem ruszyli przed siebie galopem.

Tess, klnąc cicho, chwyciła za lejce.

– Komanczowie? Boże drogi – dał się słyszeć z głębi wozu zaspany głos Dolly. – Tess, dziecko, już idę do ciebie.

Wgramoliła się na kozioł, Tess krzyknęła na muły i wóz ruszył. A kiedy wtoczył się na piaszczyste wzniesienie, Tess poczuła, jak paniczny strach ścisną ją za gardło.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie byli Komanczowie. Rozsiani po całym wzgórzu. Nadzy do pasa, w spodniach z jeleniej skóry, głowy przystrojone barwnymi piórami. W rękach tarcze i włócznie albo kołczan na plecach, a w dumnie wyciągniętej dłoni wielki łuk.

Siedzieli na swych koniach nieruchomo, jak posągi odlane z brązu.

Przez głowę Tess przemknęła niewesoła myśl, że to chyba jakieś fatum i że jednak sądzone jej zginąć właśnie z rąk Indian. Serce Tess biło jak szalone, lejce wyślizgnęły się z jej drżących dłoni. Przed sobą widziała Jona i Jamie'ego, siedzących na koniach, też zastygłych, też nieruchomych jak posągi.

Słońce złociło swym blaskiem niebo i równinę, zdawało się, że horyzont nie istnieje, że w górze i w dole jest jedna złocista przestrzeń, wypełniona ciszą. Ciszą absolutną.

Prawa ręka Jamie'ego uniosła się w górę, w powitalnym geście.

W odpowiedzi od strony wzgórza dobiegł okrzyk, dziwnie wysoki, przeraźliwy.

Nagle ziemia zadrżała. Konie Komanczów z miejsca ruszyły cwałem i wzbijając kłęby ziemi, rwały w stronę wozu Tess. Patrzyła przerażona. I urzeczona, nikt bowiem tak nie jeździ jak Komanczowie. Nikt nie potrafi, tak jak oni, położyć się na szyi konia, zsunąć w dół, prześlizgnąć się na drugą stronę i znów pojawić się na jego grzbiecie.

Pędzili jak szaleni, ich dzikie okrzyki były coraz bliżej, coraz głośniejsze.

– Boże wielki – szepnęła przerażona Tess. – Oni zaraz nas pozarzynają.

– Nie sądzę – odparła Dolly zdumiewająco spokojnym głosem. – To wódz Płynąca Rzeka. On i Jamie zawarli braterstwo krwi.

– Braterstwo krwi...

– A tak. Komanczowie są bardzo wojowniczy, wiadomo, ale to są Komanczowie znad Szarego Jeziora. Ich wódz, Płynąca Rzeka, woli pokój, i to dzięki Jamie'emu. Bo porucznik Slater potrafił się z nim ułożyć. Naturalnie, że nadal zdarzają się napady Komanczów, ale nigdy nie są to Komanczowie, których wodzem jest Płynąca Rzeka.

Tess nie była jednak przekonana do końca. Komanczowie, co prawda, nigdy nie napadali na Wiltshire, niektórzy z nich nawet czasem wynajmowali się do pracy w mieście. Ale Tess słyszała też, i to nieraz, do czego to plemię jest zdolne. Dlatego skóra cierpła na niej ze strachu, kiedy niesamowity rój

półnagich jeźdźców nieuchronnie zbliżał się do jej wozu.

Już dopadli wozu. Teraz galopowali dookoła, potrząsając groźnie łukami i włóczniami, cały czas wydając groźne okrzyki. Tess siedziała jednak spokojnie, bez ruchu, sama nie wiedząc, czy z jej strony to odwaga, czy paraliżujący strach.

Jamie i Jon także nie ruszali się z miejsca. Spokojnie siedzieli na swych koniach, popatrując na Indian. Ani Jon, ani Jamie, żaden z nich nie sięgnął po broń.

Nagle, dosłownie w jednej chwili, wszystkie konie stanęły. Dzikie okrzyki umilkły, znów zapadła cisza.

Jamie po raz drugi podniósł rękę.

Jeden z indiańskich koni ruszył z miejsca. Powoli, stępa podchodził do Jamie'ego. Na grzbiecie konia siedział rostry wojownik. Włosy czarne, długie, opadające na nagie plecy. Na głowie opaska, za opaskę wetknięte tylko jedno ciemne pióro.

Zatrzymał się przed Jamie'em i wyciągnął rękę. Czerwony człowiek i biały człowiek uścisnęli sobie dłonie.

Indianin odezwał się pierwszy, Jon i Jamie słuchali z wielką uwagą. Potem mówił Jamie, szybko, płynnie, w języku zupełnie niezrozumiałym dla Tess. Po Jamie'em parę słów powiedział Jon, potem znów mówił Indianin.

– A widzisz – mruknęła Dolly. – Oni tak zachowywali się tylko na pokaz. Wcale nie mają wobec nas złych zamiarów.

Tess milczała, oddychając teraz wyjątkowo głęboko. Z ulgą. Bo to, co widziała przed chwilą, było dowodem niezbitym. Ona widziała już nacierających jeźdźców, pomalowanych, przystrojonych piórami. Ale tamci jeźdźcy siedzieli na koniach osiodłanych, tamci jeźdźcy nie potrafili w pełnym galopie przesunąć się pod brzuchem konia i nie wydawali z siebie dzikich okrzyków. Tamci jeźdźcy jechali w ciszy, aby dokonać masakry.

Tamci jeźdźcy byli biali.

– Dolly? Rozumiesz, o czym oni mówią?

– A skąd! Dla mnie to jeden pogański bełkot.

Nagle Tess zeszywniała. Jamie, dalej coś mówiąc, wyraźnie wskazał ręką na nią. Indianin skinął głową, popędził swego konia i zaczął zbliżać się do Tess. Jamie też popędził swego deresza i ruszył w ślad za Indianinem.

Zeszywniała jeszcze bardziej, kiedy Komancz zatrzymał się tuż przed nią. Przez chwilę tylko na nią patrzył. Ona też patrzyła. W surową, nieruchomą twarz, pokrytą kolorowymi smugami.

Nagle Komancz uśmiechnął się i przemówił. Tess skwapliwie odwzajemniła uśmiech, mrużąc jednocześnie do Jamie'ego:

– Co on powiedział?

– Powiedział, że to nie on zabił twojego wuja.

– Powiedz mu, że ja to wiem.

Jamie powiedział kilka słów, potem mówił wódz Płynąca Rzeka. Tess nie pozostawało nic innego, jak uśmiechać się nadal i parę razy uprzejmie skinąć głową. Po czym znów mruknęła do Jamie'ego:

– O czym mówicie?

Jamie uśmiechnął się.

– Powiedziałem mu, że jadę z tobą do Wiltshire i postaram się dojść, kto jest prawdziwym winowajcą. Zrobię to, o ile, oczywiście, rzecz cała warta będzie zachodu. Wódz powiedział, że ty na pewno już się o to postarasz. I powinienem dobić z tobą targu.

– Och... – Tess sapnęła gniewnie i sposepniała.

Wódz również sposepniał.

– Tess, uśmiechaj się – rzucił Jamie przez zęby.

– Uśmiechaj się, proszę!

Cóż robić.... Uśmiechnęła się, i to najładniej jak umiała. Wódz też się uśmiechnął i coś powiedział. Tess spojrzała pytająco na Jamie'ego, ale porucznik milczał.

Przetłumaczył Jon.

– Wódz powiedział, że jesteś bardzo piękna i Jamie powinien cię dobrze pilnować.

Wódz i Jamie uścisnęli sobie ręce. Wódz podniósł włócznię, odrzucił głowę w tył. Z jego ust wydobył się przeraźliwy okrzyk i znów kopyta końskie zadudniły o wyschniętą ziemię. Półnaczy jeźdźcy, jak kuleczki rtęci, rozsypali się po równinie, gnając przed siebie z nieprawdopodobną prędkością. W kierunku wzgórza, zza którego tak nagle się wyłonili.

Kiedy kurz opadł na ziemię, nie widać już było nikogo.

– Ruszamy! – krzyknął Jamie.

Tess posłusznie chwyciła lejce i popędziła muły.

- Teraz ja będę powoziła – oświadczyła Dolly.
- Ależ, Dolly, nie musisz...
- Nie muszę, ale chcę, Tess. Mam tu siedzieć cały czas z założonymi rękami? Daj te lejce, Tess, przed nami jeszcze długa droga, zapewniam cię, że zdążysz się zmęczyć.

Była to prawda. Jechali długo, bardzo długo. Słońce już zaszło, powiało wieczornym chłodem, a oni jechali dalej. Jechali do miejsca, gdzie była woda.

W końcu Jamie zarządził postój, pokazał też od razu, która ścieżka prowadzi do źródła. Tess pobiegła tam natychmiast, słysząc za sobą posapywanie Dolly, również spragnionej ochłody.

Woda biła ze ściany skalnej i spływała w dół, na ziemię. Wąziutki strumyczek nie szerszy niż kilkadziesiąt centymetrów. Ale to była woda! Tess przykucnęła, nabrała wody w obie dłonie. Piła łapczywie, potem lała sobie tę chłodną rozkoszną wodę na twarz, na szyję, nie dbając o to, że moczy suknię. Dolly zachowywała się stateczniej. Przyklękła, zamoczyła chustkę do nosa, otarła sobie nią twarz i przyłożyła do dekoltu.

– O, jak mi dobrze! Pan Bóg jest dla nas tak łaskawy... Jamie, Jamie! – wołała, patrząc gdzieś nad głowę Tess. – Chodźże tutaj, ta woda jest cudowna!

Tess znieruchomiała, zdając sobie nagle sprawę, że Jamie stoi tuż za nią.

Dolly podniosła się ciężko z kolan.

– Pójdę zobaczyć, czy Jon rozpałił już ognisko.

Jamie przyklął w miejscu zwolnionym przez Dolly. Zrzucił kapelusz, rozwiązał chustę, którą miał omotaną wokół szyi, zamoczył chustę i z wyraźną przyjemnością potarł sobie całą głowę i szyję. A Tess nie odrywała od niego wzroku.

Zauważył to. Uśmiechnął się i delikatnie dotknął jej ramienia, okrytego mokrym materiałem.

- Mokra jesteś.
- Nie szkodzi – bąknęła.

Znów się uśmiechnął i było oczywiste, że przypomniał sobie teraz inny strumień, nad którym było im już dane być sam na sam.

- Podoba mi się, jak jesteś mokra, Tess.
- Przestań, ty...
- Dobrze, dobrze, panno Stuart.

Przysiadł na ziemi, jego dłonie leniwie przesunęły się po kolanach.

- Musimy porozmawiać.

Wcale nie zamierzała się rumienić, tak jednak się stało. A niech to licha!

– O czym? – spytała dziwnie zmienionym głosem i wzięła głęboki oddech, aby się odprężyć.

– O tym, czy ma pani zamiar dobić ze mną targu, czy nie.

Tess milczała. Jej myśli, naturalnie, pobiegły tym jednym jedynym torem. A ciało znów zaczął ogarniać ten sam utrapiony żar.

- A więc jak?
- Jednak jest pan draniem, poruczniku.
- Spokojnie, panno Stuart. Dobijemy więc targu, czy nie?

Zerwała się na równe nogi. Bo tak łatwiej było wyrzucić z siebie te słowa:

– Tak! Tak! Bo ma pan rację, poruczniku! Jestem zdesperowana! Może pan dostać wszystko, czego pan chce!

Odwróciła się, z nadzieją, że jej gwałtowny ruch był jednak dystyngowany. Na moment przed oczyma zrobiło jej się ciemno, zachwiała się, na szczęście tuż pod ręką była jakaś litościwa gałąź.

– Panno Stuart!

– Na litość boską! Co znowu?

– Pani ucieka, nie wysłuchawszy wcale, czego ja właściwie od pani chcę.

– Co?

– Powiedziałem, że...

– Ale...

– Oj, panno Stuart, zdaje się, że ciągle ma pani nieczyste myśli! – Uśmiechnął się i zreżymnie poderwał się z ziemi.

Tess natychmiast cofnęła się o krok. Jej plecy natrafiły na drzewo. Porucznik, nie przestając się uśmiechać, stanął przed nią. Wyciągnął rękę, jego palce delikatnie przesunęły się po jej policzku.

– Chcę ziemi.

– Co?!

– Chcę porządny kawał ziemi. Pani ziemi, oczywiście. Parę sztuk bydła też by mi się przydało. Jeśli mam umierać za pani ziemię, to przynajmniej niech jakiś kawałek będzie na moje nazwisko.

– Zaraz... zaraz... To pan chce właśnie tego?

– Właśnie tego.

– Ziemi?

– Tak, ziemi, panno Stuart. Nie przestyszała się pani.

Tess oparła się mocniej o drzewo i dodatkowo objęła je rękoma. Tylko dzięki temu nie upadła. Jej policzki znów pokrył szkarłatny rumieniec.

– Drań – wysyczała. – Cały czas daje mi pan do zrozumienia, że... O, Boże! Pan jest nędzną kreaturą, panie poruczniku...

– A pani jest rozczarowana?

Krzyknęła coś niezrozumiale i nagle jedna z jej rąk oderwała się od drzewa. Zamachnęła się, ale niestety tym razem porucznik był szybszy. Pochwycił jej rękę, a swoją drugą ręką przyciągnął Tess do siebie.

– Proszę, niech pani nie będzie zła.

– Jestem zła. Mam ochotę wydrapać panu oczy!

– Jeśli pani to zrobi, trudno mi będzie celować w von Heusena.

– Nie szkodzi. Ja sama rozprawię się z wami obydwoma. Przestrzelę wam kolana.

– Wtedy trudno mi będzie dochodzić prawdy.

– Rzeczywiście. A więc poczekam. Najpierw pan dojdzie prawdy, potem ja wydrapię panu oczy i przestrzelę kolana. A teraz proszę mnie puścić.

– Nie, jeszcze nie. Jakoś nie wierzę, że wydrapywanie oczu odłożyła pani na później.

Pochylił głowę. Jego usta znalazły się niebezpiecznie blisko jej warg. I Tess pomyślała, że to znów się stanie, i to teraz... zaraz. Porucznik znów ją pocałuje, a jej nie starczy sił, żeby się opierać. Mimo jego wcześniejszych przewinień.

– Czy pani wie, panno Stuart, że pani usta są wyjątkowo kuszące?

– Ach! Na pewno nie tak kuszące jak moje bydlę i moja ziemia!

– A jednak jest pani rozczarowana.

– Nie jestem rozczarowana, przeciwnie, czuję nieprawdopodobną ulgę.

– Jakoś nie chce mi się w to uwierzyć.

– Nic dziwnego, bo jest pan wyjątkowym egoistą. Nędznym szczurem!

– A pani mnie zachwyca. Sam nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że pachnie pani tak ładnie różami, choć dzień był ciężki i upalny. I włosy ma pani takie złociste, a oczy jak leśne fiołki. Nie, nie, to jeszcze nie to. Pani przede wszystkim oczarowała mnie swoją elokwencją. Wyjątkowy egoista... Nędzny szczur... Jakie to wyrefinowane...

– Niech pan mnie puści!

– Ja pragnę cię, Tess.

– Co?!

– Pragnę cię, Tess. Jak wariat. Ale to nigdy nie będzie przedmiotem naszego targu, o nie! Ty sama zadecydujesz. Będziesz sobie to przemyśliwać, rozważysz wszystkie za i przeciw. A pewnej nocy obudzisz się i pomyślisz, że to jednak musi się stać... I tak się stanie, Tess, ja to czuję, kiedy teraz cię dotykam, kiedy jesteś tak blisko mnie...

– Oszalałeś!

– Czyżby?

Pochylił głowę. Nie miała wątpliwości, że zaraz ją pocałuje.

– Nie! – krzyknęła, ale to był króciutki krzyk, bo on już ją całował, a ona zaczynała roztapiać się w tym pocałunku. Pełna nienawiści do siebie za swoją uległość, i do niego, że miał rację. Ona na pewno go zapragnie, ona już pragnęła.

Nagle przestał całować, jego usta musnęły jeszcze jej czoło i policzek.

– Tak, jestem egoistą – powiedział cicho.

Na chwilę przestał być czujny, a ona nie mogła nie wykorzystać tej sposobności. Ugodziła go kolaniem, co prawda nie tam, gdzie chciała. Była jednak pewna, że zrobiła mu na udzie porządnego siniaka.

Porucznik jęknął, szare oczy błysnęły gniewnie.

– Panno Stuart, jeszcze jeden taki gwałtowny ruch i zapomnę, że jestem dżentelmenem...

– Wielki mi dżentelmen! Pan tak szafuje tymi swoimi ustami, że aż przykro! Bo nietrudno się domyślić, gdzie one były ubiegłej nocy!

– Gdzie były ubiegłej nocy... – powtórzył przeciągle. Jego oczy znów zabłyśły. – Ejże, panno Stuart! Pani jest zazdrosna!

– Nigdy w życiu!

Uniosła dumnie głowę i ruszyła w drogę powrotną wąską ścieżką, wijącą się wśród drzew. Ścigał ją cichy głos porucznika, który kroczył za nią.

– Ja poczekam na panią, panno Stuart. Poczekam cierpliwie.

– A czekaj pan do sądnego dnia!

– Oj, chyba tak długo czekać nie będę.

– Oj, chyba tak. Nie wszystkie kobiety są tak chętne jak panna Eliza.

– A mnie się wydaje, że wszystkie. W głębi serca...

– Pan się myli.

– Nie. Kobiety to hipokrytki. Ale...

Poczuła na swoim ramieniu ciepłą dłoń. Usłyszała głos, inny teraz, wcale nie drwiący.

– Ale ty jesteś inna, Tess. Takiej kobiety, jak ty, nigdy jeszcze nie spotkałem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Polana, na której rozłożyli się obozem, powitała ich wielce smakowitym zapachem. Na środku płonęło ognisko, przy ognisku stał Jon, pochłonięty pieczeniem niewielkiego zwierzątka nadzianego na szpikulec. Wokół ogniska ułożone były kamienie, na jednym z nich stał duży cynowy dzbanek na kawę. Zza wozu wynurzyła się Dolly, obładowana talerzami i kubkami.

– Królik! – zawołała do Tess. – Nieduży, ale tłuściutki. Jon go upolował i sprawił w minutę.

Tess uśmiechnęła się serdecznie do dzielnego Jona i zebrawszy fałdy spódnicy, przysiadła sobie koło ogniska. Tuż obok, naturalnie, sadowił się już poręcznik.

– Rzeczywiście, trafiła ci się niezła sztuka, Jon – powiedział łaskawie.

– Ojej – jęknęła Dolly, zaglądając do dzbanka. – Tej wody chyba za mało.

– Ja przyniosę! – zawołał Jamie, podrywając się

z ziemi. Chwycił dzbanek i szybkim krokiem ruszył ku ścieżce wiodącej do źródelka. Tess patrzyła za nim zamyślonym wzrokiem, a kiedy zniknął już wśród drzew, zerwała się nagle i pobiegła jego śladem.

– Tess! – krzyknęła Dolly. – A ty dokąd?

– Zaraz wracam!

Dopadła go już przy samym źródle. No cóż, porucznik, jak zwykle, był bardzo szybki. Stał przy skalnej ścianie i podstawiwszy dzbanek pod spływającą strużkę wody, czekał cierpliwie, aż naczynie się napełni. Tess przez dłuższą chwilę wpatrywała się w dzbanek, po czym wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Ile pan chce tej ziemi?

Porucznik wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem... Trudno powiedzieć. Przecież nie wiem, ile pani jej ma.

– Niech pan coś zaproponuje.

– To może... połowę. Tak, połowę tego, co pani posiada.

– Połowę? Pan oszalał!

– Połowę. Albo wracam do fortu.

– Pan nie wie, ile ja mam tej ziemi!

– Nie wiem. I nigdy nie targowałem się jeszcze o coś, czego na oczy nie widziałem.

– Dam jedną czwartą.

– Połowę!

– Nigdy!

– No to naprawdę nie mam tam po co jechać.

– A może... może ja dam panu pieniądze.

– Nie. Powiedziałem już, czego chcę.

Zadrzała. Bo właściwie to wcale nie wiedziała, czego on tak naprawdę chce. Uczepił się tej ziemi, a jednocześnie jego wzrok bez przerwy przemykał po jej całej postaci, w górę i w dół, w górę i w dół. No i ten jego uśmiech...

– Jedna czwarta, poruczniku.

– Nie. Połowa.

Dzbanek był już pełen i porucznik bez słowa szybkim krokiem ruszył ścieżką. Tess właściwie biegła za nim, starając się dotrzymać mu kroku. Na próżno, on i tak pierwszy wkroczył na polanę. Raptem przystanął. Zdążyła wyhamować w ostatniej chwili.

– Połowa – syknął.

– Później o tym porozmawiamy – rzuciła półgłosem. – A pan oszalał. Tak. Oszalał albo jest tak samo pazerny jak von Heusen. Jest pan po prostu jeszcze jednym jankeskim *carpetbaggerem*.

Porucznik nie odezwał się, tylko jakby stężał. Szttywnym, wojskowym krokiem podszedł do ogniska, postawił dzbanek na kamieniu i usiadł koło Jona.

– Kawa będzie lepiej smakowała na pełny żołądek – odezwała się wesołym głosem Dolly. – Zabieramy się do królika!

Jon, krzywiąc się niemiłosiernie, ostrożnie odewał królikowi nogę.

– Ojej, jakie gorące... Według mnie, już gotowe. Częstujcie się!

Nieszczęsny królik migiem został rozszarpany na

kawałki. Mięso było pyszne, wszyscy pałaszowali w milczeniu. Jamie przyniósł z wozu bochenek chleba. Był czerstwy, ale nikomu to nie przeszkadzało. Potem pili kawę, i tak jak zapowiedziała Dolly, na pełny żołądek smakowała nadzwyczajnie.

W czasie gdy jedli i pili, przyszła noc. Bardzo szybko świat spowiła ciemność, ciemność niezwykła, pachnąca, aksamitna. Księżyc na niebie był raczej mizerny, ale gwiazd srebrnych i błyszczących było mnóstwo.

– Pięknie, prawda? – powiedziała rozmarzonym głosem Dolly.

– O, tak, bardzo pięknie – przytaknęła Tess i nagle ziewnęła. – Chyba trzeba zanieść naczynia do źródła i pozmywać.

– Wolne żarty – prychnął Jamie. – Przecież ciemno jak w Hadesie.

I czegoż on znowu się wścieka? Przetrawia ich dyskusję na temat zapłaty? Chyba nie. On, zdaje się, po prostu bardzo lubi drażnić się z panną Stuart. Bo, ogólnie rzecz biorąc, wcale nie jest do niej usposobiony przychylnie. A już na pewno nie teraz, kiedy patrzy na nią tak, jakby chciał ją udusić.

Nic dziwnego, że musiała odezwać się wręcz opryskliwie.

– I co z tego? Wezmę ze sobą latarnię.

W odpowiedzi usłyszała pełen irytacji okrzyk:

– Do diabła! Po nocy nigdzie nie będzie pani sama chodziła!

Poderwał się z ziemi, resztkę kawy wylał w krzaki. Niemal cisnął kubkiem o kamień. I wielkimi krokami ruszył przed siebie w ciemność.

– Co go ugryzło? – spytała cicho Tess.

– A kto go tam wie – mruknął Jon. Powoli podniósł się z ziemi i przeciągnął leniwie. – Szanowne panie! Nie wiem, jak panie, ale ja udaję się już na spoczynek.

– Ale dokąd on poszedł?

– Będzie pierwszy stał na warcie.

– A my wszyscy idziemy spać – oświadczyła Dolly. – Tess, chodź do wozu.

Jon przeciągnął się jeszcze raz i zakrzętnął koło swego legowiska. Rozłożył grubą derkę tuż przy ognisku, a pod głowę siodło. Ułożył się wygodnie, naciągnął kapelusz głęboko na oczy i gotów był do snu. Dolly żwawym krokiem podążyła do wozu, również gotowa natychmiast zasnąć. Tess jednak nie poszła za nią, ale udała się w całkiem odwrotnym kierunku. Za Jamie'em.

Zdążyła wejść między krzewy, kiedy złapał ją mocno za ramię. Tuż przy twarzy dojrzała skrzące złością oczy.

– Co pani tu robi, panno Stuart? – warknął.

– Szukam pana, poruczniku.

– Powiedziałem, że nie wolno pani nigdzie chodzić po nocy.

– Ale ja...

– Panno Stuart! Ja już raz pani powiedziałem. Pani ma się mnie słuchać, bo tutaj ja wydaję rozkazy! A jeśli jeszcze raz usłyszę, że jestem takim samym Jankesem jak von Heusen, to złoję pani tyłek tak, że nabierze barwy skóry Komanczów. Zrozumiano?

Oczy nie tylko skrzyły, one miały błyskawice. Tess nie pozostawało nic innego, jak podjąć natychmiastową decyzję. Odwróciła się na pięcie i szybko ciusieńko pomknęła z powrotem do obozowiska. Z głębi wozu dochodziło cichutkie chrapanie. Dolly spała już snem sprawiedliwego. Tess wsunęła się do środka, zdjęła buty, suknię i ułożyła się na swoim pościeli. Sen jednak nie nadchodził.

Te ostatnie noce jakoś dziwnie są do siebie podobne. Bardzo trudno zasnąć, zbyt dużo myśli kłębi się w głowie i wszystkie, bez wyjątku, dotyczą porucznika. Nawet teraz, choć nawzajem wyrzadzili sobie przykrość, ona o tej przykrości jakby nie pamięta, a na ramieniu ciągle jeszcze czuje uścisk jego mocnych palców...

Ten niepokojący stan należy w sobie bezwzględnie zwalczyć. Porucznik wyraził się jasno. Wychodzi na to, że ta pierwsza deklaracja, jeszcze w dzień, przy źródle, nie ma żadnego znaczenia. Tak naprawdę to on chce tylko ziemi. On wcale nie chce Tess.

Kiedy Tess otworzyła oczy, pościeli Dolly, naturalnie, było już puste. Tess szybko nałożyła swoją brązową sukienkę, niestety, po jednym tylko dniu podróży porządnie już zakurzoną i nieświeżą. Wyskoczyła z wozu i z lubością wciągnęła w nozdrza zapach nader przyjemny. Kawa. Dolly i Jon krzatali się już przy ognisku.

A cóż porabia porucznik Slater?

Odpowiedź uzyskała niemal od razu, porucznik

bowiem był dosłownie pod ręką. Golił się. Nagi do pasa stał przed wozem, wpatrzony w lustro, chytrze ustawione na jednym ze stopni, po których wchodziło się na kozioł. Na stopniu niżej stał kubek z wodą, a w ręku Jamie trzymał brzytwę. Tę polyskującą groźnie brzytwę zbliżał właśnie do swojego policzka.

Musiał dojrzeć Tess w lusterku, bo drgnął i cicho zaklął. Tess stanowczo powinna była teraz się wycofać, jak najszybciej i jak najdyskretniej. Ale jej nogi jakby wrosły w ziemię. Ona po prostu musiała koniecznie sobie popatrzeć. Na te bary spalone na brąz, na bicepsy pyszniące się na ramionach, na kwadratowe płyty mięśni oklejające szeroką pierś, na szczupłe biodra... Dziwna rzecz, ale w gardle zrobiło jej się zupełnie sucho. A przecież widziała już niejednego nagi męski tors. Na ranczu jej pracownicy po długim ciężkim dniu zbierali się przy korycie z wodą przy studni. Ściągali koszule i z lubością polewali się wodą.

Ale co tam oni... Te ich torsy były wręcz żalodne. Żaden męski tors na świecie nie był tak piękny i pociągający jak tors Jamie'ego Slatera. Ten tors sam się prosił, żeby go dotknąć, pogłaskać...

Właściciel torsu musiał wyczuć jej myśli. Ręka z brzytwą zastygła w powietrzu. Spojrzenia Jamie'ego i Tess spotkały się w lusterku. Uśmiech znikł z twarzy Tess, jej policzki załał purpurowy rumieniec. Na szczęście nogi nareszcie zechciały się poruszyć i ponieść ją w stronę ogniska.

– O, ryba! Cudownie! – wykrzyknęła, czując

sama, że jej entuzjazm jest nieco zbyt sztuczny.

– Jon, jesteś wprost niezastąpiony!

– To nie ja – sprostował. – To Jamie złowił.

– Aha...

– Jedz, dziecko – powiedziała Dolly, podając Tess talerz. – Ja idę do źródelka pozmywać naczynia. Zaraz wrócę.

– Kawy? – spytał Jon.

– O, tak. Bardzo proszę.

Wręczył jej kubek, mruknął coś o zaprzęganii mułów i zniknął. Tess została sama w ciepłych promieniach porannego słońca. Odstawiła talerz na kamień i wypila porządny łyk kawy. Rozkosz... Tess, czując się niemal błogo, odchyliła głowę i na chwilę przymknęła oczy.

– Panno Stuart!

Naturalnie, porucznik. Jego oczy można było porównać tylko do dwóch sztyletów.

– Panno Stuart, może pani łaskawie pośpieszyć się z jedzeniem. Wszyscy wstali wcześniej i gotowi są do wyjazdu, wszyscy, naturalnie, oprócz pani. A jeśli zaraz wyruszymy, to może jutro pod wieczór będziemy w Wiltshire.

Tess przez chwilę nieruchomym wzrokiem wpa-trywała się w przystojną męską twarz. Bardzo przystojną i gładziutko wygoloną. I co z tego, skoro sprawa jest ewidentna. Przystojny porucznik ciągle tylko szuka zaczepki.

Bardzo proszę. Chce wojny, będzie ją miał.

Westchnęła cichutko.

– A pan może łaskawie raczy zauważyć, że ja

jestem już ubrana. W przeciwieństwie do pana, bo pan świeci nagim torsem. I zanim pan się ubierze, ja zdążę skończyć moje śniadanie. Jestem tego pewna.

Burknął coś i natychmiast znikł z pola widzenia Tess. A ona szybko zabrała się do pochłaniania resztek smakowitej ryby. Ości wrzuciła w popiół, pomknęła do wozu i wspięła się na kozioł. Kiedy chwyciła za lejce, kątem oka dojrzała, jak porucznik Slater, ubrany już kompletnie, wskakuje na swego deresza.

– Wygrałam! – krzyknęła.

– Dobrze, dobrze. Będę rycerski wobec damy. Wygrała pani, choć zaledwie o włos.

– Ale wygrałam.

– Tego nie kwestionuję. Aha, panno Stuart! Pani pamięta? Połowa ziemi dla mnie.

– Jedna czwarta.

– To się jeszcze okaże.

Podjechał na tył wozu i zawołał:

– Jon, jesteś gotów? A gdzie Dolly?

– Już idę, idę! – krzyczała Dolly. – Oj, chłopcy, ale wy jesteście w gorącej wodzie kąpani! Tak wam pilno w drogę, że gotowi jesteście odjechać beze mnie!

– Bez ciebie? Nigdy! – krzyknęli zgodnie obaj mężczyźni, a Jamie uzupełnił: – Ale czas nagli, Dolly. Bo mnie coś nagle bardzo pilno do tego Wiltshire!

Jeszcze zanim zapadł zmierzch, dojeżdżali do Wiltshire.

– Teraz tam! – powiedziała Tess i wszyscy spojrzeli we wskazanym przez nią kierunku. Spojrzeli z daleka na okazały dom, stojący wśród zielonych padoków ogromnego rancza.

– To wszystko pani, panno Stuart? – spytał Jamie.

– A tak.

Zaśmiał się. Spojrzał na Jona, znów się zaśmiał i ruszył przed siebie dzikim galopem. No cóż, pan porucznik nie posiada się z radości, pomyślała Tess z przekąsem. Był przekonany, że panna Stuart jest jakąś ubogą farmerką od kartofli i wytarguje od niej co najwyżej kilka piaszczystych akrów. A tu – niespodzianka. Ogromne ranczo na obrzeżach miasta i dom piętrowy, rozłożysty, który Joe rozbudowywał latami. Na lewo od domu dwie szopy, na prawo powozownia, pomalowana na czerwono, z tyłu wielki ogród pełen dorodnych warzyw. I wszędzie dookoła bezkresne zielone padoki, na padokach smukłe długonogie klacze, a wśród nich rozbrykane żrebaki. Konie angielskie pełnej krwi. Duma wuja Josepha.

Ściany domu już dawno należało odmalować. Tess zdawała sobie z tego sprawę, ale gdy wybuchła wojna, takie sprawy zeszły na dalszy plan. Człowiek modlił się tylko o jedno. Żeby dom tę wojnę przetrwał. I przetrwał, ale ściany nadal były obdrapane, zmurszałe deski w podłodze szaroniebieskiej werandy skrzypiały niebezpiecznie, a aksamitne zasłony w salonie były wyblakłe i postrzępione. Bo Stuartowie po zakończeniu wojny musieli walczyć dalej. Tym razem z von Heusenem.

Jamie i Jon, na swych rączych koniach, pierwsi zajechali przed dom. Drzwi jednak otworzyły się dopiero wtedy, gdy przed domem pojawił się wóz. Otworzyły się wtedy natychmiast i dwie osoby pędem zbiegły po schodkach werandy.

Mężczyzna i kobieta. Hank Riley, rządca, krzepki mężczyzna o ogorzałej twarzy, i Jane Holloway, młodziutka, pulchniutka i ładniutka, która pojawiła się na ranczu, gdy Tess coraz bardziej zaczynała pochłaniać praca w gazecie.

Hank chwycił w ramiona Tess, zeskakującą z koźła, przytulił i okręcił w kółko.

– Panno Tess! To naprawdę pani! Bogu dzięki, Bogu dzięki! A mówili, że pani nie żyje.

– Żyję, żyję, Hank, i mam się świetnie.

Odwróciła się, słysząc z tyłu ciche pochlipywanie, i pochwyciła w ramiona zapłakaną Jane.

– Kochanie, wszystko w porządku! Ja żyję, naprawdę!

– Och, panno Tess! To cud, prawdziwy cud! A on tu był razem z szeryfem i powiedział, że wróci jeszcze dziś wieczorem. Mówił, że na panią i pana Stuarta napadli Indianie, że oboje państwo nie żyją. Ranczo zostanie wystawione na licytację. Parobcy mogą tu jeszcze zostać...

– A ja i Jane mamy wynosić się natychmiast! – dokończył Hank. – Bo niby Jane i ja byliśmy z państwem za bardzo spoufaleni i lepiej, żebyśmy znikli, zanim zaczniemy rozkradać majątek.

– On? Do diabła, a któż to taki? – przerwał Jamie, zeskakując z konia.

Tess pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– Hank, to porucznik kawalerii, pan James Slater. A to pan Jon Czerwone Pióro. Dzięki obu tym dżentelmenom nie musiałam wracać do domu sama.

Twarz Hanka sposepniała.

– A więc... a więc pan Joseph naprawdę nie żyje.

Tess w milczeniu skinęła głową.

– Wielki Boże – westchnął Hank. – A ja, kiedy zobaczyłem panią, miałem jeszcze nadzieję, że ci Indianie nie zabili pana Josepha.

– To nie byli Indianie, Hank. To byli jego ludzie.

– Znowu on.

– Znowu on! Jego ludzie! – przerwał niecierpliwie Jamie. – Panno Stuart! Czy mówicie cały czas o tym von Heusenie?

– Oczywiście!

– I to on powiedział, że posiadłość, z powodu braku spadkobierców, zostanie wystawiona na licytację?

– Tak. I wróci tu wieczorem – powiedział Hank.

– Będzie pani musiała się z nim spotkać, panno Tess.

Od strony wozu dało się słyszeć ciche chrząknięcie.

– Och, Dolly! Wybacz! – zawołał Jamie i rzucił się skwapliwie, aby pomóc Dolly przy wysiadaniu. Dolly stanęła ciężko na ziemi, uśmiechnęła się do Hanka i wyciągnęła rękę.

– Witaj, Hank! Jestem Dolly Simmons. Miło cię poznać. I panią też, młoda damo. Jane to bardzo ładne imię. Moi drodzy, po długiej drodze w gardle mi zupełnie zaschło. Może wejdziemy do środka i uruczycie nas czymś do picia?

– Ależ naturalnie! Przepraszam – sumitowała się Tess. – Bardzo proszę do środka.

Pierwsza weszła na werandę, za nią Dolly, Hank i Jane. Jon i Jamie nie wstąpili na schodki. Jon zajęty był przywiązywaniem swego srokacza do słupka, a Jamie stał nieruchomo obok swego deresza, Lucyfera.

– Panie poruczniku, bardzo proszę – powiedziała Tess miłym, uprzejmym głosem, cały czas pomna tego, że jej stosunki z porucznikiem są ostatnio nieco napięte.

Potrząsnął przecząco głową, wcale na nią nie patrząc.

– Hank? – spytał. – Czy tamta droga prowadzi do miasta?

– Tak.

– A w tym mieście można się jakoś zabawić?

Hank uśmiechnął się pod nosem.

– W saloonie Benningtona na pewno. Nigdzie nie pogra pan sobie w pokera jak tam, nie napije się lepszej whisky i nie znajdzie lepszych dziewczyn.

Jamie skinął głową i też się uśmiechnął, ale nie do Hanka, tylko do Tess.

– Chyba teraz tam się wybiorę.

– Teraz? – powtórzyła, czując, jak wszystko w środku zaczyna się w niej gotować.

– Każda pora jest dobra – stwierdził pogodnie Jamie.

– Ale przecież ma przyjechać tu von Heusen!

– Nie mam ochoty widzieć się z panem von Heusenem. Jeszcze nie! – oświadczył Jamie i wskoczył

na konia. Spojrzał na Jona, wyraźnie coś mu przekazując wzrokiem, ale Tess spojrzenia szarych oczu nie zdołała przechwycić.

Była wściekła. Co z tego, że Jon zostaje! Jamie, który domaga się połowy jej ziemi, zostać nie raczy, bo nie ma teraz ochoty spotkać się z człowiekiem, z którym ma walczyć!

– Rozumiem, poruczniku! – oświadczyła podniesionym głosem. – Panu nadzwyczaj pilno do miasta i prawdopodobnie zostanie pan tam na noc!

Nie tylko Jamie, ale wszyscy spojrzeli na nią. A więc ona stanowczo musi bardziej nad sobą panować, stanowczo...

Porucznik uśmiechnął się szeroko.

– Myśli pani, panno Stuart, że znajdę tam sobie jakieś miłe zajęcie na całą noc?

Niestety, teraz odezwała się jeszcze głośniej.

– A tego to ja już nie wiem, panie poruczniku!

Odwróciła się i rzuciła się ku drzwiom. Do diabła! Porucznik od dawna jest człowiekiem dorosłym, może upijać się do nieprzytomności, zabawiać z ladcami, przegrać swoje życie w karty. Chwała Bogu, że ma jeszcze na tyle przyzwoitości, aby tym uciechom oddawać się z daleka od jej rancza.

Przeklęty Jankes. Przeklęty Jankes!

– Bardzo piękny dom – chwalili na przemian Dolly i Jon, kiedy weszli do środka.

Tess pomyślała, że chyba trochę przesadzają. Ale na pewno było tu miło i przytulnie. Z sieni wchodziło się do ogromnego pokoju, połączonego z pokojem jadalnym, gdzie na środku królował olbrzymi rzeź-

biony stół przywieziony z Meksyku. Przy tym stole mogło zasiąść i czternaście osób. Na lewo od części jadalnej, vis-à-vis drzwi frontowych, widać było szerokie schody prowadzące na piętro. A bliżej drzwi, na podwyższeniu, stało wielkie biurko wujka Josepha, ustawione na krowiej skórze. Wuj zasiadał w fotelu obitym materiałem z pięknie haftowanym wzorem. Na gości czekały przed biurkiem wuja krzesła obite skórą. W rogu pokoju stała dyskretnie ustawiona spluwaczka, dla tych, którzy absolutnie nie mogą powstrzymać się od żucia tytoniu. Na środku salonu, na pięknym dywanie, stała przepastna sofa obita brązową skórą. Sofa zwrócona była ku kominkowi, obok kilka krzeseł, też obitych brązową skórą, i małe stoliki. Na stolikach wazony indiańskie, w wazonach świeże kwiaty. Tess uśmiechnęła się z rozczuleniem. Kochany Hank... Kochana Jane... Choćby się paliło i waliło, w domu wszystko ma być tak, jak należy...

– Tess, dziecko, a gdzie nas ulokujesz? – spytała Dolly.

– Och, przepraszam – bąknęła speszona Tess, bo wyszło na to, że po odjeździe Jamie’ego Slatera jakby zapomniała, że ma jeszcze innych gości. – Dolly, Jon, proszę na górę. Hank, myślę, że z innymi sprawami można poczekać. A teraz najpilniejsze, to wnieść kufry Dolly na górę.

Wprowadziła gości na piętro, do wielkiego korytarza. Po obu stronach były drzwi do pokoi, a na końcu korytarza piękne duże okno, ozdobione akksamitnymi draperiami.

– Miejsca aż nadto – powiedziała Tess z uśmiechem. – Mamy tu osiem pokoi.

– Panno Tess – zaczęła nieśmiałym głosem Jane. – Ja dziś rano zabrałam się za wietrzenie pokoi, zdążyłam przewietrzyć pokój pani, pokój pana Josepha i jeszcze dwa pokoje na końcu korytarza. Ale wtedy on przyjechał i powiedział, że pani i pan Joseph... I ja... ja po prostu nie byłam już w stanie robić cokolwiek, zając się czymkolwiek...

Dziewczyna głośno pociągnęła nosem, jej oczy znów zwilgotniały.

– Wszystko w porządku, Jane – powiedziała łagodnym głosem Tess. – Proszę, zajmij się teraz pościelą dla pani Simmons i pana Czerwone Pióro. Zamieszkają w tych dwóch pokojach na końcu korytarza.

– A co z panem porucznikiem?

– Jestem bardziej niż pewna, że noc spędzi w mieście. A gdyby tu się zjawił, jego miejsce jest w szopie.

Jon dziwnie prychnął, próbując stłumić śmiech, ale i tak mu się to nie udało, bo w końcu wybuchnął głośnym śmiechem. Dolly chrząknęła. Ale Tess było wszystko jedno. Dostojnym krokiem przemierzyła korytarz i otworzyła białe drzwi.

– Proszę, Dolly. Myślę, że dla damy to pokój najbardziej stosowny. Jest tu duża toaletka, rano zagłada słońce...

– Prześliczny, Tess, prześliczny! – zawołała zachwycona Dolly i serdecznie ucałowała ją w policzek. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że zgodziłaś

się, abym jechała z tobą. A ja nie mam zamiaru próżnować. Jane, biegnij po pościel, szybko sprawimy się z łózkami. Potem pokażesz mi dom i powiesz, w czym mogę się przydać.

– Nie, Dolly, wykluczone – protestowała żywo Tess. – Teraz musisz porządnie wypocząć. Nie zgadzam się...

– Dobrze, dobrze, kochanie, zobaczymy. A teraz pozwól, że rozgoszczę się w tym ślicznym pokoju. – Jeszcze raz ucałowała Tess i weszła do pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Jane pobiegła ku schodom, a Tess, spojrzawszy z uśmiechem na Jona, stwierdziła krótko:

– Dolly jest cudowna.

– Dolly? O, tak.

– Jon, twój pokój jest równie ładny i przestronny. Widok z okna jest przepiękny, łóżko duże i wygodne. Myślę, że będziesz zadowolony.

– Dziękuję, mnie wszędzie będzie dobrze. Zejdę teraz na dół, pomogę Hankowi wnosić rzeczy.

– Na pewno jesteś zmęczony.

– Ja? Czy wyglądam na zmęczonego? A poza tym lepiej wnieść już wszystko. Skoro ten von Heusen ma zawitać tu wieczorem, lepiej, żebyśmy wszyscy sprawiali wrażenie zadomowionych.

– Dzięki, że tak myślisz. Bo porucznik zdaje się być zupełnie innego zdania.

– Nie oceniaj go pochopnie, Tess. On na pewno wie, co robi.

– A ty zawsze będziesz go bronił?

– Tak. Bo bardzo dobrze go znam. – Odwrócił się

i swoim lekkim, prawie bezszelestnym krokiem ruszył ku schodom.

Tess, zastanowiwszy się przez moment, pobiegła w ślad za nim. Nie będzie przecież czekać bezczynnie, dopóki mężczyźni nie rozładują wozu. Zajmie się mułami i koniem Jona, a poza tym trzeba się dowiedzieć, ilu parobków zostało na ranczu, kiedy dotarła do nich wieść, że ziemię Josepha Stuarta najprawdopodobniej przejmie von Heusen.

A potem... potem Tess będzie czekać na pojawienie się pana Richarda von Heusena.

Miasto Wiltshire nie jest żadną dziurą. Tak zdecydował porucznik Slater, wjeżdżając nieśpiesznie główną ulicą. Z obu stron ciągnęły się rzędy okazałych domów, wszystkie w stylu wiktoriańskim. Były tam więc i kopuły, i wieżyczki, a przede wszystkim fasady przeładowane ozdobami. Oprócz pięknych domów w mieście nie brakło ludzi przedsiębiorczych i porucznik, posuwając się konsekwentnie do przodu, mógł notować sobie w pamięci: dwa duże składy kupieckie, balwierz, sklep z gorsetami, sklep z garderobą dla dżentelmenów. Bednarz, fotograf, zakład pogrzebowy, apteka. Doktor, jeden prawnik, drugi prawnik, pensjonat dla młodych dam. A największy sztyl głosił, że w tym oto domu mieści się zajazd Perry'ego McCarthy'ego, gdzie wydaje się smakowite obiady dla wszystkich szanownych podróżnych, bez żadnych wyjątków, czyli i dla mężczyzn, i kobiet, i dzieci.

Przed zakładem balwierza siedziało kilku star-

szych mężczyzn. Palili fajki i gwarzyli sobie. Jeden z nich nie miał ręki, innemu z kolei brakowało nogi, kule stały oparte o ścianę. Wojna, pomyślał smętnie Jamie. Ci mężczyźni walczyli na wojnie. Po stronie konfederatów. Tak samo jak Jamie Slater, choć panna Stuart nazwała go Jankesem. A tak właściwie to on jest już Jankesem. Wszyscy są już Jankesami. Bo przekłęci Jankesi wygrali wojnę.

Mężczyźni spoglądali na Jamie'ego z nieukrywaną ciekawością.

– Witajcie! – zawołał do nich i wstrzymał konia.

Mężczyzna bez ręki skinął głową, uśmiechnął się i spytał uprzejmie.

– Po raz pierwszy w tych stronach?

– A tak. I wydaje mi się, że to sympatyczne miejsce.

– Kiedyś tak było – mruknął mężczyzna bez nogi i splunął na ziemię. – Tak było... Ale potem nadleciały sępy i zaczęły to miejsce rozszarpać między siebie. Chyba sam wiesz, jak to jest, bo nie słyszę u ciebie akcentu z Chicago. Skąd jesteś, chłopcze?

– Z Missouri.

– Z Missouri... – powtórzył mężczyzna, gładząc się po siwiejącej brodzie i uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że zostaniesz u nas trochę dłużej.

– Ja też – odparł pogodnie Jamie. – Chcę tu kupić ziemię.

– A to ci się chyba nie uda, chłopcze. Na sprzedaż jest tylko jeszcze jeden kawałek ziemi, na północ od miasta, ale to po prostu kawałek pustyni.

– Słyszałem, że zabili Josepha Stuarta. Może uda mi się coś uszczknąć z jego rancza.

– Stuarta?!

Mężczyzna bez ręki poderwał się nagle z krzesła.

– Ani się waż! – zawołał. – Nawet o tym nie myśl, chłopcze, bo sprowadzisz na siebie tylko nieszczęście!

– Zamilcz, Carter – mruknął któryś z mężczyzn.

Jamie podjechał bliżej, pochylił się i rzucił półgłosem:

– Coś wam powiem. Bratanica Josepha Stuarta żyje i ma się całkiem dobrze.

– Panna Tess?! – wykrzyknął Carter. – Żyje? To najlepsza wiadomość od sześćdziesiątego pierwszego! Ale ty, chłopcze, nie oszukujesz?

– Jestem już po trzydziestce, panowie – wyjaśnił uprzejmie Jamie. – A wojnę liczę sobie podwójnie. Krótko mówiąc, lata chłopięce mam dawno za sobą.

– Nie chcieliśmy cię urazić, chłop...

– Nie chowam urazy – zapewnił Jamie. – Nazywam się Jamie Slater i tak jak mówiłem, chcę kupić tu sobie kawałek ziemi.

– Ale o ranczu Stuarta nie myśl. Na tę ziemię zasadził się von Heusen. A on nie popuści – powiedział szpakowaty mężczyzna bez nogi. – A ja jestem Jeremiasz, Jeremiasz Miller. Jak będziesz chciał dowiedzieć się czegoś więcej, przyjdź do mnie. Pogadamy sobie, chłop... młody człowieku! Ej, synu, nie gniewaj się! Każdy, kto jest młodszy ode mnie, jest dla mnie chłopcem!

Jamie roześmiał się i ruszył dalej. Saloon widział

już przed sobą. Podjechał szybko, przywiązał Lucyfera do barierki i pchnął wahadłowe drzwi. W środku panował półmrok. Świateł było niewiele, dodatkowo wszędzie unosiły się kłęby dymu z cygar. Na końcu sali pianino. Pianista brzdąkał, ciemnowłosa dziewczyna w różowej sukni, zbyt krótkiej, aby do końca zakryła rąbek czarnej halki i czarne pończochy, zawodziła coś głosem smętnym, niskim, po prostu smolistym jak ten dym z cygar.

Z prawej strony całą ścianę zajmował bar. Dwóch rosytych barmanów w białych fartuchach, opartych o kontuar z mahoniem, pogadywało z gośćmi. Stolików było chyba ze dwadzieścia, wszystkie zajęte. Goście rozmaici, głównie starannie ubrani małomiasteczkowi kupcy i ranczerzy, w spodniach z grubego płótna, butach z ostrogami i przybrudzonych kapeluszach. Nogi w butach z ostrogami nierzadko spoczywały na krześle lub stoliku.

Kiedy Jamie wkroczył do saloonu, wszyscy, jak na komendę, zamilkli, łącznie z dziewczyną w różowej sukni i pianistą.

– Witajcie! – powiedział Jamie uprzejmie. Oni nadal milczeli, nie odrywając od niego wzroku. Pierwsza ożyła brunetka. Oderwała się od pianina i kołysząc wdzięcznie biodrami, zaczęła posuwać się w stronę Jamiego.

– Witaj, witaj! – powiedziała, uśmiechając się zalotnie. – Ej, chłopaki, co z wami? Nasz nowy gość gotów pomyśleć, że my tu, w Wiltshire, nie mamy pojęcia o dobrych manierach!

– Masz rację, słodka Sherry! – zawołał jeden

z kowbojów, zestawiając nogi ze stolika na podłogę.
– Hej, obcy! Witaj w Wiltshire! Nie jesteśmy nieuprzejmi, po prostu jesteśmy zaskoczeni. Obcy rzadko zagląдают do naszego miasta.

– A dlaczegoż to? – spytał Jamie.

– Lepiej nie ryzykować! – krzyknął wysoki szczupły mężczyzna o szpakowatych bokobrodach.
– Ale skoro już tu jesteś, to zapraszam! Hardy, daj no whisky! Ja stawiam!

– Piękne dzięki – powiedział Jamie, dosiadając się do stolika. Brunetka podała whisky. Przy stoliku siedział jeszcze jeden niewysoki mężczyzna w drucianych okularkach, sprawiający wrażenie osoby bardzo wrażliwej i nerwowej.

– Jestem Edward Clancy – uprzejmie przedstawił się mężczyzna z bokobrodami, podając Jamie'emu rękę. – Żurnalista z *Wiltshire Sun*.

Jamie z trudem ukrył zadowolenie.

– *Wiltshire Sun* – powtórzył przeciągle. – Czy to gazeta?

– Teraz to żadna gazeta, tylko kronika towarzyska. Niczego innego nie odważę się drukować. Ostatnio puściłem jeszcze tylko kilka artykułów o prezydencie Grancie i o Indianach. Ale to wszystko, na co mogę sobie pozwolić.

– A dlaczego?

– Bo chcę żyć – oświadczył krótko Edward Clancy. – Gra pan w pokera?

– Jasne – oświadczył Jamie, sięgając do kieszeni po pieniądze. – Lubię ryzyko.

– W takim razie nasze miasto jest dla pana jak

najbardziej odpowiednie. Proszę wybaczyć, a jak pana nazwisko?

– Jamie Slater.

Na twarzy Clancy'ego pojawił się uśmiech.

– Slater? Jeden z braci Slaterów? Słyszałem, że podobno trafiacie z kolta w muchę, która...

– Ludzie głupoty gadają – przerwał Jamie.

– I wolałbym, żeby w ogóle tu o mnie nie rozpowiadać.

– Rozumiem. Już milczę. Panie Slater, a to doktor Martin, nasz medyk, był bardzo zaprzyjaźniony z Josephem Stuartem. Doktor, tak jak ja, też nie będzie rozmowny na pana temat.

– Gdyby pan czegoś potrzebował, może pan na nas liczyć – dodał doktor.

– A owszem – powiedział Jamie, pochylając się nad stolikiem. – Chciałbym, żeby ktoś mi powiedział, dlaczego ten von Heusen tak uparł się na ranczo Stuarta.

– Niestety, tego nie wiemy. A uparł się jak diabli.

– Tak bardzo, że gotów zabić?

– A tak. Ale podobno to Indianie dopadli starego Stuarta.

– Tess twierdzi, że to von Heusen.

– Tess żyje?!

Jamie skinął głową. Prawie nieprzytomna radość, malująca się na twarzach obu mężczyzn, miała w sobie coś irytującego. Wyglądało na to, że piękność o włosach barwy miodu wielbiona jest w Wiltshire jak jakiś anioł.

– Panie Slater – powiedział cicho Clancy,

nachylając się ku Jamie'emu. – Ja powiem panu jedno. Jeśli Tess twierdzi, że to nie Indianie, a von Heusen, to Tess ma rację. Pan chce tu zostać i z nim walczyć?

– Tak.

– O, do diabła... – mruknął doktor.

– Co się dzieje? – spytał cicho Jamie.

– Ludzie von Heusena. Czterech. Właśnie weszli. Ale ważniaki...

Jamie ostrożnie obejrzał się za siebie. Rzeczywiście, ważniaki. Włosy przylizane brylantyną, drwiące oczy. Dwóch jasnowłosych, dwóch ciemnych. Jeden żuł tytoń. I to on podszedł do baru i rąbnął pięścią w kontuar.

– Ej, Hardy! Ruszaj no się! Co to, starzejesz się? Dawaj whisky, ale dobrą, nie to czerwone świństwo, które podajesz miejscowym gnojkom!

Hardy postawił butelkę na kontuarze. Zrobił to szybko, ale dla człowieka von Heusena i tak za wolno. Złapał Hardy'ego za kołnierz i szarpnął mocno, omal nie przewracając barmana na kontuar. Hardy jęknął, jego twarz poczerwieniała.

Jamie wstał.

– Zostaw go.

Po raz drugi tego wieczoru w saloonie zapadła cisza jak makiem zasiał. Oczy wszystkich zwróciły się ku Jamie'emu.

– A ty niby kto jesteś?! – warknął ciemnowłosy mężczyzna pastwiący się nad barmanem.

– Nie twoja sprawa. Puść go.

– Wolnego, synu. Ty chyba jeszcze nie wiesz, kto rządzi w tym mieście.

– Puść go.

– Chyba trzeba mu dać nauczkę – odezwał się jeden z jasnowłosych.

– A tak – odparł ciemnowłosy. – Trzeba mu dać porządną nauczkę.

W gnieniu oka puścił barmana i wyciągnął broń.

Był szybki. Ale nie najszybszy. Zanim wycelował, broń wypadła mu z ręki, a on sam krzyknął z bólu.

Reszta ludzi von Heusena również szybko sięgnęła po broń. Ale kolty Jamie'ego zdążyły rozgadać się na dobre. Jeden z mężczyzn leżał już na podłodze, trzymając się za nogę. Drugi złapał się za ramię. Trzeci leżał na podłodze nieruchomo, prawdopodobnie już nie żył. Dla Jamie'ego było to nieistotne.

Spojrzał na Edwarda Clancy'ego.

– Dzięki za whisky.

Przestąpił przez nieruchome ciało i nieśpiesznym krokiem ruszył ku wahadłowemu drzwiom salonu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zanim zapadł zmierzch, rozładowano wóz, zostawiając tylko prasę drukarską, która następnego dnia miała być przewieziona do miasta. Potem Tess zdążyła jeszcze posiedzieć sobie w wannie, zostawiając w pachnącej wodzie cały brud i zmęczenie po długiej podróży. O złowrogiej obietnicy Ryszarda von Heusena nie zapomniała ani na chwilę. Czują się jednak zupełnie spokojna, niezależnie od faktu, że Jamie Slater po prostu zdezerterował i umknął do miasta. Ale von Heusen, nawet jeśli na ranczu się pojawi, nie będzie miał śmiałości ot tak, po prostu, pozbawić życia Tess Stuart. Nie, na to się nie odważy.

Nałożyła sukienkę z cienkiej bawełny w delikatnym, jasnozielonym kolorze i przyłączyła się do Jane i Dolly, szykujących kolację. Dolly, jak zwykle pogodna i gadatliwa, umilała im czas zabawnymi opowieściami o swoim życiu u boku kawalerzysty Willy'ego Simmonsa. Te opowieści w robocie wcale

nie przeszkadzały, wszystkie specjały udały się znakomicie, od piezzonego indyka począwszy, skończywszy na ciasteczkach z kawałkami jabłek.

Kiedy wszystko było już gotowe, Tess ruszyła na poszukiwanie Jona. Znalazła go na werandzie. Stał nieruchomo, oparty o filar, wpatrzony w zielone padoki. Na głowie miał indiańską opaskę, w ręku strzelbę.

– Jon, pozwól, kolacja czeka.

– Dzięki, Tess, ale zaczynajcie beze mnie. Zostanę tu jeszcze chwilę, lepiej mieć oko na wszystko.

– Ale przyjdiesz do stołu? Indyk upiekł się wyśmienicie. Chciałabym, żebyś podjadł sobie porządnie po tak długiej drodze.

– Dziękuję, Tess. Przyjdę do was, ale trochę później.

Tess weszła z powrotem do domu, zasiadła przy stole, po chwili w drzwiach ukazał się Hank.

– Byłem w kwaterze u parobków. Chłopaki bardzo się cieszą, panno Tess, że szczęśliwie wróciła pani do domu. Zostało ich trzech, Roddy Morris, Sandy Harrison i Bill McDowell. Powiedzieli, że nie zamierzają opuszczać rancza.

– Świetnie, Hank. To bardzo dobra wiadomość. Ale dlaczego nie przyprowadziłeś ich tu ze sobą?

– Oni już wcześniej zjedli w swojej kwaterze. Dziś dostali bardzo dobrą, prawdziwie niedzielną kolację.

Dolly odmówiła głośno modlitwę. Podziękowała Panu Bogu za Jego dary i za to, że są żywi i mogli razem usiąść przy stole. Potem zapytała Pana Boga,

czy Wszchemogący nie mógłby tych złych ludzi, wrogów osób zebranych przy tym stole, odesłać już do miejsca, do którego i tak niechybnie trafią...

– Ale bądź wola Twoja. Amen.

– Amen – odpowiedzieli wszyscy chórem.

Tess zamierzała właśnie przełknąć pierwszy kęs indyka, kiedy z dworu dał się słyszeć stukot kopyt końskich. Odłożyła widelec. Iluż to ludzi von Heusen przyprowadził tym razem ze sobą? Pięciu? Chyba więcej...

Odłożyła serwetkę na stół i powoli podniosła się z krzesła.

– Wybaczcie, proszę.

Niestety, jej spokój wcale nie udzielił się innym. Dolly, Hank i Jane zerwali się ze swoich krzeseł jak oparzeni i kiedy szła do drzwi, sunęli za nią jak trzy cienie.

Zza drzwi dobiegały podniesione głosy.

– Stać! Zatrzymać się!

– Co on gada?! Chłopaki, patrzcie, to Indianin!

– Nie słyszycie?! Bliżej nie podjeżdżać!

Ktoś chyba nie posłuchał. Padło kilka strzałów. Potem nastąpiła chwila ciszy, niewątpliwie pełnej zdumienia, i rozległ się głos von Heusena:

– Nie strzelać, chłopcy! Przyjechałem tylko pogadać z Hankiem i Jane. Mają natychmiast wynosić się z rancza.

– O tym decyduje właściciel rancza, nie ty – oznajmił spokojnie Jon Czerwone Pióro. – I nie ruszaj się, chłopcze, bo dostaniesz kulkę w samo serce.

– Do cholery! – zagrzemiał von Heusen. – A ty kim właściwie jesteś?

– Przyjacielem.

– Przyjacielem! No to posłuchaj, ty małego z czerwoną głową! Ta posiadłość nie ma właściciela. Sturta zabili Indianie, Apacze albo Komanczowie.

– Apacze? – przerwał Jon. Po raz pierwszy Tess usłyszała w głosie Jona Czerwone Pióro wyraźną groźbę. – A ja dziwnie jestem pewien, że to nie byli Apacze. Apacze wchodzą na wojenną ścieżkę i napadają, żeby napełnić swoje brzuchy. I nigdy jeszcze nie spotkałem Apacza, który by obok ciała zabitych ludzi zostawił zarżnięte bydło.

– No to nie Apacze! Psiakrew, czy to takie ważne? Może to byli Komanczowie.

– Wódz Płynąca Rzeka powiedział, że to nie on.

– Ale tu, w okolicy, żyje niejedno plemię Komanczów!

– Tak. Ale Komanczowie, tak samo jak Apacze, jeśli coś robią, to robią dobrze. Dotyczy to również skalpowania. Biali też skalpują, czytałem gdzieś, że tu, na Zachodzie, skalpowali już w szesnastym stuleciu. Ale biały człowiek robi to w pośpiechu, biały człowiek robi to niedbale. A żaden Komancz i żaden Apacz nie zrobi tego niedbale, niezależnie od tego, jakby się nie śpieszył.

– Ej, von Heusen! Szkoda gadać z tym czerwonym – mruknął któryś z jego kompanów. – Lepiej od razu go powiesić...

– No to spróbuj – powiedział Jon.

– Spokój, spokój! – krzyknął von Heusen.

– Posłuchaj, no ty... Joe Stuart i jego krewna nie żyją. Ta posiadłość zostanie wystawiona na licytację. A ja teraz...

Skrzypnęły drzwi i rozległ się dźwięczny głos Tess:

– Ja żyję, von Heusen!

Nawet w nikłym świetle księżycy i gwiazd widać było nieprawdopodobne zdumienie, które mignęło w oczach von Heusena.

Von Heusen nie był olbrzymem. Wysoki, owszem, ale jednocześnie bardzo chudy. Długa, wąska twarz o nieproporcjonalnie długiej brodzie, blada niemal trupią bladością. Oczy bardzo jasne, żarzące się chorobliwym blaskiem. Na koniu siedział w pozie niedbałej, z ręką opartą na przednim łuku. Choć strzelba Jona wycelowana była prosto w jego serce.

Koło von Heusena było tylko czterech konnych. Tylko czterech i to bardzo nie spodobało się Tess. Nie było tajemnicą, że von Heusen wynajął sobie dwudziestu uzbrojonych ludzi, a podczas jego wizyt na ranczu zwykle towarzyszyła mu co najmniej połowa z nich.

Von Heusen w końcu odzyskał głos.

– Panno Stuart, jestem zachwycony, że widzę panią całą i zdrową.

– O, tak, na pewno nie posiada się pan z radości.

– Naprawdę się cieszę.

– Ty? Ty przekłeta szmato, ty... *carpetbaggerze!*

– Trzeba przyznać, że buzię ma pani niewyparzoną. A ja wpadłem tu do pani, żeby...

– Żeby ukraść wszystko, co zostało po moim wuju, którego zamordowałeś, łajdaku!

- Proszę liczyć się ze słowami, panno Stuart!
- Mówię tylko prawdę. Bo ja wiem, kto to zrobił.

I ja to udowodnię.

Von Heusen uśmiechnął się.

– Pani mi niczego nie udowodni, panno Stuart! I wie pani, co jeszcze myślę? To ranczo jest mi sądzone. Po prostu. Dawałem za nie duże pieniądze, naprawdę duże, a stary Joe za nic nie chciał go sprzedać. Pani też chyba nie jest skłonna. A szkoda, bo mi się marzy, żeby pani wyjechała z tego miasta.

– Nigdzie nie wyjadę.

– Na pani miejscu nie byłbym taki nieustępliwy. Ja znajdę sposób, żeby się pani pozbyć.

– Grozisz jej, von Heusen? – spytał Jon.

– To raczej ta kobieta mi grozi, imputując, że czemuś tam jestem winny. A ja grałem w karty w saloonie, kiedy Indianie zaatakowali wozy Stuarta. Całe to przekłete miasto zaświadczy. Dlatego lepiej, żeby ta kobieta stąd wyjechała.

– To raczej ty powinieneś zastanowić się nad wyjazdem.

– A niby dlaczego? Bo tak się podoba jakiemuś mieszkańcowi?

Spojrzał wściekle i popędził konia. Koń zbliżył się do Jona na odległość kroku. Strzelba Jona wypaliła. Kula niemal drasnęła policzek.

– Ej, von Heusen – zaczął jeden z jego ludzi, ale von Heusen podniósł rękę i zawołał: – Spokój, chłopcy! My nie będziemy uciekać się do przemocy, jak panna Stuart! Odjedziemy stąd, skoro nas tu nie chcą. A pani, panno Stuart, niech nie zapomina, że ja

pragnę gorąco, aby pani wyjechała z miasta. Wyjechała, jak się godzi, wytwornie ubrana, w wygodnym dyliżansie. Taka piękna dama...

Na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech. Tess nie odwracała wzroku. Patrzyła dumnie, śmiało w odpychającą twarz...

Nagle zmartwiała.

Ten zapach... To dym. Dym unosi się nad powozownią.

Chryste Panie! W jednej chwili pojęła, czemu von Heusen zjawiał się przed werandą tylko z czterema ludźmi. Reszta jego ludzi poszła do powozowni, a tam stoi bryczka, powozik i wóz kryty białym płótnem, w którym teraz schowana jest prasa drukarska. A lato tego roku jest bardzo suche. Jeśli powozownia stanie w płomieniach, ogień rozprze-strzeni się błyskawicznie, przeniesie się na szopy, stajnie...

– Ty sukinsynie!

Von Heusen tylko się uśmiechnął. Lufa strzelby Jona ani drgnęła. Jon wiedział, że jeśli teraz przesunie ją choć o włos, ludzie von Heusena wystrzelają ich jak kaczki.

A Tess czuła, że umiera. Jej serce pękało, jej serce resztką sił szeptało do wuja. O, wuju najukochańszy, przebacz mi, przebacz... To już koniec. Nie zdołałam uchronić ani twego domu, ani dobytku, ani twoich ukochanych koni, ani prasy... O, wuju...

Nagle tę ciszę triumfu von Heusena i rozpaczy Tess zakłóciły jakieś dźwięki. Szmer, szelesty dochodzące od strony powozowni.

Ogień nie wybuchał, choć dym nadal się kłębił. I nagle z tego dymu zaczęli wychodzić ludzie. Czterech mężczyzn, bez wątpienia czterech pozostałych ludzi von Heusena. Ręce uniesione nad głowę. Szli bardzo dziwnie, właściwie nie szli, tylko posuwali się do przodu, drobiąc i podskakując, jako że spodnie każdego z nich opuszczone były do kostek. Sytuacja trójki mężczyzn, którzy mieli na sobie białe, długie kalesony, nie była do końca tragiczna. Czwarty jednak, kryjący się za plecami swoich towarzyszy, pod spodniami nie miał nic.

– Psiakrew! – ryknął von Heusen. – Co się dzieje, wy...

Nie dokończył. Z kłębow szarego dymu wynurzył się jeszcze jeden mężczyzna.

Serce Tess omal nie wyskoczyło z piersi.

Jamie. Jamie Slater. Szedł sobie spokojniutko, ze strzelbą wycelowaną w plecy mężczyzn. Półgoły mężczyzna przystanął, Jamie z niemal dobrotliwym uśmiechem popędził go, wcale nie brutalnie, szturchając lekko kolbą w plecy.

– Panie raczą wybaczyć strój panów raczej niestosowny – odezwał się uprzejmie. – W tym jednak stroju ci dżentelmeni są bardziej posłuszni i godni zaufania.

– Jeszcze mnie popamiętasz – mruknął któryś z nich.

– To ty raczej o mnie nie zapomnisz – odparł pogodnie Jamie i przeniósł wzrok na piątkę jeźdźców. – Który z was jest von Heusenem?

– Ja! – huknął von Heusen. – Jestem Richard von Heusen! A ty kto jesteś, do cholery?!

– Jamie Slater, jeśli koniecznie już chcesz wiedzieć. Ale moje nazwisko nie jest teraz istotne. Najważniejsze to fakt, że to ja jestem właścicielem połowy tej ziemi. I nie życzę sobie, żebyś ty czy któryś z twoich zbirów włóczył się po mojej posiadłości. Zrozumiano?

– Twojej posiadłości?

– A tak. Mojej! Dlatego zabieraj ze sobą tych swoich podpalaczy i wynoś się stąd!

– Podpalaczy? Chyba coś ci się przywidziało. A jaki oni mieliby w tym interes?

– Jakiś mieli, skoro się za to zabrali! A teraz powtarzam. Wynoście się stąd! Zwykle staram się dobrze żyć z ludźmi, widzę jednak, że z Josephem Stuartem nie łączyła cię przyjaźń. Dlatego nie ma najmniejszego powodu, żebyś został tu choćby jeszcze minutę. Tess, kolacja gotowa?

– Tak – wykrztusiła. – Pieczony indyk.

– I teraz stygnie! To po prostu grzech! Von Heusen, zabieraj szybko swoich gnojków, póki jeszcze mogą się ruszać!

Von Heusen sapnął gniewnie.

– Nie odgrażaj się tak, ważniaku! Nas jest dziewięciu.

– Ale na dwóch! I mój przyjaciel trzyma cię na muszce. On trafia w nos z odległości tysiąca jardów. A poza tym czeka cię niespodzianka. Część twoich ludzi wpadła już w niezłe tarapaty.

– Przekonamy się o tym – warknął gniewnie von Heusen i ryknął na swoich ludzi. – Ruszać się, ale

już! Brać tych gołców na siodło i odjeżdżamy! A pani mi za to jeszcze zapłaci, panno Stuart!

Zawrócił, koń ruszył z kopyta. Pierwszy znikł w ciemnościach, za nim pognąła reszta. Jeszcze przez chwilę słychać było dudnienie kopyt, wałających w wyschniętą ziemię i zapadła cisza.

Jon Czerwone Pióro powoli opuścił broń.

– Jamie? A gdzie ty się podziewałeś tak długo?

– A tu i tam. A na koniec zajrzałem jeszcze do powozowni...

Wbiegł po schodkach werandy, mijając Tess, uszczypnął ją w policzek i ruszył prosto do zastawionego stołu. Usiadł, chwycił z półmiska nogę indyka i wbił w nią zęby. Nieopatrznie spojrzął w górę i jego szczęki znieruchomiały.

Pięć par oczu wpatrywało się w niego nadzwyczaj intensywnie. Tess stała w środku, między Dolly i Jane, z lewej i prawej strony tej damskiej trójki – mężczyźni, Jon i Hank.

Tess wysunęła się krok do przodu.

– Gdzie pan był tak długo? – spytała oskarżycielskim tonem. – I jak to się stało, że pan wrócił akurat teraz?

Mięso było zbyt dobre, żeby odłożyć nogę indyka. Jamie pogryzł kawałek, który trzymał już w zębach, przeżuł, przełknął i westchnął z lubością. Dopiero wtedy udzielił odpowiedzi.

– Byłem w saloonie, gdzie spotkałem bardzo różnych ludzi. Kilku miłych, kilku bardzo niemiłych. Potem wróciłem tu, no i niespodzianka.

Spojrzał na Jona.

– Wiadomo było, że on wróci, prawda? Ale chyba nikomu nie mówił, że zamierza wszystko puścić z dymem. To daje do myślenia, prawda?

– A tak – mruknął Jon. – Warto się nad tym zastanowić.

– Nad czym?! – krzyknęła Tess, nie kryjąc irytacji.

– A nad tym, że to bardzo porządny dom, duży, solidny, trzeba tylko wymalować ściany. Koło domu dwie szopy, powozownia, stajnie pełne koni. Na cenach nieruchomości za dobrze się nie znam, ale podejrzewam, że same konie warte są setki dolarów. A von Heusen chciał to wszystko spalić. Czyli jemu zależy tylko na ziemi!

– Bo to sukinsyn, podły i nikczemny!

– Fakt – przytaknął Jamie. – Ale naprawdę trzeba się nad pewnymi sprawami zastanowić.

– A na razie zabieramy się do jedzenia! – oświadczyła Dolly, sadowiąc się za stołem.

Wszyscy skwapliwie poszli za jej przykładem i skupili się wyłącznie na indyku. Wszyscy – oprócz Tess.

– Gdzie pan był tak długo, poruczniku? – dopytywała się ostrym głosem. – Pan powinien być tu, na miejscu!

– Jon był z wami.

– Ale pan też...

Jamie odłożył nóż, którym smarował sobie właśnie bułeczkę.

– Panno Stuart, ja bardzo nie lubię, kiedy pani mówi do mnie takim tonem. Tym bardziej że wróciłem w porę, aby uratować pani tyłek!

– Gdyby pan nigdzie się stąd nie ruszał, nie miałby pan żadnego kłopotu z byciem tu w porę! I niech pan nie zapomina, że za swoje usługi każe pan sobie płacić bardzo słono!

Jamie wstał. Nie. Jamie poderwał się, nóż z głośnym brzękiem uderzył o stół.

– Panno Stuart! Jedną rzecz musimy ustalić między sobą raz na zawsze! Pani nie jest moim dozorcą i ja będę sobie jeździł, dokąd mi się podoba. A co do zapłaty, to naturalnie, że nie będzie niska. Jutro pojedziemy do miasta, do prawnika i pani przepisze na mnie połowę swego majątku...

– Jamie – odezwał się Jon, sięgając po bułeczkę. – Wy tłumacz jej wreszcie, dlaczego to robisz. Ona niczego nie pojmuje.

– Nie będę jej niczego tłumaczył! Ona zachowuje się tak, jakby była i sędzią, i ławą przysięgłych! A sama mnie błagała, żebym tu przyjechał!

– Co?! – krzyknęła Tess. – Błagała?!

– A tak! Błagała!

– O, nie!

Tess nerwowo splatała i rozplatała palce. Niepodobna... Jeszcze przed chwilą, kiedy porucznik ukazał się w drzwiach powozowni, czuła radość przeogromną, i wdzięczność, i niewysłowioną ulgę. Teraz jej uczucia uległy diametralnej zmianie. Teraz trzęsła się ze złości.

– Proszę wybaczyć, ale tak burzliwe rozmowy w obecności innych osób uważam za wysoce nie stosowne.

Wstała i zebrawszy fałdy sukni, ruszyła ku drzwiom.

– Tess!

Głos porucznika. Jakżeby inaczej... A krzyczy jak na jakiegoś szeregowca! Niedoczekanie... Tess nawet nie drgnęła i konsekwentnie zbliżała się do drzwi frontowych. Niezależnie od wszystkiego, ona musi naocznie się przekonać, że w powozowni nie tli się już ani jedna iskierka.

Usłyszała jeszcze cichy głos Dolly.

– Jamie, zostań. Daj jej teraz spokój.

Zanim zamknęła drzwi, zdawało jej się, że usłyszała hałas, jakby ktoś przewrócił krzesło. Ani chybi porucznik zbyt energicznie wstawał od stołu. Zaczęła biec. Drzwi frontowe huknęły w momencie, kiedy ona zniknęła już w drzwiach powozowni. Wbiegła szybko do środka, przystanąła i wciągnęła mocno nosem powietrze. Jaka ulga! Dymu wcale nie czuć, tylko miły, świeży zapach lucerny, zrzuconej pod ścianę za bryczką.

Jednak jeszcze jedna rzecz nie dawała Tess spokoju. Zapaliła lampę naftową, wiszącą koło drzwi, i szybkim krokiem podeszła do wozu z płócienną plandeką. Wskoczyła do środka i niecierpliwie zaczęła macać dookoła siebie dłońią. Kiedy w końcu wyczuła pod palcami zimne żelazo, aż westchnęła głośno z wielką ulgą i przysiadła na posłaniu. Chwała Bogu, z prasą wszystko w porządku.

– Tess? Gdzie jesteś?

Porucznik dalej się wydzierał, krążąc gdzieś koło powozowni. Bóg z nim... Tess wyskoczyła z wozu

i podeszła do bryczki, potem do powoziku. Znów ulga, nie dojrzała żadnych uszkodzeń. Przeszła kawałek dalej, nagle zatrzymała się, wpatrzona w belę siana, wysuniętą na środek powozowni. Bela była spalona do połowy.

Łajdak! Jak on to sobie wszystko umyślił! Ogień rozprzestrzeniłby się dopiero później, na pewno po jego odjeździe. I wszyscy, zgodnie z prawdą, świadczyliby jak jeden mąż, że kiedy ranczo Stuartów stanęło w płomieniach, von Heusena tam nie było.

– Tess!

Znów ten głos sierżanta, który ćwiczy ze swymi żołnierzami musztrę. Tess westchnęła, decydując się jednak otworzyć drzwi. Położyła rękę na klamce, nie zdążyła jednak nacisnąć, a drzwi stały już otworem. Tess odrzuciło w tył, na szczęście równowagi nie straciła. Te drzwi pchnął, naturalnie, Jamie Slater. Stał teraz na progu. Był bez kapelusza, włosy rozwichrzone, kołnierzyk koszuli rozpięty, jednym słowem wygląd niedbały, rozluźniony. Ale nerwy porucznika były napięte jak postronki.

– Czemu nie odpowiadasz? – warknął.

– Bo nie chce mi się z tobą rozmawiać.

– A nie pomyślałaś o tym, że mogę być zaniepokojony?

– Niby dlaczego? Ja też będę sobie chodziła dokąd chcę, nikt nie będzie mnie trzymał na łańcuchu. Mogę sobie wchodzić do powozowni i wychodzić, kiedy chcę, mogę spędzić tu całą noc.

– Czyli co? Nie zamierzasz dostosować się do żadnych reguł?

- Nie mam najmniejszego zamiaru.
- W takim razie ja wyjeżdżam.
- Co?
- Słyszałaś. Wyjeżdżam.
- Ale...

Wojowniczy nastrój Tess znikł jak ręką odjął. Stała nieruchomo, oddychając ciężko. Wielki Boże, on gotów jest odjechać i zostawić ją samą.

Nagle przerażenie znikło, wróciła złość. On na pewno chce ją zaszachować, zmusić, żeby go błagała. A tego się nie doczeka. O, nie!

– To sobie wyjeżdżaj, bardzo proszę – powiedziała tonem jak najbardziej lodowatym.

Porucznik odwrócił się, jedną nogą był już na zewnątrz...

– A ja myślałam, że ranczo ci się podoba – dodała szybko. – Dom i konie. Mówiłeś, że chcesz połowę wszystkiego, nie tylko ziemi. I możesz na to zarobić.

Cofnął nogę, odwrócił się i oparł o framugę. Po jego ustach błąkał się uśmiech.

– Ale ty nie potrafisz po prostu powiedzieć „proszę”?

Tess poczuła, że znów zaczyna kipieć ze złości.

– Czy ja się przesłyszałam? Mam cię prosić? Ciebie, który domagasz się majątku wartości tysięcy dolarów?

– Jeśli von Heusen dopnie swego, nie będzie żadnego majątku.

– Ale teraz ciągle jeszcze jest! Ty jednak na ten majątek wcale nie chcesz zapracować!

– Bo poszedłem do saloonu?

- Nie było cię tutaj!
- Ale zjawiłem się w chwili jak najbardziej odpowiedniej.

Oderwał się od framugi, Tess natychmiast cofnęła się o krok, potykając się o nadpaloną belę siana. Tym razem nie udało jej się zachować równowagi. Upadła na ziemię. Porucznik zrobił krok w jej kierunku. Wyciągnęła rękę, pewna, że chce pomóc jej wstać...

A on zrobił coś innego. Sam opadł na ziemię, obok Tess. Obok, a troszkę nad nią, bo jedną rękę oparł z drugiej strony Tess. Jego twarz była teraz bardzo blisko, trudno było nie zauważyć świeżo ogolonych policzków. Ciekawe, gdzie się ogolił... Wiadomo, w mieście. W każdym razie policzki miał gładziutkie i pachniał wodą kolońską. W ogóle cały pachniał bardzo ładnie. Dobrym mydłem. Czyli wykąpał się całutki. Gdzie? Też w mieście. Był w saloonie, wypił trochę, podjadł, a w saloonie nie brakuje chętnych dziewczyn. A przedtem zawsze dobrze jest się wykąpać...

Krew w żyłach Tess znów zawrzała.

- Złaż ze mnie, ty Jankesie!

Oczy szare, niby zawsze jak dym, teraz zajaśniały srebrzyście. Pochylił się nisko. Ich twarze prawie się stykały. Całe zresztą ciało Jamie'ego, schludne, ciepłe i ładnie pachnące, było teraz bliźiutko. I w głowie Tess zaczynał powstawać dziwny zamęt, ni to chciała się wyrwać, ni to nie chciała... Najbezpieczniej z tego wszystkiego było burknąć:

- Puść mnie. To boli.

– Nie, nie puszczę, bo chcę, żebyś wysłuchała mnie uważnie. Po pierwsze, Tess, zostanę tylko pod jednym warunkiem. Masz się mnie słuchać, bez szemrania wykonywać moje polecenia. A po drugie, chcę, żebyś wiedziała, że wcale nie jestem pazerny na twoją ziemię. W kwestii, powiedzmy, finansowej, mam się całkiem nieźle, niezależnie od wojny, niezależnie od wszystkiego. Ale, tak jak powiedziałem, jutro jedziemy do prawnika i przepiesz na mnie połowę majątku. Dzięki temu, być może, zachowasz wszystko. Von Heusen myśli, że wystarczy zabić twego wuja, pozbyć się ciebie i sprawa załatwiona. Bo ty nie masz żadnych krewnych, Tess. A tak się składa, że ja mam krewnych pod dostatkiem. I nawet jeśli von Heusen zabije ciebie i mnie, to chyba życia mu nie starczy, żeby wszystkich moich krewnych pousuwać sobie z drogi. Pojmujesz teraz, o co mi chodzi?

Tess w milczeniu skinęła głową. On miał rację, każde słowo, które przed chwilą powiedział, było bardzo sensowne. Ona też tak chciała do wszystkiego podchodzić. Rozsądnie. Chciała być mądra, dostojna i silna. Niestety... Z powodu porucznika traciła głowę kompletnie. Szalała z zazdrości, wybuchała gniewem, teraz roztapiała się od jego zapachu, od jego bliskości. I resztką sił wymuszała posłuch na swej dłoni, która wprost rwała się, aby choć musnąć ten świeżo ogolony policzek...

– Pojmujesz, Tess?

– Tak!

- I jutro zrobisz to, co proponuję?
- Tak. Pojadę z tobą do miasta. Najpierw zajrzę do redakcji, a zaraz potem...
- Nie. Przedtem.
- A co to za różnica?
- Może i żadna. Ale im szybciej von Heusen się dowie, tym lepiej.
- Dobrze. Niech będzie przedtem. Ale teraz puść mnie!

Była gotowa zgodzić się na wszystko, byle tylko znaleźć się od niego choć kawałeczek dalej. Porucznik, zgodnie z jej życzeniem, odsunął się na bok. Tess poderwała się żwawo z ziemi i demonstracyjnie zaczęła otrząpywać suknię.

– Dobrze sobie – mruzczała ze złością. – Przedtem... Przedtem... Coraz bardziej przypominasz tego jankeskiego drania, tego *carpetbaggera*. Nie ustąpisz za nic.

– Aha, jeszcze jedną rzecz należy wyjaśnić.

Zanim zdążyła pomyśleć, znów znalazła się na sianie. Tuż nad sobą znów widziała gładko wygoloną męską twarz.

– Nie jestem Jankesem, łaskawa pani. Jestem oficerem Kawalerii Stanów Zjednoczonych, owszem. Teraz jestem. Ale urodziłem się w Missouri, tam wyrosłem. Podczas wojny, przez wiele lat, walczyłem pod rozkazami Morgana. Byłem Rebem, Tess. Rebeliantem z Południa. I jeśli jeszcze raz przyjdzie ci do głowy nazwać mnie Jankesem czy *carpetbaggerem*, to marny twój los. Przysięgam, że nie rękę za siebie.

Tess wpatrywała się w niego tępym wzrokiem. Wielkie Nieba! Ona nazwała go *carpetbaggerem* co najmniej tuzin razy, a on dopiero teraz mówi jej prawdę!

– Tess?

Ocknęła się.

– Tak! Tak! Ja wszystko pojęłam!

Odepchnęła go od siebie z całej siły. Jakby tego nie zauważył, tylko mówił dalej.

– Pamiętaj, że któryś z nas, ja albo Jon, zawsze musi wiedzieć, gdzie ty jesteś.

– Tak!

– Nie wolno ci się chować przed nami ani w szopie, ani w powozowni.

– Ja wcale się nie schowałam. Chciałam się upewnić, czy ogień wygaś.

– A ty myślisz, że ja wyszedłbym z powozowni, nie ugasiwszy ognia?!

– Chciałam się przekonać na własne oczy. Przecież w wozie jest prasa drukarska.

– Ta cholerna prasa to dla ciebie wszystko!

– Nie. To gazeta jest dla mnie wszystkim. Tylko dzięki gazecie można ludziom powiedzieć prawdę.

Jamie nie odzywał się przez chwilę, po czym raptem wstał, wyciągnął obie ręce i Tess, chcąc nie chcąc, musiała skorzystać z jego pomocy. Te ręce pomogły jej wstać i wcale nie miały zamiaru puścić. Tess, chcąc nie chcąc, nadal była zmuszona wdychać irytujący zapach dobrego mydła.

– Pan się wykąpał, poruczniku.

– Tak. I ogoliłem się.

– Aha... Proszę mnie puścić!

Uśmiechnął się.

– Mała zazdrośnica!

Tess aż zarumieniała się z oburzenia.

– Ja? O co? Spędziłam przeziębienie popołudnie w towarzystwie pana Czerwone Pióro. To dzentelmen nadzwyczaj czytany i tyle podróżował...

W szarych oczach błysnęło, a Tess poczuła coś na kształt obrzydzenia do własnej osoby. Nie miała wcale zamiaru doprowadzać do jakichś zgrzytów między dwoma przyjaciółmi, a przecież właśnie to zrobiła.

Dlaczego? Pomyślała jeszcze sekundę i struchlała. Odpowiedź była prosta. Tess Stuart zakochała się w Jamie'em Slaterze. Przy nim drży, rumieni się i topnieje jak wosk. Wybucho również zazdrością. Czyli stan jej serca określić można tylko w jeden sposób.

– Pan wybaczy, poruczniku, ale pan zaraz zmiążdży mi ramiona.

– Och, proszę stokrotnie o wybaczenie...

Puścił ją i Tess nareszcie dostojnym krokiem mogła ruszyć ku drzwiom. Tuż za drzwiami puściła się biegiem i do domu wpadła jak burza.

Stół był uprzątnięty. Z kuchni wyjrzała Jane.

– Wszyscy już poszli spać, panno Tess. A Hank chodził jeszcze do parobków, bo pan Czerwone Pióro powiedział, że dobrze by było, żeby robotnicy czuwali po kolei przez całą noc. Pierwszy będzie pilnował Roddy ze swoim psem. Zaraz przyjdą tu

obaj na werandę i będą czekali na pana porucznika. Roddy chce pokazać porucznikowi psa, no i powiedzieć psu, że porucznik to przyjaciel. Ja też już idę do siebie, panno Tess, ledwo żyję. Bo co to był za dzień, co za dzień! Panno Tess, ja... ja jestem taka szczęśliwa, że pani ocalała!

– Dziękuję, Jane. I ja jestem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, że mogłam wrócić do domu, do was. A teraz chodźmy już na górę, najwyższy czas udać się na spoczynek.

Na szczycie schodów Jane i Tess objęły się serdecznie i Jane pobiegła do siebie. A Tess, nagle zamyślona, wolnym krokiem weszła do swego pokoju. Zapaliła lampę na stoliczku przy łóżku, rozebrała się bez pośpiechu, odszukała w szufladzie komody ulubioną koszulę nocną z mięciutkiej niebieskiej flaneli. Usiadła przed toaletką, wzięła do ręki piękną, oprawioną w srebro szczotkę do włosów, którą odziedziczyła po matce, i szepnęła:

– Panie Boże, dziękuję Ci, że pozwoliłeś mi wrócić do domu...

Wyjęła szpilki z włosów, przy okazji wydtubując źdźbła siana. Ręka ze szczotką zaczęła mechanicznie przesuwając się po jasnozłocistych włosach. Oczy wpatrzone w lustro były jakby niewidzące, bo myśli Tess, jak zwykle, biegły jednym torem.

Porucznik... Jamie... Dzięki niemu von Heusen nareszcie dostał porządnie w kość. Został wzięty w dwa ognie, przez Jamiego i Jona. A ona nawet nie podziękowała Jamie'emu, nie powiedziała, jak bardzo jest mu wdzięczna. Ale porucznik nigdy nie daje

sposobności, żeby powiedzieć mu coś miłego. Niby jest po stronie Tess, a ona i tak musi z nim ciągle walczyć. Najpierw o to, żeby uwierzył, kto naprawdę napadł na wozy Josepha Stuarta. Ten powód do walki chyba przestał już istnieć, porucznik miał przecież okazję poznać von Heusena osobiście. Ale pokój wcale nie został zawarty. Tess miała wrażenie, jakby dalej toczyła walkę. Z porucznikiem? Chyba nie...

Teraz Tess walczy ze sobą, bo w jej uszach wciąż dźwięczą te słowa usłyszane przypadkiem. Wtedy, kiedy zastała Jamie'ego i tę przekłętą Elizę w niedwuznacznej sytuacji. Udało jej się, co prawda, zachować zimną krew i powiedziawszy kilka stosownych słów, odejść z podniesionym czołem. Ale zabrała też ze sobą kilka słów, które teraz trapią ją niepomiernie.

Porucznik powiedział wyraźnie, że nikt nie zmusi go do małżeństwa. A Tess Stuart, niby osoba tak samodzielna, bardzo pragnie wyjść za mąż. Nigdy nie miała zbyt wiele czasu na marzenia. Straszliwa wojna trwała tak długo, a po wojnie też wcale nie jest lekko. Czasami jednak, kiedy uda się jej troszkę się rozmarzyć... O, nie! Tess Stuart za nic w świecie nie chce zostać starą panną! Ranczo i gazeta to wielka odpowiedzialność, ale one życia nie zapełnią. Tess chce ponadto i przede wszystkim mieć męża, którego obdarzy wielką miłością. On też będzie ją gorąco kochał. I Tess chce mieć dzieci, chce stworzyć im świat, inny niż ten, na zawsze skażony już

wspomnieniami o wielkim sporze, który podzielił kraj i sprowadził tyle nieszczęść.

Tess spotkała mężczyznę, którego zapragnęła i duszą, i ciałem.

To był właśnie Jamie Slater.

James Slater. Mąż. Tess westchnęła głęboko. Niestety, zważywszy słowa Jamie'ego, tych dwóch rzeczy nie da się połączyć.

Jęknęła cichutko i wstała z krzesła. Tego problemu dziś wieczorem nie da się rozwiązać. Oczy same już kleją się do snu.

Przykręciła lampę i wsunęła się między białe, pachnące świeżością prześcieradła. Jak cudownie być znów w swoim własnym łóżku, na znajomym, miękkim materacu. Przez okno księżyc sączy swe srebrzyste światło, w mroku pokoju rysują się ciemniejsze plamy znajomych mebli. Tam stoi toaletka, tu szafa, obok mały sekretarzyk z mahoniem. Zasłony na oknie poruszają się leciutko... To wieczorny wietrzyk...

Tess zamknęła oczy, powoli zapadała w sen. Nagle otworzyła oczy. Czyjaś niecierpliwa ręka pchnęła drzwi bez pardonu.

Porucznik. Stał w progu w pozie gniewnej. Nogi lekko rozstawione, ręce oparte na biodrach. Głos donośny.

– Tess? A ja to niby gdzie mam spać?!

– Słucham? Och.... – mamrotała, jeszcze pół-przytomna, ale już docierało do niej, że faktycznie, ona o tym nie pomyślała. – Ja... ja byłam pewna, że zostaniesz na noc w mieście.

Porucznik jakby prychnął i długimi posuwistymi krokami zaczął zbliżać się do łóżka. Tess usiadła szybkoitko, a on stał już nad nią.

– Panno Stuart! Przez dwie doby służyłem pani jako eskorta, dwie noce spałem na twardej ziemi koło pani wozu...

– W szopie na sianie będzie panu na pewno o wiele wygodniej.

– Na sianie będzie wygodniej – powtórzył przez zęby, pochylając się nad Tess. Szare oczy błyszczały niebezpiecznie. Tess struchlała, ale tylko na moment, bo zaraz zaczęła drzeć, nie ze strachu, oczywiście. Porucznik znowu był tak nieprawdopodobnie blisko...

– Nie ma pani dla mnie wolnego pokoju, panno Stuart?

– Nie. Ja przepraszam, naprawdę bardzo mi przykro. Ale pan pojechał do miasta, a tu wszystko odbywało się w pośpiechu... A potem... Pan wykąpał się w mieście, sam mi to powiedział. No to ja sobie pomyślałam, że pan pojedzie spać tam, gdzie się pan wykąpał...

Na chwilę zapadła cisza, naturalnie pełna napięcia. I raptem na srogiej twarzy porucznika pojawił się uśmiech.

– Panno Stuart, niech się pani posunie.

– Co?!

– Niech się pani posunie. Jeśli nie ma dla mnie wolnego pokoju, będę spał tutaj.

– Po moim trupie!

– Ciii... Po co od razu takie mocne słowa? Prześpij się obok pani albo oboje idziemy na siano.

Sytuacja stawała się groźna, lepiej było salwować się ucieczką. Tess zaczęła powoli się podnosić, silne ramię jednak natychmiast przygwoździło ją z powrotem do łóżka.

– Dokąd to?

– A co mam robić? Pan jest ode mnie silniejszy. Nie dam rady pana stąd wyrzucić. A więc, proszę, niech pan śpi tutaj, a ja pójdę do szopy.

– Do szopy? No to idziemy razem.

Nagle znalazła się na jego rękach, owinięta w kokon z prześcieradła i kołdry. I niesiona już ku drzwiom.

Jej ramiona owinięte były wokół jego szyi. Jak to się stało? Czyżby ona sama? A tak. Zamiast wrzeszczeć i kopać, objęła porucznika za szyję. Nic dziwnego. To przez ten księżyc. On, ten srebrzysty czarodziej, zmienia świat realny w magiczny, pełen cudnych doznań. Cudnych, jak dotknięcie palców porucznika, które lekko musnęły jej kark...

Porucznik zszedł po schodach, wcale nie dbając o to, aby jego kroki były jak najcichsze. Zatrzymał się dopiero na werandzie.

– Dokąd teraz?

– Nie wiem... – szepnęła.

– Gdzie śpią parobcy?

– W tym baraku koło szopy, co stoi dalej.

– To idziemy do szopy, która stoi bliżej.

Tess milczała, wsłuchana w siebie, w swoje gorączkowe myśli. Porucznik ma zapewne na myśli tylko spanie na sianie. Z całą pewnością nic za tym

się nie kryje. A jeśli nawet? Magia księżycy jest silniejsza ponad wszystko, srebrzy wszystko, co najgłębiej w sercu, każe temu się poddać...

– Pan jest zuchwały, poruczniku.

– Chyba tak.

Uśmiechnął się i przygarnął ją do piersi jeszcze mocniej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przeszedł przez zalany światłem księżycy padok, wkroczył do szopy i złożył Tess na mięciutkiej stercie wonnej, suchutkiej lucerny. Sam ułożył się obok. Wierzchem dłoni musnął policzek Tess, jakby badając, czy jest aksamitny i miękki. Potem jego palce dotknęły jej wilgotnych warg. I pocałował ją. Tess nie zdążyła jednak rozsmakować się w tym pocałunku, roztopić, zapomnieć o wszystkim, bo porucznik nagle się odsunął. Ułożył się na plecach, spojrzał w górę na brązowe krokwie i krótką chwilę trwał w bezruchu. Jęknął. I z powrotem odwrócił się do Tess. Szare oczy spojrzały z wielkim wyrzutem.

– Naprawdę nie mogłaś przydzielić mi jakiegoś pokoju?

– Naprawdę musiałeś na tak długo wyjeżdżać z rancza?

Była zrozpaczona. On psuł wszystko, niszczył magię chwili, wyczarowanej srebrem księżycy. Tej chwili, którą ona zdążyła już sobie wyobrazić...

– Wracaj do domu, Tess – powiedział cicho.
– Nie miałem prawa cię tutaj przynosić.

Poderwała się raptownie. Jej policzki zalane były szkarłatem.

– Dlaczego to mówisz? – krzyknęła załamującym się głosem. – Dlaczego ty wszystko psujesz?

– Psuję? Tess! Ja próbuję zachować się przyzwoicie!

Do diabła! I ona nigdy się nie dowie, ile go to kosztuje! Dopóki ją niósł, nie było jeszcze tak tragicznie. Ale kiedy pocałował... Jak ugasić płomień, który w jednej sekundzie ogarnął całe jego ciało? Kiedy wargi Tess rozchyliły się tak słodko, uległe, gdy wyczuł w tej kobiecie i niewinność, i zmysłowość, obiecującą rozkosze największe...

– Tess! Jeśli chcesz stąd iść, to idź. Nie wolno mi cię zatrzymywać.

A Tess stała, gotowa do odejścia i jakby niegotowa, jakby czekała, że może wiatr popchnie ją we właściwym kierunku.

– A gdyby tak było... że ja wcale nie chcę stąd odejść?

Słowa były cichutkie, prawie jak szept, ale dośłyszał je dobrze i płomień w środku rozgorzał z jeszcze większą siłą. Zerwał się na równe nogi, spojrzął na Tess, pokonując tę niewielką, półmroczną odległość, jaka ich dzieliła.

– Sama decyduj – powiedział cicho przez ściśnięte gardło. – Ale wiedz, że ja ci niczego obiecać nie mogę. I powinnaś stąd uciec, uciec tak szybko jak biegają twoje konie pełnej krwi.

– Ale dlaczego mam uciekać, Jamie?

Nie poruszyła się, nie uczyniła ani jednego kroku. Światło księżyca, sączące się przez okienko, znaczyło na cieniutkiej niebieskiej flaneli wypukłości i cienie, tak kuszące...

– Dlaczego? – powtórzył ochrypłym głosem. I właściwie niepotrzebnie, odpowiedź była zbyt cenna. On już zdecydował. Ponad siły było zdecydować inaczej. Jeśli Tess chce, to on chce tym bardziej. Całą duszą pragnie zanurzyć się w słodkiej rozkoszy, jaką może dać Tess...

Mimo to mówił jeszcze, a słowa były niby sensowne i potrzebne, ale...

– Dlatego, Tess, bo jesteś jeszcze bardzo młoda i chyba nie zdajesz sobie do końca sprawy, co zamierzasz uczynić. Powinnaś należeć do mężczyzny, który założy ci na palec złotą obrączkę. A ja, Tess, przez tę wojnę zmieniłem się w kawałek drewna, dla mnie kobieta może być tylko kochanką... na krótko.

Tess uśmiechnęła się, ale bardzo smutno.

– A skąd ta pewność, że ja nie szukam tylko kochanka? I wcale nie jestem taka młoda, poruczniku. Mam dwadzieścia cztery lata. Ta nieszczęsna wojna też mnie zmieniła i nauczyła przede wszystkim, że nie zawsze warto czekać, aż spełnią się nasze pragnienia. Życie jest zbyt krótkie, zbyt prędko ktoś może nam je odebrać.

Jej słowa, jej uśmiech były smutne i wzruszające. A sama Tess jeszcze nigdy nie wydała mu się tak piękna i kobieca, jak w tej koszuli, u góry rozpiętej,

zsuwającej się z jednego białego ramienia. Niebieskie fałdy płynęły w dół, unosiły się kusząco nad wypukłością biustu i miękko spadały na smukłe biodra. Niebieskość rozkoszna, pokryta złotem włosów. A oczy Tess, fiołkowe, jarzyły się blaskiem wręcz magicznym, hipnotyzującym, któremu nie miał siły się oprzeć.

– Chodź, Tess. Chodź do mnie.

Nie poruszyła się. Na jej ustach znów pojawił się smutny uśmiech. Pytanie było cichutkie, nieśmiałe, bardzo jednak konkretne.

– Jamie... a gdzie ty się wykąpałeś?

Jamie też się uśmiechnął.

– Na pewno nie w saloonie, Tess. Do stajni w mieście można nie tylko wstawić swego konia. Można także samemu odświeżyć się po podróży.

– To dobrze... – szepnęła i ostrożnie zrobiła jeden krok do przodu. Potem jeszcze jeden.

Spragnione usta przywarły do siebie, a ręka Jamie'ego mogła wreszcie swobodnie błądzić po ciele kobiety. Zapach Tess odurzał, on ten zapach chłonał, i całował, całował płatki uszu, szepcząc do nich słodkie słowa, całował smukłą szyję, głaskał miękkie ciało pod niebieską flanelą, aż poczuł, że ogarnia je taki sam płomień, jaki palił jego członki. Wtedy położył Tess na pościeli z kołdry i prześcieradła, rzuconych na pachnącą lucernę.

Stał nad nią, systematycznie zdejmując z siebie wszystko, co przykrywało jego ciało. Od pasa z bronią i amunicją po buty i skarpety.

– Możesz jeszcze odejść, Tess.

Potrząsnęła przecząco głową, a więc jej przyzwolenie było ostateczne.

Ukląkł i podsuwając w górę brzeg niebieskiej koszuli, pieścił pocałunkami każdy kawałek ciała, który ukazywał się jego oczom. Małe, wąskie stopy, cienkie kostki, łydki długie i smukłe, kolana, uda... Zdjął z niej koszulę jednym szybkim ruchem i koszula znikła, upadła gdzieś na siano. Przed oczyma miał teraz nagą Tess. Alabastrową. Jęknął i pieszczoty, zrazu delikatne, stawały się coraz śmielsze. Bardzo śmiałe, mimo cichutkiego protestu Tess. Ale on pieścił dalej, póki z jej ust nie wydobył się jęk ponaglenia, póki jej paznokcie nie wbiły się w jego plecy... Więc zaczął delikatnie wsuwać się w jej wilgotne ciepło. Gotowe go przyjąć, choć jeszcze stawiające opór. Ale on wyczuł, kiedy ból Tess przeminął, kiedy smukłe nogi oplótły się wokół jego bioder i Tess, bez reszty uległa, poszybowała z nim ku tej jednej chwili, jedynej...

Potem opadł obok Tess, nie wypuszczając jej z ramion. A Tess, wzdychając cichutko, wtuliła twarz w jego pierś.

– Tess? Bolało bardzo?

Potrząsnęła głową.

– Nie krzyknęłaś, Tess.

– Nie – padła przytłumiona odpowiedź.

– Kobiety zwykle krzyczą, wiesz...

– Zwykle krzyczą – powtórzyła Tess, nagle bardzo wyraźnie. Usiadła i spojrzała mu prosto w oczy. – A ileż ty tych kobiet już miałeś?! Tłumy całe... Ech, nieważne...

Machnęła ręką, próbowała się od niego odsunąć. Pełne piersi zafalowały kusząco. Jamie, nie odrywając od nich zafascynowanego wzroku, zaśmiał się cicho i Tess, nie wiadomo jak, znów znalazła się w pozycji leżącej. A Jamie nad Tess.

– Nigdy jeszcze nie byłem... w takich okolicznościach – wymruczał.

– Jakich?

– Nigdy nie byłem z dziewczyną.

Policzki Tess zalał szkarłatny rumieniec, szarpnęła się, ale Jamie przygarnął ją bardzo mocno.

– Tess?

– Co jeszcze?

– I tamtego wieczoru, przed wyjazdem, wcale nie byłem z Elizą. Ona zrobiła tylko takie przedstawienie.

– Ona jest w tobie zakochana, Jamie.

– Eliza była zakochana prawie w całym szwadronie.

Wielkie oczy Tess spojrzały na niego bardzo, bardzo uważnie.

– A co z tobą?

– Ja? Ja nie jestem zakochany. Chociaż... nie. Jestem zakochany. W twoich welwetowych oczach, aksamitnych jak leśne fiołki. I w twojej determinacji. Ty zawsze będziesz walczyła do samego końca. Jesteś niebywale uparta i z tego powodu dość często mam ochotę cię udusić. Podoba mi się też twój sposób myślenia i serdeczność wobec innych ludzi. A wracając do oczu... Uwielbiam, kiedy płoną z zazdrości...

– Och, ty! Ja nigdy nie jestem zazdrosna.

– W takim razie jesteś wścibska. Za wszelką cenę chciałaś się dowiedzieć, gdzie brałem kąpiel. Ja to rozumiem, Tess. Nie dałabyś mi się dotknąć, gdyby okazało się, że wróciłem od innej kobiety.

– Tylko byś spróbował!

Znów się roześmiał. Chwycił ją mocno i przetur-
lali się razem po wonnej lucernie.

– Ej, ty mała słodka jęzdo! Kiedy jestem z tobą, do głowy mi nie przyjdzie nawet pomyśleć o innej kobiecie!

Tuż przed świtem Tess przysnęła. Jamie leżał na plecach nieruchomo, wpatrzony w krokwie. Był zdumiony tą nocą, zdumiony żywiołowością Tess. I nigdy jeszcze nie było mu tak dobrze, tak błogo jak teraz, gdy po tej niezwyklej nocy spoczywał u boku śpiącej Tess.

Spała słodko. Nogi podciągnięte, białe kolana ufnie oparte na jego biodrze. Jej włosy były wszędzie, na jego ramionach, na piersi. Pogłaskał je, te prześliczne, jedwabiste pasma, które jakby grzały w palce swą miodową złocistością.

Tej nocy Tess tyle się nauczyła. A on... On przede wszystkim pojął, że z żadną jeszcze kobietą nie kochał się tak naprawdę. On je po prostu miał. A z Tess kochał się. Kochał się naprawdę.

Spojrzał na słodką twarz o pięknych, regularnych rysach. Spoznał na usta, w tym brzasku czerwone jak wiśnie. Pogłaskał alabastrowe ramiona. Jego wargi przywarły do gładkiej skóry...

Westchnął ciężko. Nic z tego, ta noc, niezapomniana, dobiegła już końca. Trzeba obudzić Tess, żeby przemknęła z powrotem do domu, dopóki całe ranczo pogrążone jest jeszcze w głębokim śnie.

Rankiem wszystko nagle uległo zdumiewającej zmianie. Tess obudziła się, ale to była już inna Tess, wyjątkowo powściągliwa, pełna dystansu. Przede wszystkim skwapliwie nałożyła niebieską koszulę, a wraz z nią jakby nakładała na siebie milczenie. Nie, nie sprawiała wrażenia osoby, która żałuje tego, co się stało. Była po prostu chłodna i opanowana. A do domu wcale się nie przemykała, przeciwnie, wolnym krokiem przeszła sobie przez zielony padok i znikła w drzwiach.

Obiecała Jamie'emu, że będzie gotowa do drogi za pół godziny. Zjawiła się punktualnie i jeszcze przed dziewiątą wjeżdżali do miasta. O tak wczesnej porze ulice były prawie puste, tylko przed bankiem i zakładem balwierza kręciło się kilka osób. Tak samo przed siedzibą redakcji *Wiltshire Sun*. Tess spojrzała tęsknie w tamtą stronę, nie uczyniła jednak żadnej uwagi. Udzieliła natomiast Jamie'emu wskazówki:

– Biuro pana Barrymore'a jest po prawej stronie. On zawsze doradzał wujowi we wszystkich kwestiach prawnych.

– W porządku. A więc spotkamy się z panem Barrymorem.

Pomógł jej wsiąść z powoziku. Damie w muślinowej sukni w biało-niebieską kratkę i kapeluszu

z szerokim rondem, damie pięknej, niedostępnej, demonstracyjnie milczącej przez całą drogę.

– Tess, musimy ze sobą pomówić, pewne rzeczy wyjaśnić.

– A mnie bardzo spieszno do redakcji. Dlatego proszę, idźmy już do pana Barrymore’a.

Sama nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i rozplywając się w uśmiechu, podeszła do szczupłego jegomościa, który na jej widok zerwał się z za biurka.

– Witam, witam pana, panie Barrymore! Jakżeż pan się miewa?

Pan Barrymore ścisnął rękę Tess, jego oczy jednak utkwione były w jej towarzyszu. A Jamie aż jęknął w duchu, bo ten prawnik był chyba wczoraj w saloonie, kiedy Jamie rozprawiał się z ludźmi von Heusena.

– Panowie pozwolą, że ich sobie przedstawię – ciągnęła słodkim głosem Tess. – Pan porucznik James Slater. Pan Barrymore, prawnik, od lat prowadzący sprawę Stuartów.

Pan Barrymore milczał, nie odrywając wzroku od Jamie’ego.

– Panie Barrymore? – powiedziała Tess o ton głośniej.

– Och, proszę wybaczyć! Panno Tess, jakże jestem rad, że panią widzę, jakże rad... Proszę, proszę, niech państwo siadają. Pani wie, że Joe wszystko zapisał na panią.

– Tak. I dlatego tu jestem, panie Barrymore.

– Naturalnie, naturalnie...

– Nie, chyba pan nie domyśla się przyczyny.

Panie Barrymore, chciałabym przepisać połowę majątku na pana porucznika Slatera.

– Połowę?

– Tak, połowę.

Prawnik w końcu spojrzał na Tess, przeciągle, chrząknął i jego wzrok znów spoczął na Jamie'em.

– Czy pan wie, że stanie się pan bardzo bogaty, młody człowieku?

– Zamierzam spłacić pannę Stuart w ciągu kilku najbliższych lat – oświadczył Jamie.

Tess spojrzała na niego z największym zdumieniem.

– Masz zamiar mnie spłacić?

– Oczywiście. Chyba nie myślałaś, że zabiorę ci, ot tak, połowę majątku.

– Ale...

– Tess – powiedział miękko. – Ty... hm, to znaczy twoja ziemia warta jest zachodu.

Przez moment był pewien, że Tess zerwie się na równe nogi i zacznie krzyczeć. Ale nie. Ona pochyliła się nad biurkiem i uśmiechnęła słodko do prawnika.

– W takim razie pan Slater powinien zapłacić cenę najwyższą, czyż nie tak?

– Oczywiście – przytaknął pan Barrymore głosem raczej niewyraźnym. – Mam nadzieję, panno Stuart, że pani jest w pełni świadoma tego, co robi. Panie poruczniku, czy może pan powiedzieć, w jaki sposób będzie pan spłacał pannę Stuart?

– Naturalnie.

Porucznik podał kwoty i sposób płatności, prawnik skrzętnie zanotował.

– Panie Barrymore, i jeszcze jedno – oświadczył porucznik. – Chcę napisać testament, tak samo zresztą jak panna Tess. Nasza wola jest następująca. W razie mojej śmierci i śmierci panny Stuart cały majątek zostanie równo podzielony pomiędzy moich braci, Cole’a i Malachiego. Po ich śmierci przechodzi na ich następnych. I proszę nie robić z tego tajemnicy. Przeciwnie, chcemy, aby całe miasto wiedziało, że ranczo Stuartów nigdy nie będzie wystawione na sprzedaż. Pan pojmuje, o co mi chodzi?

Prawnik przez moment patrzył na niego w milczeniu. Nagle twarz jego pojaśniała.

– Naturalnie, że pojmuję, panie poruczniku! Do diabła, pewnie, że pojmuję! O, przepraszam, panno Tess, zupełnie zapomniałem, że pani jest tutaj...

– Bardzo zabawne – mruknęła Tess, a pan Barrymore natychmiast zabrał się za sporządzanie dokumentów, nie ustając w głośnym wyrażaniu swego zadowolenia.

– Jasne, że wszyscy się dowiedzą! A pewnie!... Pan, panie poruczniku, zdaje sobie jednak sprawę z pewnych, hm... konsekwencji pańskiego kroku. Chociaż... jeśli ktoś potrafi strzelać, tak jak pan! Widziałem przecież na własne oczy...

– Strzelać? – przerwała Tess, prostując się w swym krześle.

– Panno Tess, szkoda, że pani tam nie było! Wczoraj wieczorem do saloonu przyszło kilku tych bandziorów od von Heusena. Jeden z nich przyczepił się do biednego Hardy’ego, na szczęście w sa-

loonie był pan porucznik i on rzecz całą załatwił. I to jak! – Pan Barrymore, nie posiadając się z zachwytu, uderzył ręką o biurko i wybuchnął głośnym śmiechem. – Panno Tess, to była prawdziwa uczta dla oczu! Porucznik nic pani nie mówił? A to paradne! Gdybym ja coś takiego zrobił, cały świat o tym by usłyszało! A w redakcji nikt pani o tym nie mówił, panno Tess? Przecież przy tym samym stoliku, co porucznik, siedział Ed Clancy!

Tess powoli podniosła się z krzesła.

– Nie byłam jeszcze w redakcji – oświadczyła.
– Ale teraz tam pójdę. Panie poruczniku, pan zapewne dokładnie wie, o co panu chodzi i jak to ująć w dokumencie. Ja wrócę za chwilę i wszystko podpiszę. A teraz proszę wybaczyć...

Jamie i pan Barrymore elegancko podnieśli się ze swych krzeseł. Tess była już w progu. Wypadła na ulicę, pragnąc ukryć krwisty rumieniec i nie mając pewności, czy powinna być wściekła na porucznika, czy też wrócić i ucałować go w oba policzki. Na razie jednak tylko jedna rzecz wchodziła w rachubę. Jak najprędzej spotkać się z Edem, świadkiem naocznym, który wczorajszego wieczoru siedział w saloonie przy tym samym stoliku, co porucznik.

Kiedy wkraczała do siedziby gazety *Wiltshire Sun*, dwie pary oczu spojrzały na nią z niekłamana radością i siłą rzeczy śledztwo należało odłożyć na później. Edward Clancy zerwał się z za swego biurka i rzucił do Tess.

– Och, panno Tess! – wołał, gniotąc ją w uścisku.
– Chwała Bogu, że pani żyje! Slater powiedział mi to

wczoraj, ale co innego, kiedy mogę na własne oczy ujrzeć panią całą i zdrową!

– Dziękuję, Edwardzie, dziękuję.

Za Edwardem stał już Harry, drukarz, bezzębny, mizernej postury i bardzo, bardzo nieśmiały.

– Chodź tu, Harry, chodź! – mówiła serdecznie Tess. – Pozwól dać sobie całusa!

Cmoknęła go bardzo głośno, a on zarumienił się po nasadę siwej czupryny.

– Panno Tess, my ani na chwilę nie przerwaliśmy roboty. Nawet kiedy nam powiedzieli, że państwo nie wrócą, gazeta wychodzi regularnie. We wtorki, czwartki i soboty.

– Jestem z was obu bardzo dumna.

Edward spoglądał na nią jednak z miną nieco niewyraźną.

– To znaczy, gazeta wychodzi regularnie, ale raczej nie ma w niej nic szczególnego. Pani rozumie, ten von Heusen cały czas siedzi nam na karku...

– Ja wszystko rozumiem! Najważniejsze, że gazeta się ukazuje. Ed, zdążę jeszcze coś napisać do wtorkowego wydania?

– Naturalnie, panno Stuart, naturalnie.

Tess ściągnęła rękawiczki, rozsiadła się za swoim biurkiem i z lubością wciągnęła w płuca znajomy zapach. Zapach farby drukarskiej. Jak miło znów tu się znaleźć... Wkręciła papier do maszyny, zręczne palce zastukały w klawisze. Tess Stuart opisze wszystko. Białych napastników przebranych za Komanczów i to, jak uratował ją oddział kawalerii. O wodzu Płynąca Rzeka, który przysiągł, że to nie

jego ludzie napadli na wozy Josepha Stuarta. Opisze to wszystko, jako świadek naoczny, jako ktoś, kto to piekło przeżył...

Swój artykuł zakończyła odważnym oskarżeniem:

Naszym miastem zawładnął tyran i sprawuje tu swoją bezlitosną władzę. Tyran gotów na wszystko, byle tylko osiągnąć swój cel. Nieraz się zdarzyło, że któryś z naszych przyjaciół czy sąsiadów zniknął bez śladu. Ludzie mówili, że to wojna, a przecież wojna dawno się skończyła. Każdy przyzwoity człowiek chce naprawić swój płot i podać bliźniemu pomocną dłoń.

W naszym mieście nie ma spokoju. Do naszego miasta zawitał diabeł, diabeł wcielony, który zabił Josepha Stuarta. Joe nie żyje, ale nie oddał swego życia na próżno. Walczył ze złem i jego dzieło trzeba prowadzić dalej. Trzeba pokonać zło, ale już nie to zło powodowane przez wojnę, a zło wyrządzane przez jednego złego człowieka, jaki by on nie był groźny. Pokonamy go, drodzy przyjaciele, jeśli zjednoczymy nasze siły i powstaniemy przeciw niemu solidarnie, ramię w ramię.

– Ed, przeczytaj to, proszę.

Doświadczony redaktor szybko przebiegł oczami zapisaną stronicę.

– Panno Tess...

– Jutro ma się to ukazać. Na pierwszej stronie.

– Panno Tess, on potem nie spocznie, dopóki...

– Nie dbam o to. Już raz zostawił mnie na prerii na niechybną śmierć.

– Ale, panno Tess...

– Ja nie odstąpię, Clancy, macie to wydrukować

na pierwszej stronie. A teraz niech pan opowiada, cóż to się działo wczoraj w saloonie.

– W saloonie? – powtórzył ze zdumieniem Edward. – Byłem tam, owszem, wczoraj wieczorem, panno Stuart. Zapragnąłem posiedzieć sobie trochę wśród ludzi. Czy to...

– Ależ, Clancy! Przecież ja rozumiem, że każdy potrzebuje czasami się zabawić! Ciekawa jestem tylko, cóż tam wczoraj porabiał porucznik.

– Porucznik?

– Slater! Porucznik Slater! Podobno byli też tam ludzie von Heusena, ktoś strzelał...

– A, o to chodzi! O, panno Tess! To było coś, naprawdę coś...

– Ale co? Niechże pan mówi dokładniej!

– Było tak. Doktor Martin i ja graliśmy sobie w karty, a tu drzwi się otwierają i do saloonu wchodzi porucznik. Wszyscy powitali go pięknie...

– Pewnie gapili się na niego, bo jeszcze nie wiedzieli, czym on pachnie?

– No... może tak było, ale tylko na początku. W każdym razie Martin i ja zaprosiliśmy porucznika do nas, na whisky. Pogadaliśmy trochę, porucznik zaczął nas podpytywać o różne rzeczy i wtedy do saloonu weszli oni, te bandziory von Heusena. Podeszli do baru i jeden z nich zaczął szarpać barmana, Hardy'ego. Porucznik Slater powiedział, że ma przestać. A ten wcale nie przestał, tylko śmiał się i oni zaczęli grozić porucznikowi, że go zastrzelą. A wtedy porucznik... Panno Tess! Zanim człowiek zdążył pomyśleć, oni leżeli już rządkiem, cała

czwórka. Jęczeli, stękali, popiskiwali jak niemowlęta. A porucznik, zimny jak skała, przestąpił przez ich ciała i poszedł sobie do balwierza, ogolić się i wykąpać. Te bandziory odgrazały się potem, ale ledwo doktor zdążył ich jako tako opatrzeć, oni wszyscy, jeden po drugim, puciekali z miasta. Trzech odjechało, czwarty sunął na piechotę, jako że kula trafiła go w najbardziej intymną część ciała. Pani rozumie, co mam na myśli, panno Stuart?

– Rozumiem, rozumiem! – odparła z uśmiechem rozbawiona Tess. Ucałowała Eda w policzek, uśmiechnęła się do Harry'ego i nieśpiesznym krokiem wyszła na ulicę, zmierzając z powrotem do biura pana Barrymore'a.

Hm... Wygląda na to, że życzenie panny Stuart spełniło się z nawiązką. Chciała rewolwerowca, a ma absolutnego mistrza w strzelaniu. Najpierw przygoda z grzechotnikiem, teraz czterech bandziorów za jednym zamachem. A ona, idiotka, napadła na Jamie'ego, bo wyjechał z rancza i zostawił ją samą! On tymczasem jednego wieczoru zdążył kilku bandziorów von Heusena posłać do diabła. Mało tego, po powrocie na ranczo z kilku następnych zrobił kompletnych durniów. I jak upokorzył samego von Heusena!

Von Heusen zapewne szaleje z wściekłości. Chce zemsty, chce krwi. Chce głowy Tess Stuart. Ale teraz Tess Stuart ma u swego boku porucznika Slatera i jego kolty.

Jeszcze jedno życzenie się spełniło... Tess zapragnęła nie tylko koltów porucznika i jego umiejętności strzelania. Tess zapragnęła samego porucznika.

No i dostała porucznika.

Palce Tess zacisnęły się nerwowo na sznurku aksamitnego woreczka. Boże wielki... Ta noc... w szopie, na lucernie. Jak mogła tak się zapomnieć, jak mogła być tak bezwstydna, wyuzdana, jak mogła przyzwolić na tak wielką intymność! On ją ostrzegął, mówił, żeby odeszła, że powinna być z mężczyzną, którego pokocha i który odwzajemni jej miłość.

Bo Jamie jej nie kocha, choć wymienił tyle jej zalet, które go ujęły. To niczego jednak nie dowodzi, to tylko miłe słówka, sączy się je do ucha każdej kobiecie. Kobiecie cieplej, chętniej, takiej, która sama rzuca się mężczyźnie w ramiona. Jak Eliza. Jak Tess.

Pewnego dnia Jamie Slater odejdzie od niej. Odejdzie, tak jak odszedł od Elizy.

Dlatego Tess Stuart powinna teraz podjąć niezłomną decyzję. Że taka noc nigdy, ale już przynigdy się nie powtórzy. Nawet jeśli właśnie takiej nocy nie było w jej najśmielszych marzeniach. Takiej nocy cudownej... Niestety, nie sposób podjąć takiej niezłomnej decyzji. Tess Stuart, kiedyś tak samodzielna i niezależna, marzy teraz tylko o jednym. O dłoniach Jamie'ego Slatera na swym ciele...

Kiedy wchodziła do biura prawnika, pan Barrymore właśnie kończył sporządzanie drugiego zestawu dokumentów. Tess, przed złożeniem podpisu, starała się dokument przeczytać. Litery skakały jej przed oczami, cóż dziwnego, skoro myśli nadal zajęte były czymś innym.

– Potrzebujemy świadka – powiedział pan Barrymore.

– Znajdziemy go bez trudu – oświadczył Jamie, znikł na chwilę i wrócił z doktorem Martinem.

Jamie podpisał jeden zestaw dokumentów, swój podpis złożył potem pan Barrymore, a na końcu doktor, jako świadek. Tess podpisała drugi zestaw dokumentów, nie mając do końca pojęcia, co podpisuje. Jej podpis został również poświadczony.

– Czyli sprawa załatwiona – stwierdził z satysfakcją Jamie, wręczając panu Barrymore’owi kilka złotych monet. Pan Barrymore zdawał się być bardzo zadowolony z honorarium w formie brzęczących monet zamiast papierowych banknotów.

Tess ledwo zdążyła rzucić krótkie słowa pożegnania, porucznik już wyprowadzał ją przez drzwi.

– Jamie, ja nie chcę jeszcze wracać do domu.

– Wcale nie wracamy. Najpierw musimy ze sobą spokojnie porozmawiać.

– Ale...

– Żadnych „ale”. Wskakuj do powozu, Tess, bo inaczej wsadzę cię tam siłą.

– Nie ośmielisz się.

Naturalnie, że się ośmielił. Zrobił krok do przodu i stopy Tess nagle oderwały się od desek chodnika. Siedziała już w powoziku, a Jamie obok. Cmoknął na konia i powozik potoczył się ulicą. Tess siedziała nadęta, Jamie też nie odzywał się ani słowem. Niebawem wyjechali z miasta. Koń rączo przebiegł spory kawał podmiejską drogą i Jamie ściągnął cugle. Koń zwolnił i przystanął. Jamie wyskoczył z powozu i przeszedł na drugą stronę, do Tess.

– Chodź!

- Dokąd?
- Nad wodę.

Wziął ją za rękę i poprowadził do małego zagajnika, tuż nad rzeką. Byli tu zupełnie sami, tylko woda szemrała i ptaki szczebiotały wśród liści drzew.

- Co się dzieje, Tess?
- To znaczy... co?
- Ubiegłej nocy dałem ci szansę. Mogłaś się wycofać. Ale zostałaś.
- Ja...
- Chciałaś kochać się ze mną.
- Ja... tak... – wyszeptała.
- A teraz, od samego rana, ignorujesz mnie. Tess, ty w ciągu kilku godzin zmieniłaś się w sopol lodu.
- Wcale nie!
- Tak! I dlaczego to robisz?
- Bo nie chcę... bo wiem, że ty... Bo nie chcę krępować cię moją osobą...

Głos jej zamierał, bo cóż tam słowa, kiedy miała teraz tak straszliwą ochotę przytulić się do tej szerokiej piersi... Kolana robiły się takie miękkie... czuła drżenie w całym ciele...

Jakież te jej życzenia wszystkie od razu się spełniają! Silne ramiona porucznika przygarnęły ją do tej właśnie szerokiej piersi, objął ją i zaszeptał:

- Tess, Tess, to zatrważające, po prostu zatrważające. Zaczynasz znaczyć dla mnie tak wiele...

Usta Jamie'ego delikatnie przesunęły się po jej wargach, w jedną i drugą stronę, a potem już całował ją gorąco i złączeni tym pocałunkiem,

spleceni ramionami upadli oboje na trawę. Całowali się dalej, jak szaleni, obejmowali się dalej, jak szaleni, i tylko zdawało się, że ta trawa, gnieciona przez nich, szeleści coraz głośniej.

Drżące palce Tess rozpięły męską koszulę, a niecierpliwe palce Jamie'ego stoczyły walkę z haftkami muślinowej sukni. Plecy kobiety spoczyły na ziemi, nad nią zawisł brązowy nagi tors mężczyzny, a w górze nad nimi było błękitne niebo i palące słońce... Potem już była tylko namiętność, niepoahamowana, dzika, rodząca krzyk, krzyk rozkoszy.

I spokój. I cichutki szept Tess:

– Ja... ja zaczynam się ciebie bać.

– Dlaczego, Tess?

– Za bardzo... za bardzo zaczyna mi na tobie zależeć.

Uśmiechnął się trochę smutno.

– Tego boi się każdy, Tess.

– Nie wierzę, żebyś ty czegokolwiek się bał.

– Boję się, Tess. Boję się, że cię stracę. Właśnie teraz.

– Teraz?

Tess zaśmiała się i poderwała z trawy.

– Teraz to chyba niemożliwe, Jamie!

Strzepnęła źdźbła trawy z koszulki i pobiegła do rzeki. Na brzegu przystanęła, posłała mu jeszcze jeden wdzięczny uśmiech i weszła w srebrzystą tafłę. Jamie zrzucił z siebie szybko resztki garderoby i ruszył śladem Tess. Wszedł w wodę, stanął za dziewczyną i ucałował aksamitny karczek. Jego słowa, wyszeptane wprost do ucha, były tak ciche,

że Tess nie była pewna, czy naprawdę wyszły z jego ust.

– Tess? Ja noszę już ciebie w moim sercu, wiesz?

Puścił ją nagle, przeszedł parę kroków, rzucił się w wodę i popłynął na głębiej, na sam środek rzeki.

– Woda lodowata! – krzyknął do niej i zanurkował.

Z tyłu, za nią, usłyszała cichy odgłos, jakby ktoś na brzegu ułamał gałązkę.

Odwróciła się i zamarła z przerażenia.

Było ich czterech. Cztery wysokie postacie pomalowane na brąz, w spodniach z jeleniej skóry. Indianie? Nie, to nie Indianie.

– Jamie...

Jej gardło, ściśnięte nieludzkim strachem, było w stanie wydać z siebie tylko cichutki szept. A Jamie i tak niczego nie mógł zrobić. Ich było czterech, mieli łuki i strzały, strzelby, nawet tomahawki. Przyjechali tu za nimi, żeby ją zabić. I zabijają, zanim Jamie wypłynie znów na powierzchnię srebrzystej wody. I to wszystko jej wina. Gdyby zgodziła się porozmawiać z nim wcześniej, on by jej tutaj nie przywoził i nie zapomnieliby oboje o grożącym niebezpieczeństwie.

Jeden z mężczyzn rzucił się do niej. Wtedy rozdierająco krzyknęła.

– Jamie!

Walczyła zaciekle. Kopała, drapała, ale z tyłu podbiegł drugi z mężczyzn, złapał za nogi i przerzucił ją sobie przez ramię. A ona biła i drapała te ohydne, spocone plecy, pomalowane brązową farbą.

– Tess!

Jamie, nagi, nieuzbrojony, biegł ku niej przez wodę, wzbijając srebrne fontanny. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały, przekazując sobie ból i przerażenie.

– Tess! Tess! – krzyczał jak oszalały, wyskakując na brzeg.

Mężczyzna, który niósł Tess, zaczął biec. A Tess miotła się na jego plecach, rozpaczliwie wykręcając głowę. Chciała widzieć Jamie'ego.

I zobaczyła.

Jamie jak anioł zemsty rzucił się na jednego z uzbrojonych mężczyzn. Powalił go na ziemię, ale z tyłu już podkradał się drugi mężczyzna, już podnosił strzelbę, aby kolbą zadać potężny cios. Usłyszała głucho uderzenie. Jamie zachwiał się, widziała, jak osuwa się na ziemię...

Potem już nic nie widziała. Ogarnęła ją ciemność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po odzyskaniu przytomności pierwszym doznaniem Tess był ból. Bo i jakże miało nie boleć, kiedy była przewieszona przez grzbiet galopującego konia. Jej twarz obijała się o spocony bok zwierzęcia, monotonny stukot kopyt rozsadzał czaszkę. I bolało ją wszystko, wszyściutko, ramiona, kark, plecy. Była jednym kłębkim bólu.

Potem wróciła pamięć. Porwali ją ci okrutni przebierańcy udający Indian. Na pewno oni. Jej koszulka była brązowa od farby. A Jamie... Jamie został nad rzeką. Oni rozłupali mu czaszkę. Jamie rzucił się Tess na ratunek i przypłacił to życiem.

Oczy Tess napełniły się łzami, ledwo powstrzymała się od krzyku. Boże jedyny... A może Jamie przeżył, może tylko stracił przytomność i oni zostawili go na brzegu. Tess przecież też zostawili na prerii i przeżyła. A Jamie jest silnym, twardym mężczyzną, zahartowanym przez wojnę.

Ale ten mężczyzna uderzył go tak mocno...

Nie, nie wolno się poddawać. Trzeba wierzyć, wierzyć gorąco, że Jamie przeżył. Ta wiara pozwoli jej przeżyć. Choć jej szanse są takie niewielkie. Von Heusen ją zabije, choć zapewne jeszcze nie wie, że śmierć Tess i Jamie'ego wcale nie otwiera mu drogi do majątku Stuartów. Jamie mówił, że ma wielu krewnych, braci, ich żony... Jeśli stanie się to najgorsze, jeśli nie będzie już ani Jamie'ego, ani Tess, czy bracia Jamie'ego zechcą osiedlić się w Wiltshire i walczyć dalej z von Heusenem? Może i zechcą. O ile są to prawdziwi bracia, oddani sobie i lojalni. I chyba tak jest, bo po cóż by Jamie sporządzał taki właśnie testament. On jest pewien, że jego bracia staną za nim murem. I pomszczą jego śmierć.

Śmierć... Nie, nie ma żadnej śmierci, Jamie żyje. Boże wielki i wszechmocny, Ty nie pozwoliłeś mu umrzeć, nie pozwoliłeś...

Nagle usłyszała za sobą krzyk:

– Ej, Dawid! Stajemy!

Zgoniony koń zaczął zwalniać, z boku dokłusował drugi koń.

– Możemy się zatrzymać. I tak nikt już nas nie wytropi. Dobrze, że taki kawał jechaliśmy rzeką. A zresztą oni i tak będą szukać Komanczów, nie na darmo zostawiliśmy tam tyle strzał. Co z nią?

– Dalej nieprzytomna.

– To i lepiej. Zatrzymamy się tu na noc. A jutro po południu spotkamy się z *comancherosami* i odamy im dziewczynę.

Tess poczuła, jak oblewa ją zimny pot. *Comancheros*... Dzikie bandy Meksykanów i Indian.

Bandyci najgorsi z najgorszych. Napadają na bezbronnych ludzi, rabują, mordują i gwałcą. I bogacą się, nielegalnie sprzedając broń Apaczom. Tym zbirom von Heusen chce wydać Tess. Znalazł sposób, aby jej się pozbyć. Nie zada jej śmierci szybkiej, gwałtownej. Jeszcze za życia wyśle ją do piekła.

Obaj mężczyźni zatrzymali konie i zeskoczyli na ziemię.

– Ale miałem radość, ale radość, kiedy walnąłem go tą kolbą – mówił Dawid, mężczyzna, który wioził Tess. – Należało mu się za to, co nam urządził na ranchu Stuarta. Marzyłem, żeby wydlubać mu oczy.

Drugi mężczyzna zarechotał.

– I jeszcze oskalpować!

– Jak myślisz, Jeremiasz, czy Hubert i Smitty przekazali już von Heusenowi dobrą nowinę?

– Chyba tak. Kazałem im gnać prosto do niego. No, dobra, Dawid, ściągaj dziewczynę z konia. Zdążymy ją związać, zanim oprzytomnieje.

Czyjeś ręce dotknęły Tess. Ręce Dawida, splamione krwią Jamie'ego Slatera.

Krzyknęła. Dziko, przeraźliwie.

– Ty! Ty draniu! Chciałeś Jamie'emu wydlubać oczy?! Teraz stracisz swoje własne!

Rozcapierzone palce Tess wpiły się w twarz Dawida. Nie trafiły w oczy, ale paznokcie wryły się w jego policzki. Zaskowytał, zachwiał się i puścił Tess. A ona jednym ruchem wsunęła się z powrotem na grzbiet konia i chwyciła za wodze. Boże, uciekać, uciekać... Ale koń, przestraszony krzykiem, nie chciał słuchać. Zaczął rzucać łbem, bić zadem,

wzbijając tumany piachu. Na nic zdały się rozpaczliwe próby. Grzbiet zwierzęcia wygiął się w łuk i Tess upadła ciężko na ziemię.

– Jeremiasz, łap konia! – ryknął Dawid. – Ja biorę się za dziewczynę!

Poderwała się natychmiast. Przed nią wąska kamienista dróżka między wyschniętymi krzakami. Pobiegła. Ostre kamienie wbijały się w boscie stopy, miała uczucie, że jej płuca zaraz pękną, ale biegła. Byle szybciej, byle dalej...

Nagle czyjeś silne ramię owinęło się wokół jej nóg. Już leżała na ziemi, w ustach, oczach, nosie, wszędzie piach. Zakrztusiła się, zakaszła. Ktoś odwrócił ją na plecy i przygniół swoim ciężarem. Otworzyła oczy. Dawid. Siedział na niej okrakiem, jak na koniu. Nadal miał na sobie spodnie z jeleniej skóry, ale z głowy znikła czarna peruka. Rude włosy odcinały się wyraźnie od twarzy wysmarowanej na brązowo, dziwnie jednak pasowały do czerwonych szram, które wryły na tej twarzy paznokcie Tess, na twarzy bardzo jeszcze młodej, a już skażonej. Młody mężczyzna nie powinien mieć takich zimnych oczu...

– Panno Stuart! Jakże miło ujrzyć panią w takim stroju!

Stroju! Koszulka i halka. Spod podwiniętej halki widać prawie całe nogi, koszulka też podwinięta, nad talią pas niczym nieosłoniętego ciała. Oczy mężczyzny były łakomie wpatrzone w nagą skórę, a jego zamiary oczywiste.

Umrzeć. Tess nie miała już innych pragnień.

A jeszcze tak niedawno Jamie szeptał jej słodkie słowa. Że nosi ją w sercu. Jeszcze niedawno uczyła się w jego ramionach, jak być kobietą, pragnąc i zaspakajając pragnienie mężczyzny. Co to jest, ta namiętność gorąca, te wszystkie słodkie i fascynujące rzeczy, które przeżywają wspólnie kobieta i mężczyzna. To było tak niedawno... A teraz ten drań o rękach splamionych krwią wpatruje się z obłęsnym uśmiechem w półnagą Tess.

– Zawsze chciałem poznać cię bliżej, Tess.

Pochylił się nisko, naga, spocona pierś mężczyzny dotknęła skóry Tess. Jej twarz owionął śmierdzący oddech.

– Nie martw się, kwiatuszku, na pewno ci się spodoba. Jestem w tym dobry, piekielnie dobry. Będiesz jeszcze krzyczeć z przyjemności, będziesz dziękować, że to ja miałem ciebie pierwszy. Bo ty pójdziesz do Nalte, wodza Apaczów Mescalera, a on twardy jest, oj, twardy. Jemu już dawno się zachciało białej kobiety. Jego ludzie przywozili mu niejedną, ale zawsze trafiała im się ciemnowłosa. A Nalte uparł się na jasnowłosą. Dlatego nasi przyjaciele *comancherosi* obiecali mu podarek, a ten podarek kupią sobie od nas. Białą squaw o jasnych włosach.

– Złaż z niej, ale już!

Ktoś uwolnił Tess od odrażającego ciężaru. Natychmiast przesunęła się odruchowo kawałek dalej. A obaj mężczyźni okładali się pięściami. Jeremiasz, silniejszy i zwinniejszy, szybko zdobył przewagę.

– Czego się czepiasz, oj... – jęczał Dawid, osła-

niając głowę przed gradem uderzeń. – Przecież ty też będziesz mógł sobie poużywać!

– Zdurniałeś?! Von Heusen obiecał Nalte, że kobieta będzie nietknięta!

– Nietknięta? A jak myślisz, co ona robiła ze Slaterem nad rzeką?

– Myśla sobie twarz, a Slater pływał. Niczego więcej nie widziałem. A von Heusen kazał nam przysiąc, że jej nie tkniemy. Zapomniałeś? I ja nie mam zamiaru dostać kulka w łeb, bo tobie zachciało się zabawić.

– Zapomniałeś, że ja tu wydaję rozkazy.

– Rozkazy wydaje von Heusen!

Nagle Tess uzmysłowiła sobie, że marnuje drogocenną sposobność. Zerwała się na równe nogi, zerwała się do biegu... Trzy kroki. Tylko trzy i poczuła, jak jej głowa leci w tył. Ktoś szarpnął ją za włosy, szarpnął z taką siłą, że musiała się zatrzymać. Upadła na ziemię, ciężko dysząc, tłumiąc w sobie szloch. Nie, ona im nie ucieknie, ona nie ma już w sobie ani odrobiny siły.

– Spokojnie, panno Stuart, spokojnie...

Teraz trzymał ją Jeremiasz. Jasnowłosy, równie młody jak Dawid, ale jego blade niebieskie oczy nie miały w sobie tyle chłodu. Na twarzy uśmiech prawie uprzejmy.

– Dam pani jakieś ubranie, przyniosę też coś do jedzenia i wodę. Ale potem panią zwiążę. Muszę to zrobić. I żaden z nas pani nie tknie.

– Mów za siebie – warknął Dawid.

– Mówię za nas obu! – krzyknął Jeremiasz.

– Oddamy ją *comancherosom* nietkniętą, tak jak rozkazał von Heusen.

Chwycił Tess mocno za ramię i pociągnął za sobą do konia, obładowanego jukami. Odwiązał jeden z tobołków. Tobołek upadł na ziemię. Jeremiasz przykląkł, pogrzebał w nim i wyciągnął spodnie i bluzę. Indiańskie, a jakże, pomyślała gorzko Tess. Z miękkiej jeleniej skóry, zdobione aplikacją i paciorkami.

– Pani to weźmie – powiedział szorstko. – Tylko żadnych głupich żartów z uciekaniem. Bo wtedy przymknę oczy i pozwolę Dawidowi zrobić z panią, co mu się żywnie podoba. Pani rozumie?

Rozumiała. I wcale nie miała zamiaru uciekać. Czują, że zupełnie opadła z sił.

– Nie odchodzić za daleko! – krzyknął Jeremiasz.

– Tu jestem, tu jestem – mruknęła, kryjąc się za pobliskim krzakiem. Ten indiański przyodziewek na pewno będzie lepszy niż jej poszarpana, brudna bielizna. Może i powinna czuć teraz wdzięczność do Jeremiasza, ale, na Boga, za cóż ona może być tak naprawdę wdzięczna...

– Jesteś tam? – krzyknął Jeremiasz.

– Tak. Już idę.

Powoli wyszła zza krzaków.

– Powinna mieć spódnicę – stwierdził Dawid.

– A nie spodnie wojownika.

– W spódnicy nie mogłaby wsiąść na konia.

Może z tym Jeremiaszem będzie można się porozumieć... Może on nie jest skończonym draniem... W jej sercu nagle zrodziła się nadzieja.

– Panno Stuart, muszę związać pani ręce – powiedział Jeremiasz. – Niech pani tu podejdzie.

Nie poruszyła się, tylko spojrzała na niego i spytała cichutko:

– Ale dlaczego?

Jeremiasz chrząknął.

– No, bo...

– Dajże spokój – warknął Dawid. – Ona próbuje zrobić z ciebie durnia.

Wyrwał Jeremiaszowi sznur z rąk i sprawnie obwiązał nadgarstki Tess, zaciągając mocny węzeł. Potem chwycił ją za ramiona, wypchnął na środek polany i zmusił, żeby uklęknęła.

– Masz tu siedzieć! I nie ruszać się stąd! Jeremiasz! Za tymi krzakami jest źródło. Małe, bo małe, ale można pozbyć się tej przeklętej farby. Idź pierwszy, potem ja pójdę, o ile zdecyduję się zaryzykować i zostawić cię z nią samego.

– To raczej ja powinienem się zastanowić, Dawidzie Birch! Pamiętaj, jeśli coś strzeli ci do tego głupiego łba...

– Nie mędrkuj, tylko leć już do tego źródelka, bo ja też chcę jak najszybciej zmyć z siebie to świństwo.

Jeremiasz wyjął z juków kilka sztuk garderoby i znikł wśród krzewów. Tess odprowadziła go wzrokiem, a kiedy znów spojrzała na Dawida, zobaczyła na jego twarzy drwiący uśmiech.

– Myślisz, że owiniesz go sobie wokół palca? Nie uda ci się, już ja tego dopilnuję. Pójdiesz do Nalte, a jakże, i będziesz miała innego rodzaju zajęcia niż

pisanie artykułików do gazety, którymi podburzasz miejscowych gnojków.

Odwróciła się do niego plecami. A on śmiał się, rechotał coraz głośniej, nagle stanął przed nią, pochylił się i szarpnął ją za włosy. Zabolało bardzo, ale Tess nawet nie pisnęła.

– A ja będę się z tego bardzo, bardzo cieszył. Tak samo, jak wtedy, kiedy słyszałem, jak Slaterowi rozłupało czaszkę.

– Może wcale nie rozłupało – powiedziała głosem bardzo spokojnym.

Szarpnął jeszcze raz, o wiele mocniej.

– Nie ma siły, żeby przeżył, więc już nie musisz się o niego martwić!

Puścił ją i odszedł, zostawiając nareszcie w spokoju. Po chwili wrócił Jeremiasz i to on teraz został milczącym strażnikiem Tess.

A jej brakowało już energii, żeby zaczynać jakąkolwiek rozmowę. Siedzieli w ciszy, dopóki nie zapadła ciemność. Kiedy Dawid wrócił, obaj mężczyźni wspólnie rozpalili ognisko. Do jedzenia był kurczak na zimno, do picia woda z menażki, ale oni nie rozwiązali jej rąk i nagle samo jedzenie wydało się Tess czynnością ponad jej siły. Nie tknęła kurczaka, wypiła tylko parę łyków wody i ułożyła się na boku na ziemi.

Zamknęła oczy i wielokrotnie powtórzyła sobie w duchu zdanie, o którym marzyła, żeby stało się prawdą. Jamie żyje. Jamie żyje. W każdej chwili może wynurzyć się z tych krzaków. I zabije obu tych drani.

Ale Jamie nie nadchodził. Podszedł za to Jeremiasz. Narzucił na Tess koc i wsunął jej pod głowę jakiś miękki tobołek.

– Niech tylko nie przychodzi ci do głowy uciekać – ostrzegł.

Dawidowi same słowa nie wystarczały. Zjawił się z kawałkiem mocnej linki. Jednym jej końcem obwiązał kostkę Tess, drugi koniec trzymał w ręku.

– A rusz się tylko – warknął – to zaraz poczuję. Wtedy marny twój los.

Te groźby były zupełnie niepotrzebne. Tej nocy Tess i tak by nie uciekła, nawet gdyby goniły ją wszystkie demony tego świata. Sił starczało już tylko na łzy.

Koń wrócił do stajni o zmierzchu. Wrócił sam, ciągnąc za sobą pusty powóz. Jon natychmiast ruszył w drogę. Dotarł do rzeki już nocą. Odnalazł w ciemnościach ślady, które mówiły, że w tym miejscu zatrzymał się jakiś wóz. Z wozu wysiadło dwoje ludzi.

Szukał dalej niestrudzenie. Ci ludzie weszli do wody. Jon szukał dalej, na jednym brzegu i na drugim. I w końcu natknął się na nieruchome, skurczone ciało.

Zdjął kurtkę z jeleniej skóry, okrył nią przyjaciela i ostrożnie dotknął rany na skroni. Krew przyschła. Potem jak najdelikatniej musnął palcami czaszkę. Kości były chyba nienaruszone. Jon ściągnął z szyi chustę, zamoczył ją w wodzie i ostrożnie zmył krew z nieruchomej twarzy. Ciało Jamie'ego było zimne,

lodowato zimne. Najbardziej potrzebne mu było teraz ciepło.

Objął go ramionami, ostrożnie podniósł z ziemi i gwizdnął cichutko. Karny srokacz przykłusował natychmiast. Jon, nie wypuszczając Jamie'ego z ramion, powoli wspiął się na konia i usadził w siodle. Cmoknął, srokacz ruszył wolniutko, stępem.

Kiedy podjeżdżał pod dom na ranczo, wszyscy czekali już na werandzie. Na widok półnagiego, nieprzytomnego porucznika Jane wydała cichy okrzyk i zbladła jak ściana.

– Ejże, młoda damo! – huknęła Dolly. – Niech tylko ci do głowy nie przyjdzie teraz właśnie zemdleć! Jon! Wnieś porucznika i ułóż na sofie. Jane, ty biegnij na górę i przynieś tyle kocy, ile dasz radę udźwignąć. Hank, postaraj się o przybory, którymi będę mogła zaszyć ranę. Macie przecież coś takiego na ranczu. Potrzeba też wody, dużo wody i alkohol do przemycia rany. A może też i porucznikowi przyda się łyceczek...

Wszystkie rozkazy wykonano bez szemrania. Jane pomknęła na górę jak strzała, po chwili zbiegała już z powrotem z naręczem grubych kocy. Jon położył Jamie'ego na sofie, otulił go kocami, przysiadł w nogach i zaczął rozcierać jego lodowate stopy. Po chwili Hank dostarczył już wszystko, co mu polecono i Dolly mogła przystąpić do zabiegu.

– Cud, że jeszcze oddycha – mruknęła, ostrożnie przemyciwając ranę.

– To twardy chłopak z Missouri – powiedział Jon, wstając z sofy. – Zobaczysz, Dolly, że on wyjdzie z tego.

- Zrobię wszystko, żeby tak się stało. Jon?
- Dolly spojrzała na Jona z wielkim niepokojem.
- Gdzie Tess?

- Nie wiem, Dolly. Musiałem przywieźć tu Jamie'ego jak najszybciej. Bałem się, że umrze. Ale teraz wracam tam, będę szukał dalej.

Uniósł kapelusza i wypadł przed dom. Wkrótce znów był nad rzeką. Niestety tylko po to, aby stwierdzić, że ludzie, którzy napadli na Jamie'ego i Tess, pojechali wodą. Żeby ich wytropić, Jonowi potrzebne jest jasne światło dnia.

Ta noc jest zmarnowana. A może i nie. Saloony zwykle otwarte są bardzo długo, dopóki nie wyjdzie ostatni gość. A z przypadkowej rozmowy często można dowiedzieć się czegoś więcej niż z grudek ziemi i ułamanych gałązek.

Ściągnął jedną wodzę, srokacz skręcił w bok i ruszył galopem w kierunku miasta.

Sny Jamie miał rozmaite, albo pełne grozy, albo erotyczne, zawsze jednak naznaczone gorączką.

Przez dłuższy czas w jego śnie była tylko walka. Słyszał huk dział, czuł zapach prochu, a jemu przyszło zmagać się z wielkoludami, którzy na głowy mieli nasadzone łby bizonów. Walka była ciężka, nagle jednak wszystko ucichło, przeciwnik znikł. Bo żadna wojna nie trwa w nieskończoność. Jamie bił się kiedyś z Jankesami, a teraz sam nosi niebieski mundur. Zajmuje się głównie sprawami Indian, poznał więc dobrze ich języki. I samych Indian też...

Te wozy tam, na prerii, ten martwy starzec z okrutnie okaleczoną głową... Jon Czerwone Pióro komuś potem tłumaczył, że Apacze tego zrobić nie mogli. Jamie wiedział to od samego początku. Apacze nie lubią skalpować, dla nich skalpowanie jest czymś nieczystym, należy je wykonać bardzo starannie, z zachowaniem odpowiedniego rytuału. Jamie od samego początku wiedział, że ta kobieta nie kłamie...

Ta kobieta. Tess.

Idzie teraz tutaj, z tęsknym uśmiechem, nieśmiałym, a zarazem pełnym kuszących obietnic. Przykłęka, białe palce delikatnie przesuwają się po jego nagim ciele. Aksamitne fiołkowe spojrzenie, pełne oddania i zdumiewające swoją prawością. Teraz Tess pochyla się, jasnozłocista przędza włosów snuje się wokół Jamie'ego, owija w najśłodsza pajęczynę...

Znów krzyki, strzały, kwik koni. Znów wojna... Nie, to Indianie. Nie, to nie są Indianie! Ich strój może zwieść, ale to nie są Indianie. To biali ludzie, ludzie, którzy uwożą Tess. Chryste Panie...

Szarpnął się i poczuł ból w skroni, ból przeszywający, nakazujący otworzyć oczy. Otworzył i zobaczył nad sobą twarz Jona.

– Jon? Gdzie Tess?

– Ludzie von Heusena – odparł krótko Jon.
– Przebrani za Komanczów.

Pamięć wróciła całkowicie. Jamie poderwał się, usiadł na łóżku, spojrział na koce, na swoje nagie nogi. Zobaczył twarze Dolly, Jane i Hanka, wy-

glądające zza ramienia Jona. A w głowie łupnęło i znów poczuł przeszywający ból.

– Jon? Dlaczego nie pojechałeś za Tess? Jak mogłeś...

– Wolnego, przyjacielu. Zostawili cię, bo myśleli, że nie żyjesz. I tak by się stało, gdybym cię tu nie przywiózł. A w nocy i tak bym ich nie wytropił.

– Ty zawsze wytropisz!

– Nie, Jamie. Nie wytropię po ciemku, jeśli konie szły rzeką. Ale wiem już, dokąd Tess powieźli. Chcą ją sprzedać *comancherosom*, a oni sprzedadzą ją Nalte, wodzowi Apaczów Mescalera z Meksyku.

Jamie nie odezwał się ani słowem, tylko otuliwszy się jako tako kocem, zaczął konsekwentnie podnosić się z sofy. Dolly natychmiast przemówiła pełnym głosem:

– Poruczniku, czy zdaje sobie pan sprawę, w jakim jest stanie?

– Jamie, kładź się – poprosił Jon, zrywając się z krzesła. – Czekałem tylko, aż się ockniesz, a teraz już jadę, jadę za Tess.

– Nie. Ja pojedą za nią. To moja wina, że oni ją porwali.

– W takim stanie nie wolno ci jechać.

– Do diabła! Jestem w bardzo dobrym stanie! – huknął Jamie. Nieopatrnie. Jego własny głos prawie rozsadził skatowaną czaszkę. Dokończył więc ciszej: – Idę po spodnie. Dolly, Jane, nie chcę was urazić, wolałbym jednak, żeby damy opuściły teraz ten pokój.

Jane pomknęła ku schodom, Dolly trwała przy sofie, głośno protestując. A Jon złożył broń.

– Dobrze, Jamie, skoro się uparłeś – powiedział podniesionym głosem. – Poczekaj jednak łaskawie chwilkę, przyniosę ci jakieś ubranie.

– Ja przyniosę – zadeklarowała się Dolly ponurym głosem i pośpieszyła ku schodom, pomrukując gniewnie: – Chyba mu rozum odjęło, chyba odjęło...

– Idę osiodłać konie – oznajmił Hank i ruszył ku frontowym drzwiom.

– Tylko mojego! – krzyknął za nim Jamie. – Jon, ty zostajesz. Któryś z nas musi być tutaj, na miejscu.

– Nie możesz jechać sam, Jamie. Jesteś zbyt słaby.

– W takim razie pojedziesz ze mną tylko do granicy. Może uda nam się dopaść ich wcześniej. Jeśli nie, ty i tak wrócisz. A ja pojedę dalej, za Tess...

Zadrzał.

– *Comancheros!* Przecież ona może już nie żyć! A przedtem te zbiry od von Heusena mogły ją... Zabiję ich! Zabiję wszystkich! Uduśzę tego von Heusena własnymi rękami, zarżnę każdego, kto zbliżył się do Tess... Jezusie słodki, i to wszystko moja wina!

– Jamie, dobrze wiesz, że oni czyhali na nią od dawna. A teraz jej nic nie zrobią, ani ludzie von Heusena, ani *comancherosi*. Bo Nalte chce jasnowłosą kobietę dla siebie. Tak powiedzieli mi w saloonie.

– Kto?

– Jedna z dziewczyn, Rosy. Ona jeździ do von Heusena na ranczo. Ostatnim razem, kiedy tam

była, von Heusen był bardzo zaaferowany, wysyłał posłańców. Rosy podsłuchiwała wszystko. Wódz Nalte chce mieć jasnowłosą squaw i von Heusen postanowił spełnić jego zachciankę. Znasz Apaczów, Jamie. Oni zwykle mają jedną żonę, ale czasem któryś z nich, znaczniejszy i bogatszy, nie poprzestaje na jednej. Nalte jest wielkim wodzem i choć ma już indiańską żonę, chce mieć jeszcze jedną. Białą, jasnowłosą dziewczycę.

Jamie zbladł.

– Jamie? – spytał cicho Jon. – Ona nie jest już...

– Jamie, twoje ubranie! – krzyknęła Dolly, stojąc na szczycie schodów. Spodnie i koszula sfrunęły na podest. Jamie, owinąwszy się szczelniej kocem, ruszył po ubranie.

– Jamie – odezwał się znów cicho Jon. – Nie odpowiedziałeś.

– Do diabła! Przecież się domyślasz. Nie jest! Nie jest!

– Miejmy nadzieję, że Tess nikomu tego nie wyjawia.

– Tak. I ludzie von Heusena na pewno jej nie tkną. Ale co do *comancherosów*, to nie jestem taki pewien. Zaufać im, to jakby zaufać samemu diabłu. Jon, musimy ich dopaść, zanim oddadzą Tess temu Nalte. Albo może inaczej, może próbować jak najszybciej spotkać się właśnie z nim.

– Nie będzie łatwo z nim się ułożyć, Jamie. Nalte jest bardzo nieufny. On nigdy jeszcze przed nikim się nie ugiął i prowadzi swoje własne wojny. A białymi pogardza i unika ich jak ognia. Co nie znaczy,

że nie ceni sobie broni białych ludzi, ich koni i kobiet. Ale tylko to, bo poza tym on i jego ludzie żyją tak, jak Indianie żyli od wieków. Kobiety z jego plemienia nawet nie kupują bawełny na sukienki. Mężczyźni w lecie chodzą nadzy, osłaniają sobie tylko biodra, a na nogi wdziewają długie, skórzane mokasyny. W zimie okrywają się skórą i futrami. Wódz Nalte jest mądry, przebiegły i bardzo niebezpieczny. To prawdziwy Apacz.

– Poruczniku! – zawołał od progu Hank. – Może wezwać kawalerię?

– Nie, nie! Jeśli podniesie się alarm, oni mogą zabić Tess. Trzeba działać bardzo ostrożnie. Hank, a wy tutaj pamiętajcie o jednym. Von Heusen jest przekonany, że pozbył się już i mnie, i Tess. Dlatego nikomu z was nie wolno pisnąć ani słowa, że ja tu byłem, rozumiesz? I nie dziwcie się, kiedy pan Barrymore będzie rozповідаł po mieście o moim testamencie. Tak właśnie ma być. Von Heusen będzie musiał sobie to przemyśleć, dzięki temu może zyskamy na czasie. I jeszcze jedno, Hank...

Jamie podszedł do biurka wuja Josepha, usiadł i szybko skreślił na kartce kilka słów.

– Hank, zadbaj, proszę, aby ten telegram doszedł jeszcze dzisiaj. To bardzo ważne.

– Tak jest, poruczniku. Wszystkiego dopilnuję.

– Świetnie.

Jamie zerwał się z krzesła.

– Jon, ruszamy! Hank, miej baczenie na wszystkich! Hank! Przecież ja nie mam butów!

– Już, już, poruczniku, już przynoszę.

– I broń! Jon, do diabła, ja nie mam broni.

– Już idę, idę...

Nie minęło pół godziny, a oni gotowi już byli do wyjazdu. Dolly przyniosła gorącą kawę, Jamie wypił niemal duszkiem, krzywiąc się niemiłosiernie. I po raz pierwszy poczuł ułknięcia w skroni.

– Dolly? Zszyłaś mi ranę?

– A jakże, poruczniku. Szyłam tak starannie, jakbym szyła suknię dla panny na pierwszy bal.

– Dziękuję, Dolly.

Wszyscy wylegli na werandę. Jon i Jamie dosiedli koni.

– Bywajcie! – krzyknął Jamie, spinając konia.

– Wrócimy niebawem razem z Tess. Przysięgam!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Comancherosi. Była ich chyba setka. Stali na wzgórzu, wyrastającym nagle na końcu pustyni, tego niepodzielnego królestwa słońca, które ziarenkom wyschniętej ziemi przydaje najpiękniejsze barwy, a wyrosnąć pozwala tylko kaktusom i bardzo mizernym drzewkom. Słońca, które wszystkiemu, co się rusza, każe cały dzień trwać w piasku lub pod cienką gałązką. Wyjść wolno dopiero nocą, gdy nadejdzie ożywczy chłód.

Tess, ze skrępowanymi rękoma, siedziała na jednym koniu razem z Jeremiaszem. Usadził ją przed sobą i wiózł tak przez pustynię, wiele, wiele godzin, zanim wreszcie dojechali do gór. Do krainy Apaczów. Tess słyszała, że to bardzo waleczne plemię, które nie przeszło do rezerwatów. Czytała też, że prezydent Grant jest inicjatorem „polityki pokojowej” wobec Apaczów, inaczej jednak ta polityka wygląda w Waszyngtonie, a inaczej tu, na miejscu.

Apaczów bali się wszyscy, bardziej niż innych plemion indiańskich. Ale największy strach wzbudzali teraz w sercu Tess *comancherosi*, rozsiani po całym wzgórzcu, nieruchomi, wpatrzeni w przybyśzów z daleka. Dwóch mężczyzn i jasnowłosą kobietę.

Cisza nie trwała długo. Nagle sto gardeł wydało z siebie dziki okrzyk i sto koni ruszyło z kopyta. Na każdym koniu półdziki bandyta, uzbrojony po zęby. Meksykanie w kolorowych ponczach, brodaci, wąsaci, piersi przecięte skórzanymi pasami z amunicją. I Indianie, którzy zdradzili swoje własne plemiona. Odszczepieńcy, niegodni teraz zwać się Apaczem, Komanczem czy Nawaho. Część z nich ubrana po meksykańsku, jakby nawet strój indiański stał im się niewygodny.

Setka jeźdźców dopadła już do trójki ludzi u stóp wzgórza i zatoczyła wielkie koło. Galopowali dalej, wznosząc groźne okrzyki i potrząsając bronią. Wszystko po to, żeby przestraszyć... Tess poczuła, że ogarnia ją gniew. Najpierw była to tylko iskierka, zdawałoby się, że niezdolna naruszyć skorupę straszliwego, paraliżującego strachu. Ta iskierka jednak, o dziwo, rozniecała płomień. Ci dranie tego chcą. Chcą, żeby ona szalała ze strachu, chcą widzieć jej łzy i rozpacz. Tess Stuart stać jednak na to, żeby zacisnąć mocno zęby i dumnie unieść głowę. Patrzeć na półdzikich jeźdźców z kamiennym spokojem, ignorując kurz i piach, osiadające na twarzy, wdzierające się do oczu.

Jeremiasz i Dawid siedzieli sztywno w siodłach,

wyraz ich twarzy był mocno niewyraźny, co dawało Tess nieco satysfakcji. Oni bali się tak samo jak ona.

Po chwili *comancherosi* przycichli, zaczęli wstrzymać konie i ustawiać się w szereg. Do przodu wysunął się jeden z nich, niewątpliwie dowódca. Męskie monstrum o oliwkowej twarzy, włosach i oczach czarnych jak węgiel. Miał wyjątkowo sumiaste wąsy, sięgające do podbródka. Na głowie kapelusz, wcale nie meksykański, tylko taki, jaki nosi się na Zachodzie, na piersi skrzyżowane pasy z amunicją, w kąciku ust długie, spłaszczone cygaro.

Podjechał blisko i zatrzymał konia. Leniwym ruchem sięgnął do kieszeni, wyjął zapałkę i potarł o podeszwę długiego buta. Przytknął ogieniek do swego spłaszczonego cygara, zaciągnął się, odczekał sekundę. Dopiero wtedy spojrzął na Tess.

– A więc, *amigos*, dostarczyliście towar.

Uśmiechał się. A Tess wcale nie umykała spojrzeniem.

– Ta mała srogo na mnie spogląda. To i dobrze, może Nalte życzy sobie takiej właśnie kobiety. Rozwiążcie jej ręce.

– Lepiej nie, Chavez – odezwał się Jeremiasz.
– Ona jest niebezpieczna.

– Niebezpieczna? Ona? Dziewczyna z jasnymi loczkami ma zagrażać setce mężczyzn? Rozwiążuj jej ręce, szybko.

Tess czuła, że Jeremiasz poruszył się, a więc wyciągał nóż. Potem usłyszała charakterystyczny dźwięk, kiedy ostrze noża przecinało więzy. I głos Chaveza:

– Chodź tu, *nina*.

Jeremiasz zeskoczył z konia, postawił Tess na ziemi i odsunął się o kilka kroków, bardzo szybko, jakby Tess była co najmniej grzechotnikiem.

– No to masz ją – powiedział. – Świeżutka, nietknięta, jak sobie życzyłeś. Teraz czekam na złoto.

Chavez dał znak ręką. Z szeregu wysunął się jeszcze jeden jeździec, Indianin, ze skórzaną torbą w rękę. Rzucił ją Jeremiaszowi.

Jeremiasz natychmiast torbę otworzył i wydał okrzyk największej radości.

– Złoto! A niech mnie... Dawid, mamy złoto!

Wyjął jedną z monet, wsunął do ust między zęby i zagryzł.

– Tak! Najszczęśliwsze złoto! Widzisz, Dawid, warto było się postarać!

– Chwileczkę, przyjacielu! – zawołał Chavez i zrobił krok w kierunku Tess. – Powiedz no mi, *nina*, czy żaden z tych szurzących pomiotów cię nie tknął?

Tess drgnęła, przymrużyła oczy, ale rozsądek podpowiedział, że zamiast porażać godnością, lepiej zadbać o własną skórę.

– Nie – odparła spokojnym głosem. – Żaden z nich mnie nie tknął.

– Aha...

Chavez pokiwał głową.

– To dobrze. Nalte nie lubi, kiedy ktoś chce go oszukać.

Krzyknął coś po hiszpańsku i z szeregu *coman-*

cherosów wyjechał Meksykanin, prowadząc za sobą srokatego, nieosiódlanego konika.

– Z wami skończyłem. Możecie jechać – oświadczył Chavez, zwracając się do Jeremiasza i Dawida.

– A ty, *nina*, siadaj na tego konika.

Jeremiasz skwapliwie wskoczył w siodło, Tess nie ruszała się z miejsca.

– *Nina...*

– Nie jestem jakąś tam dziewczyną, Chavez – powiedziała oschle. – Mam imię i nazwisko. Jestem panną Tess Stuart.

Chavez zarechotał. Śmiał się tak bardzo, że zgryzł swe cygaro, a kawałka, co pozostał w ustach, omal nie połknął. Zaczął krztusić się, odkastywać, a kiedy wrócił mu normalny oddech, zeskoczył z konia i podszedł do Tess. Był wściekły. I jednocześnie taki niewysoki. Niewiele wyższy od niewysokiej Tess. A może nawet niższy. Teraz – na pewno, kiedy uniosła dumnie głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Wsiadaj na konia – warknął. – Ej, *nina*, mówię do ciebie!

Duża dłoń o zgrubiałej skórze wymierzyła Tess siarczysty policzek. Tess odpowiedziała natychmiast. Policzek, wymierzony przez nią, był równie siarczysty.

Zapadła cisza. Żaden z setki mężczyzn nie wydał z siebie ani jednego dźwięku.

Minęło kilka sekund i z ust Chaveza wylał się cały potok hiszpańskich przekleństw. Tess była pewna, że znów ją uderzy. Ale nie uderzył, tylko chwycił

mocno wpeł, uniósł do góry i wsadził na grzbiet konia. Tess wcale nie miała zamiaru się poddać. Opierała się, drapała. Kapelusz Chaveza spadł na ziemię, a paznokcie Tess wyryły w jego nieogolonym policzku głęboką szramę.

Zaklął. Pochylił się, żeby podnieść kapelusz.

Dawid parsknął śmiechem.

– Ej, Chavez! – krzyknął. – Ostrzegaliśmy, że ona jest niebezpieczna.

Chavez nie odpowiedział. Otrzeptał kapelusz, nasadził na głowę i wyciągnął pistolet. Strzelił Dawidowi prosto w serce.

Tess, mimo że Dawidem gardziła, z trudem stłumiła w sobie okrzyk przerażenia. Zaciśnęła zęby z całej siły, starając się nie krzyknąć, nie poruszyć, tylko wpatrywać się w milczeniu w czerwoną plamę, rozkwitającą na koszuli Dawida. Jeszcze przez sekundę siedział w siodle, oczy nieruchome, szkliste. Nagle zgiął się wpeł i runął na ziemię.

– Dla... dlaczego to zrobiłeś – bełkotał przerażony Jeremiasz. – Pan von Heusen... on...

Chavez skierował dymiący jeszcze pistolet w jej stronę. Jeremiasz krzyknął przeraźliwie. Pistolet wypalił.

Tym razem Tess krzyknęła i jak z katapulty wyprysnęła z grzbietu małego srokacza. Rzuciła się na Chaveza, młóćąc go pięściami, drapiąc, szarpiąc. Chavez rzucił pistolet i klnąc bez przerwy, uchylając się przed jej ciosami, próbował złapać ją za ręce. W końcu udało mu się. Muskularne ramię zaciśnęło się wokół jej pleców. Poczwała obrzydliwy zapach,

chyba był to zapach śmierdzącej cebuli. Czuła jego cuchnący oddech i smród nie mytego męskiego ciała.

– Wystarczy, ty... panno Stuart! – syknął. – Nie pozwalaj sobie za dużo, bo skończysz jak tych dwóch gnojków! Masz być spokojniutka, dopóki nie oddamy cię Nalte! Zrozumiano?!

Ścisnął ją tak mocno, jakby chciał połamać jej wszystkie żebra i pchnął na ziemię. Upadła twarzą w piach, ale on natychmiast ją poderwał z ziemi i wsadził na srokacza.

– Masz jechać! – ryknął, wpijając w nią rozwścieczony, czarny wzrok.

Tess bez słowa zebrała wodze.

– Ruszaj! – ryknął Chavez.

Comancherosi ożyli. W niebo poleciały dzikie okrzyki ze stu gardeł, kopyta stu koni zadudniły o ziemię. Pomiędzy nimi Tess, skurczona, desperacko trzymająca się grzbietu małego, dzielnego srokacza. Byłe nie spaść, bo kopyta stu koni stratują na miazgę...

– Do diabła!

Wysoko, na skalistym urwisku, tam, gdzie pasmo gór zaczyna swą wspinaczkę ku niebu, Jamie Slater osunął się za skałę. Jon, przykucnięty obok, skupiony, nadal spoglądał w dół, na równinę, jęczącą pod kopytami stu jeźdźców.

Jon i Jamie jechali długo, parli do przodu bez wytchnienia. Byli coraz bliżej dwóch zbirów, uwodzających Tess. Dogonili ich, ale o kilka chwil za późno. Widzieli dokładnie, jak jeden z *comancherosów* kła-

dzie trupem obu ludzi von Heusena, jak Tess szamoce się z bandytą, widzieli, jak wszystkie konie w jednym momencie ruszyły przed siebie dzikim cwałem, zabierając ze sobą Tess.

– Niczego nie można było zrobić – powiedział cicho Jon. – Niczego.

– Przecież wiem! Wiem! Ale...

Jamie zerwał z głowy kapelusz, ze złością trzepnął nim o ziemię.

– Chryste! Co ona wyprawia! Przecież widzi, że ten Chavez zabija bez litości. Ją też może w każdej chwili rozerwać na strzępy. A ona rzuca się na niego!

Wstał. Nasadził kapelusz na głowę, oparł ręce na biodrach i spojrział w słońce. Już chyliło się ku zachodowi, już wkrótce zapadnie zmierzch...

– Musimy ją odbić, Jon, koniecznie, zanim dostanie się w ręce Apaczów. Zanim ten Nalte nie przekona się, że dziewczyna, którą mu przywieźli *comancherosi*...

– Nie jest dziewczyną.

– Tak. Nie wiadomo przecież, co to za człowiek. Ja tylko raz spotkałem się z wodzem Apaczów, z Cochise. Podziwiałem go. Zgodził się ze mną rozmawiać na stopie pokojowej, mimo że kawaleria tyle razy nadużyła jego zaufania. Cochise to nasz wróg, jest bardzo niebezpieczny, mimo to do niego jeszcze raz poszedłbym bez wahania. Ale ten Nalte... Nic o nim nie wiem...

– Nalte jest wielkim wodzem, Jamie. Stoi na czele swojej rodziny i wielu innych rodzin. Z Meksykanami jest na stopie wojennej, ale *comancherosi* są

mu potrzebni. Dostarczają broń. Nalte jest nieugięty, on ze swym plemieniem nigdy nie przeniesie się do rezerwatu, będzie walczył aż do końca. Ale słyszałem też, Jamie, że to człowiek niezwykle, z wielkim poczuciem honoru.

– Wolałbym jednak z nim się nie układać. Musimy odbić Tess wcześniej...

Jamie wciągnął głęboko w płuca ostre, górskie powietrze. Jeszcze raz spojrzął na równinę, cichą teraz, i ruszył w dół, ku małej polance ukrytej wśród skał, gdzie czekały ich konie.

– Jon? Idziesz?

Cichy głos odparł:

– Jestem tuż za tobą, przyjacielu.

Do zmierzchu konie *comacherosów* cwałowały niestrudzenie równiną, a kiedy słońce zaszło, wjechały w góry. Szły teraz powoli, ostrożnie stawiając kopyta na nierównym, kamienistym podłożu.

– To już terytorium Nalte – powiedział Chavez, podjeżdżając do Tess. – Niedługo spotkasz się ze swoim narzeczonym! A Nalte jest twardy jak skała. Takie zuchwałe stworzenia jak ty miażdży jedną ręką. Wygląda bardzo groźnie, strach na niego patrzeć. A dla swych wrogów jest bezlitosny.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś wzbudzał większą odrazę niż ty.

Powiedziała to głosem uprzejmym, tak słodko, że sens słów dotarł do Chaveza dopiero po chwili. Tess ujrzała tuż przed oczyma groźną pięść.

– Trzymaj język za zębami, ty... – warknął.

– Jeszcze cię nie oddałem! Mogę zrobić z tobą, co tylko zechcę!

Popędził konia i wysunął się na czoło jeźdźców. Tess zadrżała, starała się jednak nie dać po sobie poznać, jak wielki ogarnia ją lęk. Siedziała prosto, wpatrując się przed siebie w gęstniejący mrok. Dookoła niej kłębiło się mnóstwo koni, czuła zapach spoconych ciał jeźdźców, czuła na sobie ich pełne ciekawości spojrzenia.

Kres kamienistej drogi nastąpił nagle, kiedy wjechałi na niewielki płaskowyż. W mroku majaczyły chaty, większe i mniejsze. Na środku płonęło wielkie ognisko, wokół ogniska kobiety i kilku uzbrojonych mężczyzn. Jeźdźcy zaczęli zeskakiwać z koni, pokrzykiwać do swoich kobiet, które odpowiadały radosnym piskiem.

Do Tess znów podjechał Chavez.

– Witaj w moich progach! *Mi casa es su casa!* Mój dom jest twoim domem. A jutro twoim domem będzie tipi wodza Nalte!

Ryknął śmiechem tak donośnym, jakby na całym świecie nikt nigdy jeszcze czegoś tak zabawnego nie powiedział. Zeskoczył na ziemię, ściągnął Tess ze srokacza i nie wypuszczając jej z ramion, dalej zanosił się od śmiechu.

– A może jednak zatrzymam cię? Jesteś zbyt krnąbrna, jak narowista klacz! Przydałoby się cię poskromić!

Tess szamotała się, próbując za wszelką cenę uwolnić się z obmierzłego uścisku. Choć czuła, że nie powinna. Jej opór dawał mu jeszcze większe zadowolenie.

– Chavez!

Uśmiech znikł z twarzy Chaveza, nie puścił jednak Tess, tylko wykręcił głowę i patrzył na hożą, ciemnowłosą kobietę, zbliżającą się ku nim zdecydowanym krokiem. Kobieta ubrana była w obszerną białą bluzkę meksykańskiej wieśniaczki i suto marszczoną, kolorową spódnicę. Brązowe nogi były bose. Twarz, choć rysy grubo ciosane, piękna i jeszcze młoda, ale biodra zaczynały być już zbyt szerokie, po niejednym zapewne porodzie.

Mówiła coś po hiszpańsku, bardzo dużo, szybko i gniewnie.

– Zamilcz! – ryknął Chavez.

Zamilkła dopiero wtedy, kiedy pogroził jej pięścią. Ale jej oczy, wielkie i płonące, mówiły nadal. Była w nich nieskończona nienawiść do jasnowłosej kobiety.

– Nie zapominaj, że jestem Chavez! I nikt mi nie będzie rozkazywał! Teraz ruszaj się i zaprowadź tę kobietę do domu. Ja zaraz tam do was przyjdę.

Ciemnowłosa kobieta położyła rękę na ramieniu Tess.

– Nie dotykaj mnie – syknęła Tess, jednym ruchem strząsając z siebie brązową dłoń.

Chavez cmoknął, nie wiadomo, czy z dezaprobatą, czy raczej z uznaniem. A Tess zacisnęła zęby i prawie biegiem ruszyła w kierunku chaty, którą wskazała jej ciemnowłosa kobieta. Kobieta pośpieszyła za nią.

Blask ogniska rozjaśniał mrok. Tess, nie zwalnając kroku, zerknęła na boki. Wszędzie dookoła

pięły się w górę skaliste ściany, prawie pionowe, między nimi jednak, w dole, można było dojrzeć mnóstwo krętych ścieżek, szerszych i węższych. I każdą z nich, dokąd by nie prowadziła, można uciec, znaleźć się od *comancherosów* choć kawałek dalej...

– Co tak gnasz, ty... ty dziewucho *gringa!* – zawołała za nią kobieta.

Tess, nie zwracając na nią uwagi, sama otworzyła drzwi i weszła do chaty. I aż cofnęła się o krok. Pierwsza izba, kuchnia, była brudna i cuchnąca. Na środku obdrapany stół, na stole mnóstwo pustych butelek po alkoholu. Przez otwarte drzwi widać było drugą izbę, równie brudną i odrażającą.

– Gorzej niż w chlewie – oświadczyła Tess. – Ja tu nie zostanę.

Za plecami usłyszała rechot Chaveza.

– Anna, ona ma rację! Tu jest chlew. Posprzątaj natychmiast!

Kobieta coś krzyknęła po hiszpańsku. Chwycił ją za obie ręce, zaczęła się szarpać, nadal krzycząc. Nagle znieruchomiała, jej głos przycichł. Nie krzyczała już, tylko prosiła, błagała. Głos załamywał się, przechodził w płacz.

Tess próbowała nie zwracać na nich uwagi. Rozglądała się dookoła uważnie, starając się dojrzeć jak najwięcej, także w tej drugiej izbie. I dojrzała. Tam też są drzwi, drzwi na zewnątrz. Po to, aby Chavez mógł umknąć, gdyby w chacie zjawił się ktoś mu nieżyczliwy i od niego silniejszy.

Szybko odwróciła wzrok i przysiadła na brzeżku

jednego z twardych drewnianych krzesel, ustawionych wokół chwiejącego się stołu.

Anna tupnęła nogą.

– Niech ona sama sobie sprząta!

– Nie. Ja nie będę sprzątać – oświadczyła spokojnie Tess, krzyżując ramiona na piersiach.

Chavez po raz kolejny wybuchnął swoim histerycznym śmiechem. Rozpiął pas z bronią, rzucił na stół i rozsiadł się na krześle naprzeciwko Tess.

– Ona nie posprząta twojego chlewu, Anno – powiedział, nie odrywając oczu od Tess. – To panna Stuart. Ma na sobie indiańskie łąchy, ale to dama. A ty, Anno, nie masz pojęcia, kto to jest dama. Dlatego przyjrzyj jej się dokładniej. Ta dama nie będzie wycierała cudzych brudów. Ale teraz...

Silna pięść ze złością rąbnęła w obdrapany blat.

– Jestem głodny, Anno! Dawaj no tu coś do zjedzenia. I nie zapomnij o damie!

Anna znów zaczęła klócić się zajadle. Tym razem Chavez podniósł się powoli z krzesła i uderzył ją na odlew. W oczach kobiety zalśniły łzy, ale przycichła i szybkim krokiem wyszła z chaty.

Chavez spojrział na Tess.

– Widzisz, tak należy postępować z kobietami – oświadczył.

– Tak nie postępuje się nawet z psem – odparła Tess głosem niemniej stanowczym.

Ręka Chaveza wyprysnęła w górę, gotowa znów uderzyć. Tess skuliła się, całą siłą woli zmuszając się, żeby wytrwać i nie ruszyć się z tego krzesła.

Ręka Chaveza wolno opadła. Uśmiechnął się,

a po chwili roześmiał się w głos i z powrotem usiadł na swoim krześle.

– Chętnie byłbym cię tu zatrzymał, oj, bardzo chętnie. Szybko spuściłabyś z tonu, gdyby każdy z moich ludzi po kolei zażył z tobą uciechy. Nie byłabyś już taka harda.

– Nie wysilaj się, Chavez – odezwała się Tess spokojnie. – Ty możesz skrzywdzić tylko tę swoją kobietę, Annę, bo ona cię kocha. Ale mnie ani nie przestraszysz, ani nie zranisz, ani nie skrzywdzisz, bo ja tobą gardzę. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

Spojrzał na nią niepewnie, więc jednak do końca chyba nie pojął, o czym ona mówi. W tym momencie wróciła Anna, niosąc dwa talerze pełne jedzenia. Tess w pierwszej chwili chciała odmówić, pewna, że w cuchnącej ruderze nie będzie w stanie niczego przełknąć. Ale rozsądek zwyciężył.

Trzeba coś zjeść, jeśli przez cały dzień nie miało się w ustach niczego oprócz paru łyków wody. A nie wolno opadać z sił, kiedy nieustannie myśli się tylko o jednym. O ucieczce.

– Dziękuję, Anno – powiedziała uprzejmie, odbierając talerz.

Anna nie odezwała się, rzuciła tylko na Tess jedno przelotne spojrzenie, pochyliła głowę i przysiadła na krześle naprzeciwko Chaveza.

Tess z pełnym samozaparciem przeżuwała kawałki łykowatej wołowiny i nabierała łyżką fasolę. Nie dane jej było jednak opróżnić talerza do końca. Chavez pochłonął swoją porcję błyskawicznie, beknął głośno i wytarł sobie usta o rękaw koszuli.

Tess poczuła, że robi jej się niedobrze i szybko odsunęła talerz.

– A widzisz? Ona nie je dużo, tylko parę kawałeczków. Tak właśnie robi dama – pouczył Chavez Annę i wstał od stołu. Znów beknął i oznajmił: – Idę teraz się napić. A jak wrócę, to zadecyduję, czy tę damę będę sam poskramiał, czy wódz Apaczów. – Zaśmiał się drwiąco, chwycił pas z bronią i wyszedł z chaty.

Tess, odczekawszy chwilę, spojrzała na Annę. Zazdrość i nienawiść na twarzy Meksykanki były aż nadto widoczne.

– Anno? Ja wiem, że Chavez to twój mężczyzna. A ja... ja wcale go nie chcę. Dlatego, proszę, pomóż mi się stąd wydostać.

– Nie!

– Anno, ja wiem, ty chcesz, żeby on był tylko twój. A ja go nienawidzę! Anno, proszę...

– Nie! Nie! On będzie mnie bił! On mnie zabije!

Ta kobieta, choć bardzo zazdrosna, wcale nie miała zamiaru jej pomóc.... Tess westchnęła, zrezygnowana. Zamknęła oczy, ale tylko na chwilkę. Boże, jaka ona jest zmęczona...

Sekundy mijały, potem minuty, kwadransy. Anna, z nisko pochyloną głową, nadal tkwiła na swoim krześle. Tess siedziała na swoim, czując coraz większą rozpacz. Sądząc po dźwiękach dochodzących z zewnątrz, pijatyka trwała w najlepsze. A Chavez, pijany na umór, może bardziej zapragnąć Tess niż złota, jakie dadzą za nią Apacze...

Zerwała się, przypadła do Anny, przyklękła przy jej krześle.

– Anno, posłuchaj! A gdybyśmy zrobiły to tak... Będziemy udawały... Że niby ja chciałam uciec, ty mnie nie puszczając, ale ja cię pobiłam...

– Nie będziesz mnie biła, ty *puta*!

– Będziemy tylko udawały! Anno! Chavez jest twój! Nie chcesz przecież, żeby brał sobie jeszcze jedną kobietę. Jeśli ja ucieknę, będziesz miała Chaveza tylko dla siebie! A ja zwiążę cię i zaknebluję, i wtedy on nie będzie miał do ciebie o nic pretensji. Przeciwnie, pokocha cię jeszcze bardziej, kiedy przekona się, że chciałaś mnie zatrzymać siłą.

Anna podniosła głowę, zmrużyła oczy. Dobry znak, Meksykanka zaczyna się zastanawiać. Tess dorzuciła więc jeszcze jeden argument.

– Anno? Moje włosy są jasne. A oni wszyscy chcą mieć kobietę jasnowłosą. Jeśli tu zostanę, Chavez może w ogóle cię porzucić.

Ten argument przekonał ją ostatecznie. Anna zerwała się z krzesła, pobiegła do drugiej izby, do tej niby-sypialni. Pokręciła się tam chwilę i wróciła, niosąc w ręku kilka brudnych szarf.

– Będą dobre?

– Znakomite, Anno.

Teraz Anna podeszła do paleniska i podniosła ciężką żelazną patelnię.

– Masz! Uderz mnie tym! Muszę mieć na głowie porządnego guza.

– Anno, ja nie wiem, to jest takie ciężkie...

– Musisz mnie uderzyć! Na pewno nie będzie bardziej bolało, niż wtedy, kiedy bije mnie Chavez.

– Dobrze – zgodziła się w końcu Tess. – Ale

chodźmy do drugiej izby. Zrobimy tak, żebyś upadła na łóżko. Nie chcę zrobić ci krzywdy.

– Jakąś tam krzywdę musisz mi zrobić – mruknęła Anna. Przeszły obie do sypialni, Anna stanęła obok łóżka. – Teraz mnie uderz.

Tess zamknęła oczy, zacisnęła zęby i uniosła patelnię. Uderzyła na ślepo i wyjątkowo celnie. Anna, nie wydawszy z siebie żadnego dźwięku, osunęła się na nieświeżą, zmiętą pościel. Przerazona Tess sprawdziła szybko puls. Chyba w porządku, zresztą pierś Anny unosiła się miarowo. Tess chwyciła za szarfy, szybko związała kobiecie ręce i nogi. Kiedy kończyła knebłować, huknęły drzwi. Chavez wrócił do domu.

Pomknęła do drzwi, do tych drzwi, które miały wypuścić ją na wolność. Pobiegła szybko jak wiatr. Ale i tak zbyt wolno. Zanim zdążyła chwycić za klamkę, ciężka dłoń oparła się o drzwi.

Złapał ją za ramiona, odwrócił ku sobie. Grube palce zacisnęły się wokół szyi Tess.

– Ty naprawdę jesteś niebezpieczna! – ryczał. – Ci *gringos* mieli rację! Ale załazłaś mi za skórę, ty...

Tess czuła, że traci oddech, że już słabnie. Może zrobić tylko jedno. Zebrała resztki sił i kopnęła go w pachwinę. Mocno i celnie. Chavez ryknął z bólu, puścił Tess i zatoczył się. Błyskawicznie chwyciła za klamkę i szarpnęła, krzycząc, prawie płacząc. Drzwi otworzyły się nieprawdopodobnie szybko. Jakby ktoś jednocześnie pchnął je z drugiej strony. Tess odrzuciło w tył, plecami omal nie wpadła na Chaveza. Szarpnęła się do przodu, żeby wreszcie te drzwi pokonać...

Zamarła. Jej serce zabiło z szaloną prędkością, zaraz potem jakby przystanęło. Kolana raptem przestały być z kości, a świadomość rejestrowała tylko jeden fakt.

Jamie. To jest Jamie. Jamie żyje. Jamie przyjechał, aby ją ocalić...

Stał, jak to Jamie, z rękoma opartymi na biodrach. Jego ramiona wypełniały całą szerokość drzwi. Wysoki, przytłaczający swoim wzrostem i Tess, i Chaveza, i całą izbę.

– Uciekaj – syknął, usuwając się w bok. – Uciekaj! Uciekaj, na litość boską!

Przefrunęła przez drzwi. Usłyszała ryk Chaveza. Musiała przystanąć, musiała się odwrócić. Zobaczyła nóż srebrny, błyszczący w bladym świetle księżycyca. Nóż w ręku Chaveza.

– Jamie! Nóż! – krzyknęła.

Pewnie niepotrzebnie go ostrzegła, bo Jamie pierwszy zobaczył ten nóż, na pewno go zobaczył. Zaraz w jego ręku pojawi się kolt, zawsze niezawodny, kiedy strzela z niego Jamie Slater.

Ale kolt się nie pojawił. Do Tess błyskawicznie dotarło, dlaczego Jamie nie strzela. Przecież huk wystrzałów postawiłby na nogi całą setkę *comancherosów*.

W ręku Jamie'ego też błysnęło srebro.

– Tess! Uciekaj!

Nie mogła. Jej nogi wrosły w ziemię, a oczy były pełne łez.

– Jamie...

– Uciekaj, ale już!

No i znowu krzyczy na nią, jak na swojego szeregowca. Krzyczy na Tess, którą porwano, bito, poniżano...

Krzyczy na Tess, krzyczy, bo stoi twarzą w twarz z Chavezem, bo każdy z nich trzyma w rękę srebrny nóż.

Jej stopy prawie nie dotykały ziemi, choć biegła wąską, krętą ścieżką w zupełnych ciemnościach. Ścieżka pięła się coraz wyżej i wyżej, ale Tess biegła, choć brakło jej tchu, biegła, krztusząc się i płacząc. Biegła między szpalerem kolczastych krzaków, coraz wyższych, zlewających się z ciemnością nocy.

Nagle uderzyła w coś. Albo w kogoś. Wpadła na to z całym impetem swego drobnego ciała. Na nieoczekiwaną przeszkodę, która powaliła ją na ziemię. Odgarnęła włosy z czoła, przerażona spojrzała w górę...

Stał nad nią, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, nieruchomy jak posąg. Jego skóra w blasku księżyca miała kolor miedzi. Nagi, tylko w przepasce na biodrach i długich, skórzanych mokasy-nach. Wysoki jak Jamie, tak samo szeroki w ramionach. Włosy hebanowe czarną rzeką spływały na jego ramiona. Twarz nieruchoma, a w tej twarzy nie było ani cienia łagodności.

Pochylił się, chwycił ją za ręce i poderwał. Musiała wstać. Instynktownie próbowała się wyrwać, on tylko mocniej zacisnął swoje palce.

– Puść mnie, proszę, puść! Musisz mnie puścić! Jamie... to znaczy porucznik Slater zaraz tu przyjdzie, on ciebie zastrzeli, jeśli....

Straciła rozum do reszty. Cóż ona może temu dzikiemu Apaczowi wyjaśnić po angielsku...

– To ty jesteś tą jasnowłosą kobietą, na którą wyznaczono tak wysoką cenę. Uciekłaś *comancherosom*, ale mnie nie uciekniesz.

Powiedział to najczystsza, płynną angielszczyzną.

– Nie! Ty niczego nie rozumiesz! Puść mnie! Ja mam przyjaciela, on zaraz tu będzie. On zabije tego *comanchero*, a potem zabije ciebie! Dlatego...

– Zamilcz. Zamilcz, Promyku Słońca.

– Jestem panną Tess Stuart...

– Nie. Jesteś Promykiem Słońca. Teraz tak będziesz się nazywać. Ja jestem Nalte.

– Nalte...

Tess jęknęła. Boże wielki, to ona uciekła *comancherosom* tylko po to, żeby wpaść prosto w ramiona tego właśnie Apacza, który zamówił ją sobie tak, jak zamawia się towar ze sklepu w mieście.

– Ty... ty mówisz po angielsku.

– Tak. A teraz chodź ze mną.

– Nie! Proszę, błagam... Wysłuchaj mnie...

Nie miał zamiaru jej słuchać. Chwycił ją jeszcze mocniej i przerzucił sobie przez ramię. Jak jakąś antylopę. Tess natychmiast zabębniła pięściami w lśniące, nagie plecy...

– Puszczaj, ty dzikusie! Puszczaj natychmiast! Ty myślisz, że kobietę można sobie po prostu kupić! Och, proszę, proszę, puść mnie...

Nie słuchał jej. Lekkim krokiem podążał ścieżką. Niby nie biegł, ale ta ścieżka przesuwawała się przed oczyma Tess dziwnie szybko.

– Dzikus! – krzyknęła, ogarnięta panicznym strachem. – Dzikus! Wstrętny, obmierzły dzikus!

Stanął. I cisnął nią o ziemię. Chciała wstać, ale nie pozwolił. Złapał ją za ramiona, zmusił, żeby uklęknęła.

– Dzikus? – powtórzył gniewnie. – Nikt nie jest bardziej brutalny, bardziej dziki niż biali ludzie. Czy ty wiesz, Promyku Słońca, co biali ludzie zrobili moim ludziom? Co zrobili z naszym wodzem, Mangasem Coloradasem? Wyszedł do nich z białą flagą, a oni go pojмали. Rozgrzewali w ogniu swe bagnety do białości i przypiekali mu nogi. A potem go zabili. Obcięli mu głowę i ugotowali w wielkim garnku. Ugotowali głowę. Biali ludzie. I ty śmiesz, biała kobieto, nazwać dzikusiem mnie?

Znów zgarnął ją z ziemi i przerzucił przez ramię.

– Nie! – krzyknęła. Jej pięści znów zabębniły, on zdawał się wcale na to nie zwracać uwagi. Tylko piął się ścieżką coraz bardziej w górę.

Jamie... Dobry Boże, gdzież on teraz jest?

Ale to już nieważne. Bo ratunku nie ma. Ani dla Jamie'ego, ani dla Tess...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nalte poruszał się w ciemnościach nieprawdopodobnie zwinnie i szybko. Tess, zrozpaczona, oszołomiona i ledwo żywa, nie miała pojęcia, jak długo niósł ją przez ten mrok, czuła tylko, że w pewnym momencie przestał piąć się w górę. Teraz schodził w dół.

Nagle przystanął. I krzyknął. Nie za głośno, tak jakoś miękko i żałośnie, jak nocny ptak. Odpowiedział mu krzyk, dokładnie taki sam. Wtedy znów ruszył do przodu, przeszedł niewielki kawałek i zatrzymał się na zboczu. W dole Tess dojrzała polanę. Na tej polanie wśród skał i drzew majaczyły ciemne, strzeliste sylwetki namiotów ze skór. Wśród namiotów świetliste plamy ognisk i cienie przemykających ludzi.

Postawił Tess na ziemi, jeszcze raz krzyknął. Jak ptak. Nie zaszeleściło nic, nie trzasnęła ani jedna gałązka, a pojawił się człowiek. Wynurzył się z ciemności, w rękę trzymał coś, co zdecydowanie przy-

pominało rewolwer żołnierza armii Stanów Zjednoczonych.

Nalte zamienił z nim kilka słów i Indianin z rewolwerem znów znikł w ciemnościach.

– Chodź – powiedział, kładąc dłoń na ramieniu Tess. Zeszli po zboczach i poprowadził ją przez wioskę. Cichą, uśpioną, czasami tylko gdzieś przemknął jakiś cień. Mężczyźni czuwali nad snem swoich kobiet i dzieci.

Tess szła posłusznie, choć czuła, że drży, dygocze cała, z tej przeogromnej bezradności. Nie ma jak się bronić, nie ma dokąd uciekać. Dawid i Jeremiasz, mimo wszystko, w jakiś sposób ją chronili. Kiedy zabito Jeremiasza, poczuła nawet żal. A tutaj Tess jest tylko łupem Nalte. I taki właśnie był zamysł von Heusena.

Zatrzymał się przed wielkim tipi, największym chyba ze wszystkich. W blasku księżyca Tess dojrzała na skórach, przykrywających żerdzie, namalowane postacie zwierząt i ludzi, walczących ze sobą. Na szczycie tipi otwór, z otworu unosiła się siwa smuga dymu.

– Wejź – powiedział Nalte, popychając ją przed sobą.

Nie zrobił tego delikatnie. Tess omal nie upadła, udało jej się jednak zachować równowagę i stanąć mocno na sztywnych nogach. Głowę uniosła do góry, ręce zacisnęła w pięści. Gotowa w każdej chwili stawić opór. Ale Nalte, spuściwszy skórzaną zasłonę u wejścia, wcale nie zamierzał jej atakować. Stał bez ruchu, ze skrzyżowanymi ramionami, w je-

go czarnych oczach pojawił się jakiś błysk, chyba nawet rozbawienia. Tess, zdumiona, cofnęła się odruchowo i również odruchowo rozejrzała się dookoła.

Zobaczyła koce i ubrania ze skór, starannie zwinięte i poukładane pod ścianami tipi. Na środku palenisko, obok kilka naczyń kuchennych. Dym unosił się w górę i wychodził na zewnątrz przez otwór na szczycie tipi, tam, gdzie schodziły się żerdzie. I w tym tipi był jeszcze ktoś. Jakaś kobieta, raczej dziewczyna, która teraz przykucnęła przy ognisku. Młodziutka, bardzo ładna, wpatrująca się w Tess szeroko otwartymi oczyma. Tess też patrzyła na nią, czując coraz większy strach. Nalte chciał mieć kobietę jasnowłosą. A żonę już ma. Teraz Nalte zapewne zamierza zgwałcić Tess na oczach swojej indiańskiej żony.

Stąd nie ma ucieczki. To nie obskurna chata w górach, w której na jakiś czas zagnieździł się *comanchero* ze swoją kobietą. To wioska Apaczów, pilnie strzeżona przez wojowników wodza Nalte. A Jamie... Boże! On był już tak blisko! Los dał jej tylko kilka sekund. Tylko raz mogła spojrzeć w szare oczy Jamie'ego, tylko na moment mogła zachłysnąć się radością, że widzi go żywego. Tylko kilka sekund. A teraz... teraz nie ma nawet co marzyć, że Jamie będzie próbował wyrwać ją z rąk Indian. Nalte zabije go od razu.

A przedtem zgwałci Tess. Teraz.

– Jak możesz mówić, że nie jesteś dzikusem?
– krzyknęła histerycznie. – Czy ty niczego nie

rozumiesz? Uprawdzono mnie siłą, wbrew mojej woli! Porwano, żebyś ty mógł się zabawić! I jeszcze... Tu przecież jest twoja żona! I ty masz zamiar, na jej oczach... O, nie!

Podszedł do niej bliźiutko. Pięści Tess natychmiast wbiły się w jego pierś, ale on to zignorował. Podniósł ją po prostu z ziemi i rzucił na zrolowany koc.

– To wcale nie jest moja żona, to moja siostra. I tej nocy ja cię nie tknę, Promyku Słońca. Dziś jest noc świętego czuwania. Jutro, kiedy wszędzie słońce, rozpoczną się obrzędy, bardzo ważne obrzędy. Moja siostra przestanie być dziewczyną. Stanie się kobietą.

Spojrzał na młodziutką Indiankę i uśmiechnął się. Czarne oczy zajaśniały nagle ciepłym blaskiem.

Schylił się po drugi koc i zaczął rozkładać go na ziemi. Tess spojrzała na Indiankę. Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało, poklepała dłonią ziemię, starając się dać Tess do zrozumienia, że powinna się położyć. I cichutko wysunęła się z tipi.

Tess, nie przestając zerkać na Indianina, drżącymi rękami rozłożyła swój koc. Wyciągnęła się na nim powoli, ostrożnie i przymknęła oczy. Ale nie zamknęła ich, o nie. Bo postanowiła, że będzie obserwować Nalte spod półprzymkniętych powiek, a kiedy on pogrąży się we śnie, ona wymknie się bezszelestnie i spróbuje odnaleźć ścieżkę, która przywiodła ją do wioski. Ta ścieżka zaprowadzi ją z powrotem do Jamie'ego.

Musi, musi go odnaleźć, musi przynajmniej spróbo-

wać... A teraz powinna się pomodlić, tylko że to chyba nie będzie modlitwa chrześcijańska. Bo chce prosić, aby dobry Bóg rękami Jamie'ego odebrał życie Chavezowi. A Jamie'ego niech Bóg chroni... I ją też... Oczy Tess napełniły się łzami. Czuła, że jest u kresu sił, a kiedy sił brak, duch również słabnie i przychodzi zwątpienie. Ona nie umknie Apaczom, nie umknie. Los Tess Stuart jest już przesądzony. Będzie tak, jak sobie umyślił von Heusen.

Jednak trzeba spróbować. Choć resztką sił i z tak wielkim strachem w sercu.

Nalte spał. Oczy zamknięte, oddech równy, miarowy. Tess cichusieńko podniosła się z ziemi. Zrobiła jeden krok, jak najostrożniejszy. I tylko jeden. Silna dłoń szarpnęła ją za kostkę. Upadła. Ciężkie, twarde ciało indiańskiego wojownika przygniotło ją do ziemi.

– Jesteś odważna, Promyku Słońca. Ale nie jesteś mądra.

– I co z tego! – krzyknęła z rozpaczą. – A ty jesteś barbarzyńcą. Mówisz, że biali są źli. A sam handlujesz z nikczemnymi *comancherosami*, kupujesz od nich strzelby i kobiety!

– To biały człowiek jest barbarzyńcą. Mnie została tylko jedna siostra. Biały człowiek zabił mi wszystkich. Moją matkę, moje maleńkie siostry, jeszcze niemowlęta. Bił je okrutnie, połamał im kości, ponadziewał na szpikulce. I tak zostawił na pewną śmierć. A ja przyprowadziłem tu ciebie nie po to, żeby zabić. Ale zabiję, jeśli sama mnie do tego zmusisz.

– Ale trzymasz mnie tu wbrew mojej woli!

Przez chwilę milczał.

– To przyjdzie z czasem – powiedział cicho, dotykając delikatnie pasma jasnych włosów Tess.

– Zrozumiesz mnie. Poznasz nasze życie i będziesz tu szczęśliwa.

– Nigdy nie będę tu szczęśliwa!

– My wcale nie jesteśmy barbarzyńcami.

– Przecież ja to wiem, przecież nie o to chodzi. Ale ja... Dlaczego właśnie ja? Ja wcale nie jestem taką kobietą, jakiej ty chcesz...

– Jesteś czymś więcej.

Uśmiechnął się, jeszcze raz dotknął złocistych włosów.

– Śpij teraz, śpij, bo zapomnę, że to noc świętego czuwania...

– Nalte...

– Idź spać.

Czuła napięcie w jego silnych ramionach, widziała błyski w czarnych oczach. Ostrzegął ją nie bez powodu. Szybko wycofała się na swoje miejsce. Zwinęła się w kłębek, naciągnęła na siebie brzegi koca, starając się przykryć jak najszczelniej. Drżała. Ten Indianin... Wcale nie był odpychający, wcale nie wzbudzał w niej nienawiści. Ale nie chciał zrozumieć, że ona nieodwołalnie należy do zupełnie innego świata. Do świata, do którego koniecznie musi powrócić... powrócić chociażby po to, żeby się zemścić na von Heusenie.

I najważniejsze. W tamtym świecie istniał Jamie, jej miłość, jej wszystko. Kochała go i rozłąka z nim

bolała najbardziej. Gdyby Jamie nie istniał, może nie walczyłyby tak desperacko, może próbowałyby pogodzić się ze swoim losem. Ale Jamie istniał. Był tu gdzieś, w pobliżu, w tych skalistych górach. I był w jej sercu.

Nadszedł ranek, ktoś ściągnął koc z ramion Tess. Otworzyła szybko oczy, pewna, że ujrzy nad sobą wyniosłą postać wodza Nalte. Ale to nie był on. Zobaczyła nad sobą uśmiechnięte twarze kilku kobiet. Coś mówiły, tłumaczyły, a Tess nie rozumiała ani jednego słowa.

Zmusiły ją, żeby wstała i choć opierała się trochę, wyprowadziły z namiotu. Słońce wzeszło, pierwsze jego promienie wygrzewały wioskę. Mieszkańcy wioski zbudzili się ze snu. Mężczyźni czyścili broń, niektórzy z ciekawością popatrywali na Tess. Kobiety krzątały się koło namiotów, nosiły wiadra z wodą albo misy z jedzeniem.

Indianki, towarzyszące Tess, poprowadziły ją w las. Szły ścieżką, wijącą się wśród drzew i gęstych krzewów, prowadzącą do strumienia. Na brzegu przystanąły i na migi dały Tess do zrozumienia, że ma się rozebrać i wejść do wody. Tess wcale nie było przyjemnie pozbywać się ubrania pod czujnym spojrzeniem czarnowłosych kobiet. Posłusznie jednak, choć zarumieniona i skrępowana, zdjęła bluzę i spodnie i weszła do wody.

Od razu poczuła ożywczy chłód, od razu poczuła się cudownie. Najpierw piła łapczywie, potem zanurzyła się cała. A czarnowłose kobiety warowały na

brzegu, nie spuszczać z niej oka. Dopóki nie pojawiła się śliczna, młodziutka siostra wodza Nalte. Wszystkie kobiety rzuciły się do niej, zdawało się, że teraz ona całkowicie zaprzęta ich uwagę. Dziewczyna, tak jak Tess, zdjęła ubranie i weszła do chłodnej wody. Wykąpała się, a kiedy wyszła na brzeg, kobiety ubrały ją w sukienkę z jaśniutkiej łosiowej skóry poznaczonej żółtymi smugami. Na twarzy dziewczyny też namalowały smugi, też żółte, potem czesały długie proste włosy, czarne jak heban. Smukłą, śniadą szyję ozdobiły naszyjnikami z kolorowych paciorków i srebra. Jeden z naszyjników był bardzo skromny, tylko rzemyczek, a na rzemyczku zawieszony wielki pazur.

Wszystkie czynności Indianki wykonywały powoli, z namaszczeniem, a siostra wodza, zarumieniona i uśmiechnięta, wyglądała na dziewczynę bardzo czymś przejętą. Tess zerknęła w ich stronę ciekawie. I przypomniała sobie, co mówił Nalte o tym, jak ten dzień jest ważny dla dziewczyny.

Przekonała się też, że o niej nikt nie zapomniał. Kobiety zaczęły ją wołać, dawać znaki i Tess nie miała wyboru. Musiała przyplłynąć do brzegu, wyjść naga z wody i znów bohatercko znieść ciekawskie spojrzenia. Indianki szeptały między sobą, zafascynowane białą skórą, a przede wszystkim jasnymi włosami Tess. Któraś z nich próbowała nawet ich dotknąć. Były jednak na tyle delikatne, że szybko podał jej nowe ubranie. Sukienkę z jasnej, starannie wyprawionej skóry, podobną do tej, jaką miała na sobie siostra wodza, ale bez żółtych smug.

Tess skwapliwie pokazywała im swoje umęczone, podrapane stopy, z nadzieją, że kobiety zlitują się i dadzą jej mokasyny z jeleniej skóry. One jednak potrząsały głowami przecząco i z powrotem poprowadziły Tess do wioski.

Myśl o ucieczce ani na chwilę nie opuszczała Tess, znów jednak musiała odłożyć to na później. Bo jakże uciekać, skoro te indiańskie cerbery pilnują tak starannie, świdrując czarnym wzrokiem nawet wtedy, gdy Tess, wiedzona najbardziej intymną potrzebą, usiłowała skryć się jak najdokładniej za jednym z krzewów. Tych kobiet nie wolno było lekceważyć. Tess słyszała, że kobiety Apaczów potrafią być tak samo groźne i waleczne jak ich mężczyźni.

Nie uciekała więc, szła z nimi posłusznie, straszliwie samotna w tej gromadzie obcych kobiet. Szła powoli, z opuszczoną głową, starając się skupić na myślach buńczucznych, że kiedyś jednak uda jej się stąd uciec i dokonać zemsty na von Heusenie. Postanowiła myśleć o tym nieustannie, byle nie drżeć ze strachu przed najbliższą przyszłością, byle nie myśleć z rozpaczą, gdzie teraz może być Jamie Slater. I czy żyje...

Kiedy wchodziły do wioski, podniosła głowę i przystanęła. Jej wzrok przykuły cztery postacie, Indianie, w strojach jednak zupełnie innych, niż znała dotychczas. Domyśliła się, że mężczyźni ci szykują się do obrzędów. Teraz jednak stali nieruchomo, a twarze ich zwrócone były w jedną stronę. Oczy mieli utkwione w człowieka stojącego przed wodzem Nalte.

Był to czarnowłosy mężczyzna, cały ubrany w skóry, na głowie skórzana czapka, przystrojona piórami orła i sowy. Równie wysoki, wyniosły jak Nalte i dziwnie Tess znajomy. Wytężyła wzrok, a on, jakby czując na sobie jej spojrzenie, nieśpiesznie odwrócił głowę.

Tess omal nie krzyknęła. Wielki Boże! Jon! Jon Czerwone Pióro! Uśmiechnął się nawet do niej, leciutko, jakby chciał dodać jej odwagi. I natychmiast znów zwrócił twarz ku wodzowi Nalte.

Wódz ubrany był już do ceremonii. Spodnie z jeleniej skóry przykrywała w połowie bardzo długa skórzana bluza, wykończona frędzlami i bogato zdobiona paciorkami i srebrnymi guzami. Głowa wodza przystrojona była w orle pióra, na szyi wisiał turkusowy amulet.

Wódz stał nieruchomo i równie nieruchomym wzrokiem spoglądając na Tess, słuchał tego, co mówił mu Jon.

Skinął głową. Jon cichutko gwizdnął i spośród drzew, otaczających polanę, wysunął się jeździec. Wysoki, jasnowłosy, na wspaniałym dereszcu.

Tess zamarła, krzyknęło tylko jej serce. A Jamie nawet nie spojrział w jej stronę. Powoli podjechał do wodza, wstrzymał konia i podniósł rękę w powitalnym geście. Odczekał sekundę, zeskoczył na ziemię i natychmiast zaczął coś bardzo szybko mówić.

Serce Tess waliło jak młot. Chryste Panie, co ten Jamie robi... Przecież on nie zna wodza Nalte, on nie wie, jak bardzo Nalte nienawidzi białego człowieka, i jak bardzo ta nienawiść jest uzasadniona. Chciała

krzyknąć, żeby Jamie natychmiast uciekał, ale nie mogła wydobyć głosu, bo prawie nie mogła od-
dychać. Mogła tylko modlić się cichutko. Boże,
spraw, niech Jamie przeżyje ten swój tak straszliwie
nierozważny krok...

Wódz Nalte potrząsnął przecząco głową. Bardzo
energicznie.

Co najmniej czterdziestu wojowników wyciąg-
nęło broń.

Zauważyła wokół bioder Jamie'ego pas z bronią,
a w olstrach kolty. Koltów Jamie nawet nie dotknął.
Znów mówił, ale już spokojniej.

Nalte krzyknął. Ostro. Strzelby i kije bojowe
wojowników natychmiast opadły w dół.

Nikt na całym świecie nie byłby w stanie wy-
trzymać takiego napięcia. Tess z rozdzierającym
okrzykiem roztrąciła otaczające ją kobiety i przypa-
dła do Jamie'ego. On znów na nią nawet nie
spojrzał. Tylko popchnął. Popchnął prosto w ramio-
na wodza Nalte. Palce Indianina zacisnęły się na jej
ramieniu jak imadło.

– Jamie! Na litość boską...

Pierwsze spojrzenie. Bardzo groźne.

– Spokojnie, Tess.

– Ale...

– Zamilcz!

Znów coś powiedział w języku Apaczów. Potem
przeszedł na angielski.

– Wodzu Nalte, pozwól Jonowi Czerwone Pióro
zabrać stąd tę kobietę, żeby nie przeszkadzała nam
w rozmowie.

Wódz skinął głową.

– Tess, chodź tu! – krzyknął Jon.

Prawdopodobnie wszyscy oczekiwali, że ona podbiegnie do Jona z jakąś zawrotną szybkością. Ale tak nie było, bo musiała jeszcze przez ułamek sekundy przetrwać ogromną radość, że widzi Jamie’ego, i że widzi Jona, stłumić w sobie paniczny strach o Jamie’ego, a teraz do tych wszystkich emocji dołączyło uczucie złości.

Jamie nie czekał, aż ona to wszystko przetrzeźwi i znów ją pchnął, tym razem w kierunku Jona, a Jon złapał ją skwapliwie i zaczął siłą odciągać na bok.

– Jon, posłuchaj...

– Tess, to ty posłuchaj. Jamie układa się z Nalte co do twego powrotu!

– Ale oni go zastrzelą! Ja muszę coś zrobić! Boże drogi, Jon! A o czymże oni rozmawiają?

– O cenie.

– Jakiej cenie?

– Za ciebie, oczywiście – powiedział, uśmiechając się nieco krzywo.

– Ale czymże Jamie może zapłacić?

– No, cóż... Możliwości Jamie’ego są ograniczone. Dlatego próbuje przekonać wodza, że ty wcale nie jesteś warta ceny, jaką on wyznaczył.

– Nie jestem warta?! Och, Jon, dlaczego on tu przyjechał, dlaczego? Nie powinien był tego robić! Nalte go zabije!

– Sama jednak widzisz, że jeszcze tego nie zrobił. Większość białych ludzi, która ośmieliłaby się tu przyjechać, na pewno od razu pożegnałaby się

z życiem. A z Jamie'em Nalte jednak rozmawia. Bo on słyszał o poruczniku Slaterze i wie, że Jamie wobec Indian jest zawsze sprawiedliwy. A ty, Tess, stój spokojnie i trzymaj buzię na kłódkę!

Wódz Nalte ruszył przed siebie dostojnym krokiem. Jamie szedł obok, z tyłu podążał jeden z wojowników. Mijając Tess, Jamie rzucił jej piorunujące spojrzenie. Nalte nawet nie spojrział na nią. Obaj mężczyźni zniknęli w tipi wodza.

– Jon? Jon! – gorączkowała się Tess. – Po co oni tam poszli?

– Dalej negocjować.

Negocjować... Dobre sobie! Tess dygotała na całym ciele. Wódz Nalte nie musi niczego negocjować. Może po prostu zabić Jamie'ego i zatrzymać u siebie Tess na zawsze. Tutaj Nalte jest najpotężniejszy...

– Czyli nie ma nadziei – szepnęła.

– Nie, Tess. Nadziei nigdy nie należy tracić. Dziś w tej wiosce jest wyjątkowa sytuacja, bardzo szczególna sytuacja. Dziś rozpoczyna się wielka ceremonia. Obrzędy trwać będą cztery dni, po tych czterech dniach siostra wodza Nalte, Mały Kwiat, osiągnie dojrzałość. Popatrz tam! Ta kobieta, która przy niej stoi, to kobieta nadzwyczaj cnotliwa, wybrana spośród wielu innych. Podczas obrzędów będzie czymś w rodzaju opiekunki czy siostry. A tam stoi szaman, ten mężczyzna z rogami bizona na głowie i piórami białego orła. Szaman ma moc uzdrawiającą, a także zna wszystkie złe duchy. A Mały Kwiat modlić się będzie do Słońca. Mały

Kwiat przebrana jest za Kobiętę Pomalowaną na Biało, zwaną też Kobiętą Białą Muszlą. To święta panna, jeden z najważniejszych duchów w wierzeniach Apaczów. A tamci czterej Indianie w półdługich skórzanych spódnicach i w przybraniach na głowie to tancerze Ducha Gór, Gana. Jest ich czterech, każdy z nich symbolizuje inną stronę świata...

Tess jeszcze raz spojrzała w ich stronę. Wszyscy czterej pomalowani byli na biało i czarno, na głowie mieli orle pióra, a w rękach coś, jakby wachlarze, pokryte rysunkami węży i innych zwierząt. I długie różdżki, ozdobione piórami. Twarze ukryte za maskami z drewna. Drewniane oczy patrzyły nieruchomo. Wyglądali przerażająco.

Z tipi wodza wyszedł nagle Indianin. Podeszedł do Jona, powiedział coś krótko i chwycił Tess za ramię.

– Jon! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Nie bój się, Tess. Idź z nim, on ci nic nie zrobi. A mnie wódz wzywa do siebie.

Ruszył szybkim krokiem w stronę wodzowskiego tipi, a Tess, choć rozpaczliwie nie chciała tracić z oczu Jona, nie pozostawało nic innego, jak potulnie pozwolić się prowadzić roslemu wojownikowi. Kilka sekund później została wepchnięta do jednego z namiotów. Nie było w nim nikogo. Ogień wygasł. Na kamieniach, ułożonych wokół ogniska, leżały placki z kukurydzy i kilka kawałków suszonego mięsa. Tess łakomie spojrzała na jedzenie. No, cóż, nikt jej nie częstuje, co prawda, ale ona po prostu umiera z głodu...

Chwyliła placek i kawałek mięsa. Ugryzła i nagle okazało się, że jest zbyt zdenerwowana, aby gryźć i przeżuwać. Odłożyła jedzenie i nerwowym krokiem zaczęła przemierzać tipi wzdłuż i wszerz. Pochodziła chwilę, przysiadła i z przerażeniem spojrzała na swoje brudne, poranione stopy. Ze smutkiem pomyślała, że one chyba już nigdy nie będą takie jak przedtem...

Nagle poczuła za sobą podmuch powietrza. Ktoś uchylił zasłonę przy wejściu. Odwróciła się, spojrzała spłoszonym wzrokiem.

– Jamie!

Rzuciła się ku niemu z radosnym okrzykiem, pragnąc objąć, przytulić się... A on natychmiast oderwał od siebie jej ręce.

– Uspokój się, Tess – powiedział szorstko. – Chcemy cię stąd wydobyć. I może się uda, jeśli będziesz zachowywać się odpowiednio.

– Zachowywać się odpowiednio!

– A tak! Bo zostaniemy tu cztery dni, do końca ceremonii. Jon i ja jesteśmy gośćmi wodza, zaprosił nas.

– Czte... cztery dni? – wykrztusiła Tess. – A czy ja nie mogę być razem z tobą?

Jamie bardzo dosadnie zaklął.

– Nie możesz. Należysz do Nalte. On cię kupił! Czy ty nie jesteś w stanie tego pojąć? Kupił cię! I to nie dlatego, że potrafisz napisać zręczny artykuł do gazety!

– Jamie, nie zaczynaj...

– To ty nie zaczynaj, Tess. Ja domyślam się, że ty

wiele potrafisz. Prawdopodobnie doskonale poradzisz sobie zarówno z prowadzeniem rancza, jak i z wydawaniem gazety. Ale tutaj to nic nie znaczy. Tu jesteś tylko kobietą o jasnych włosach, którą Nalte sobie kupił. I trzeba działać nadzwyczaj ostrożnie. Tak, Tess, ten lód pod nami jest bardzo kruchy, jeden błąd i zginiemy oboje. Ja spróbuję wyjaśnić wodzowi, jak się rzecz ma z von Heusenem. Nalte jest człowiekiem honoru, mam nadzieję, że wszystko zrozumie. Ale nie wolno go rozdrażniać. Dlatego ty masz się trzymać ode mnie z daleka i do niczego się nie mieszać. Takie sprawy mężczyźni załatwiają między sobą.

– Ale...

– Żadne ale, Tess. Tak ma być.

Tess odwróciła się, przeszła parę kroków i usiadła na ziemi. Ze skrzyżowanymi nogami, jak Indianin.

A Jamie już kierował się ku wyjściu. I nie wolno go zatrzymywać. Nie wolno go dotknąć. Można tylko jeszcze zapytać:

– Jamie? A co z Chavezem?

– Nie żyje.

– *A comancherosi...*

– Nikt mnie nie widział. Ale lepiej być ostrożnym. W drodze powrotnej przez góry dobrze by było, gdyby Apacze dali nam jakąś eskortę.

– Rozumiem.

Jedną nogą był już na zewnątrz.

– Jamie...

– Co?

– Ja ci bardzo dziękuję, Jamie. Jestem ci wdzięcz-

na, że tu przyjechałeś. Ryzykujesz tak wiele z mojego powodu.

– Nie dziękuj, Tess. Uważam to za swój obowiązek – powiedział oschle. – Bo to moja wina, byłem zbyt lekkomyślny, wywożąc cię nad rzekę.

Tylko tyle. Tess czuła, że jej oczy już pieką od łez. Ona, naiwna, myślała, że przywiodło go tu uczucie, że on ją w swoim sercu nosi naprawdę. A tymczasem on po prostu czuł się zobowiązany. I jest zły, bo Tess Stuart okazała się osobą nadzwyczaj kłopotliwą. Wynajęła go jako świetnego rewolwerowca, w zamian za usługi zapłaciła mu sownie połową swego majątku. Ale ten rewolwerowiec miał ją bronić tylko przed von Heusenem, a nie dodatkowo użerać się z *comancherosami* i Apaczami.

– Rozumiem – powiedziała równie oschłym tonem. – I proszę, podziękuj Jonowi. On też tu przyjechał, choć wobec mnie nie ma żadnych zobowiązań.

– Podziękujesz mu sama. Tess?

Głos Jamie'ego nagle zmienił się. Nie było w nim groźnych nutek ani zniecierpliwienia. Tylko niepokój.

– Tess, czy nikt cię nie skrzywdził?

Policzki Tess w mgnieniu oka zrobiły się purpurowe.

– Nie – bąknęła, patrząc w bok. – Ten Dawid od von Heusena najchętniej by to zrobił, a potem zabił. Ale ten drugi, Jeremiasz, nie pozwolił. Dlatego żal mi było Jeremiasza, kiedy Chavez go zastrzelił. Chavez chciał mnie skrzywdzić, ale nie zdążył, bo ty się zjawiłeś...

– A Nalte?

Tess energicznie potrząsnęła głową.

– Nie. Bo ta noc była nocą świętego czuwania przed ceremonią.

Słyszała dokładnie, jak Jamie Slater odetchnął głęboko. Przez chwilę miała nadzieję, że szybko pokona tę niewielką odległość dzielącą ich od siebie i obejmie ją, przytuli, a może nawet pocałuje. Ale nic takiego się nie stało. Ona też się nie poruszyła. Zdążył przecież ją pouczyć.

I przed odejściem Jamie jeszcze raz przypomniał jej sytuację, w jakiej się znalazła. Mówił jednak nieswoim, dziwnie zachrypniętym głosem:

– Tess, pamiętaj, że nadal jesteś własnością wodzina Nalte. Nie zrób jakiegoś głupstwa, bo wtedy wszyscy możemy stracić życie. Ty, Jon i ja... – Odwrócił się i szybko wyszedł.

Dzień włókł się w nieskończoność. Tess trwała samotnie w pustym tipi, wsłuchując się w monotony śpiew i głuchy odgłos bębnow. Dopiero koło południa zjawił się Jon, a ona z radości omal nie rzuciła mu się na szyję. Jon przysiadł obok niej i wręczył jej misę pełną mięsa.

– Jedz, Tess. Nie wolno ci opadać z sił.

– A co to jest?

– Wołowina. Wiadomo, że z kradzionej krowy. Ale nie martw się, Apacze bardzo zważają na to, co jedzą. Węża, na przykład, nie ruszą, wierzą bowiem, że siedzi w nim zły duch, a nikt nie będzie przecież zajadał się złym duchem. Zresztą mięsa mają tu

w bród. Wyprawiają się na prerię, na bizony. Polują też na sarny, jelenie, antylopy, łosie i owce gruborogie. I zawsze można spokojnie zjeść to, co przygotowują Apacze.

Tess, już uspokojona, rzuciła się na mięso. Jadła palcami, nie, zajadała się. Mięso było wyborne.

– Jon? Te obrzędy trwają cały czas?

– Tak. Teraz dziewczyna jest w świętym tipi. Jest tam też szaman i ta wybrana kobieta. Dziewczyna leży na skórze, twarzą do ziemi, a Indianka ją masuje. Potem odbędzie się bieg rytualny, dziewczyna pobiegnie po kolei we wszystkie cztery strony świata. Wieczorem Mały Kwiat będzie tańczyć w świętym tipi, a wszyscy pozostali tańczyć będą na środku polany. Tess? Ja dziś wieczorem wyjeżdżam, trzeba jak najszybciej zawieźć wieści do Wiltshire.

– Och, Jon...

Tess odstawiła misę i serdecznie objęła Jona.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, Jon. Boję się bardzo o ciebie.

– Apacze będą mi towarzyszyć podczas przejazdu przez terytorium *comancherosów*. Tobie i Jamie'emu też dadzą eskortę, naturalnie, jeśli Nalte zdecyduje się cię oddać.

– Jeśli...

Tess odsunęła się troszkę i spojrzała w piękne zielone oczy, myśląc ze wzruszeniem, że oto chyba znalazła przyjaciela na całe życie. W tych skórkach Jon wyglądał teraz jak Indianin, ale czuła, że gdzieś tam w środku, w jego sercu i umyśle, siedział biały człowiek, który rozumiał ją doskonale.

– Proszę, Jon, uważaj na siebie!

– Będę ostrożny, obiecuję.

Głośne, raczej gniewne chrząknięcie przerwało rozmowę. Tess zerwała się na równe nogi, Jon wstawał powoli.

– Proszę wybaczyć, nie chciałem przeszkodzić – warknął Jamie. I już go nie było. Tess zerwała się do biegu, ale mocna dłoń Jona osadziła ją w miejscu.

– Nie, Tess. Jamie przecież ci wszystko wyjaśnił. Należysz jeszcze do wodza Nalte, nie wolno ci biec za innym mężczyzną.

– Ale on na pewno opacznie zrozumiał tę sytuację. I teraz...

– Niech się trochę pozłości, nic mu się nie stanie!

Roześmiał się, ale widząc posmutniałą twarz Tess, wyjaśnił szybko:

– Nie ma powodu do niepokoju, Tess. Jamie i ja jesteśmy przyjaciółmi. On doskonale wie, że przyszedłem tu pożegnać się z tobą, tylko pożegnać. Bywaj, Tess! Zobaczymy się w Wiltshire.

Tess znów została sama. Zapadał zmierzch i choć dzień był upalny, czuło się w powietrzu nadciągający chłód nocy. Tess zadrżała, objęła się mocno ramionami i trwała tak bez ruchu, wpatrzona w ostatnie iskierki wygasającego ognia.

Jamie szedł prawie na ślepo w gęstniejącym mroku. I w ciszy, jako że w ceremonii nastąpiła przerwa i cała wioska szykowała się do wieczornych obrzędów. Gniew Jamie'ego powoli wygasł, ten gniew, który zawrzał w nim na widok Tess wpat-

rzony w Jona jak w obrazek. Teraz Jamie skupił się na rzeczach najistotniejszych. Przede wszystkim należy dziękować Bogu, że wódz Nalte jest człowiekiem bardzo honorowym. I Nalte, dobijając targu z von Heusenem, od samego początku wiedział, że ten biały człowiek nie jest považany w swoim środowisku, że wielu uważa go za nieuczciwego dorobkiewicza, że jest zwykłym białym draniem. Trudno mu było jednak uwierzyć, że aż do takiego stopnia, jak to przedstawił Jamie. A Jamie opowiedział dokładnie, jak von Heusen nastaje na ziemię Tess. Także o bandytach von Heusena, grasujących w przebraniu Indian, aby podejrzenie padło na Apaczów albo Komanczów. Kiedy Nalte o tym usłyszał, wpadł w straszliwy gniew. I prawie był już gotów oddać Tess.

Niestety, tylko prawie.

Jamie zacisnął pięści i przyśpieszył kroku. Chciał jak najszybciej dojść do strumienia, obmyć twarz chłodną wodą. Kiedy jednak przykucnął nad strumieniem i obmył twarz, okazało się, że wcale mu nie ulżyło. Nadal nie mógł zapomnieć wielkich, świetlistych oczu Tess, wtedy, gdy odepchnął ją od siebie i wyłożył dokładnie, jak teraz należy postępować. Słuchała go, dzielna Tess Stuart, plecy wyprostowane, a jednocześnie... Nie, tego też nie mógł zapomnieć. Bo uderzyło go, że ta istota, tak często walcząca z nim ząb za ząb, w rzeczywistości jest stworzeniem bardzo kruchym, niewysokim i jakże bezbronnym. Dlatego należy dziękować Panu Bogu za to, że jakimś cudem żaden z tych mężczyzn jej

nie tknął. Kiedy powiedziała mu o tym, odczuł wielką ulgę i radość, a jednocześnie przeżywał katusze. Przecież nie wolno mu było porwać jej w ramiona, wyszeptać do ucha gorących obietnic, że teraz już wszystko będzie dobrze i że już nikt nie podniesie na nią ręki.

Nie wolno mu nawet jej dotknąć... Do diabła! A on jeszcze nigdy dotąd aż tak bardzo nie pragnął jej dotknąć! Dotknąć, objąć, pocieszyć Tess Stuart, która potrzebowała go rozpaczliwie. A on rozpaczliwie pragnął dać jej całego siebie.

Przecież dlatego wściekł się na Jona. Jasne, że wcale nie było miło zobaczyć wzruszoną Tess w objęciach najlepszego przyjaciela. Ale to naprawdę najlepszy przyjaciel i Jamie mu ufa. A wściekł się, bo jego samego rozpieęła ochota, żeby przytulić Tess.

Zamknął oczy. Pod powiekami natychmiast pojawił się obraz ślicznej, drobnej kobiety. Fiołkowe oczy, złocistomiedziany gąszcz włosów, opadający na ramiona. Szczupła figurka w sukience z jasnych skór. I ta łagodność, zawsze promieniująca z Tess, choć ona sama chyba nie zdaje sobie z tego sprawy.

Jakżeż on ją zawiódł! Wynajęła go, żeby ją chronił. I przez jego lekkomyślność wpadła w ręce zbirów. Ile zła doznała z ich rąk? Nie wiedział, więc tylko modlił się, modlił przez całą drogę, gdy podążał za Tess. Boże, spraw, aby tego zła nie było aż tyle, że Tess już nigdy nie będzie chciała spojrzeć na Jamie'ego Slatera.

Porucznik Jamie Slater zabił nie raz, nie dwa.

Nigdy nie dawało mu to satysfakcji, ani podczas wojny, ani po wojnie. A kiedy porwano Tess, po raz pierwszy w życiu chciał zabić. Tych dwóch bandziorów von Heusena. Powyrywać im ręce, nogi i patrzeć, jak konają w męczarniach. Chavez go ubiegł, zabił ich wcześniej i to na nim skupiła się cała wściekłość Jamie'ego Slatera.

Stanęli do walki, każdy ze srebrnym nożem w ręku, obaj świadomi, że to walka na śmierć i życie. Obaj zaprawieni w boju, obaj jednakowo zaciekli, ale Jamie okazał się odrobinę szybszy. Jonowi udało się we właściwym momencie podjechać z końmi. Uciekli, jeszcze zanim *comancherosi* odkryli, że ich przywódca miał gości i kosztowało go to życie. A kim byli ci goście? Tego nikt nigdy się nie dowie, bo jedyny świadek, ta kobieta na łożku, związana szarfami, była nieprzytomna.

Jamie uśmiechnął się. Warto zapytać Tess, któż to taki doprowadził biedną Meksykankę do takiego stanu...

Z obozowiska *comancherosów* Jamie i Jon wymknęli się niepostrzeżenie. A Tess znikła. Przez całą noc przemierzali jedną ścieżkę za drugą, nawołując cicho. Na próżno. Tess przepadła jak kamień w wodę. Jamie starał się nawet nie dopuszczać myśli, że wydarł Tess z rąk *comancherosów* tylko po to, aby wpadła w ręce Apaczów. Niestety, wszystko wskazywało na to, że tak właśnie się stało. Na szczęście Jon znał niezłe te strony, poza tym słyszał wiele o wodzu Nalte. I uradzili, że trzeba jechać do niego i wyłożyć wszystkie karty na stół. Jamie miał

nadzieję, że w negocjacjach pomoże mu jego dobre imię. Porucznik Jamie Slater, biały człowiek, nigdy nie oszukał ani nigdy nie skrzywdził żadnego Indianina.

Jon przebrał się, każda część jego garderoby była teraz ze skóry, była indiańska. Jon pierwszy miał podejść do wodza, powiedzieć mu, w czym rzecz, potem miał pojawić się Jamie. Zarówno dla Jamie'ego, jak i Jona była to gra ryzykowna. Wszyscy wiedzieli, że Apacze to lud bardzo wojowniczy, a Nalte nienawidzi białego człowieka. Ale Nalte, tak jak Jamie, cieszył się dobrą sławą. Był człowiekiem honorowym i bardzo gościnnym. I było jeszcze coś, co napawało otuchą. Z tego, co zaobserwowali, podjeżdżając do wioski, Apacze szykowali się do jakiejś ceremonii. A taki wódz jak Nalte podczas świętych obrzędów na pewno nie zechce splamić krwią swych rąk.

Teraz byli już w tej wiosce. Teraz trzeba było tylko czekać.

Cały świat pogrążył się w mroku, blask księżyca znaczył srebrną ścieżkę na powierzchni czarnej wody. Widok był przepiękny – cicha kotlina u stóp potężnych gór. Piękne miejsce, żeby umrzeć... Nalte obiecał podjąć decyzję natychmiast, gdy ceremonia dobiegnie końca. Jon twierdził, że Nalte już jest gotów oddać Tess. Naturalnie, za tę samą cenę, za jaką ją nabył.

A jeśli Jon się myli?

Jamie wiedział, że on nigdy nie odjedzie stąd bez Tess.

Jeśli Nalte nie zechce jej oddać, Jamie stanie do walki z wodzem. Jeśli zwycięży, Apacze i tak go zaraz zabiją, z zemsty. Czyli, być może, Jamie Slater rzeczywiście w tej pięknej kotlinie pożegna się z życiem. I niczego już nie będzie mógł uczynić dla Tess.

Nalte podobał się Jamie'emu. To był mądry człowiek, bystry, zdolny, wystawiał się pięknie, nie tylko w swoim własnym języku, ale i po angielsku. Wiedział doskonale, co dzieje się w otaczającym go świecie, złowrogim i zachłannym. I walczył, walczył uparcie o zachowanie dziedzictwa, dziedzictwa swego ludu.

Nalte nie jest złym człowiekiem. Jeśli Jamie ma umrzeć, to lepiej, żeby Tess została u wodza Nalte. Lepiej, niż miałyby znów wpaść w łapy takich zbirów, jak Dawid czy Chavez. Nalte nigdy nie skrzywdzi Tess.

– Jamie!

Głos Tess... Nic dziwnego. Wciąż o niej myśli, pod powiekami stale jawi mu się jej obraz, to i teraz zaczyna już słyszeć jej głos...

– Jamie...

No, tak. I widzi już ją, jak zawsze... W tym czarnym zwierciadle wody majaczy jasna postać, postać magiczna, nierealna. W sukience z jaśniutkich, prawie białych skór. A złociste włosy w tej czarnej wodzie wydają się jeszcze jaśniejsze. Oczy... O, nie, koloru oczu ta woda nie potrafi oddać, tych oczu niezwykłych, jak leśne fiołki, w gniewie zapalających się niemal fioletowo, w chwilach

wzruszenia ciemnych, prawie czarnych. Takich oczu nie pokaże nawet najlepsze zwierciadło, tak samo jak czułości, którą przepełniona jest cała Tess. To dlatego Jamie tak szybko się w niej zakochał, zakochał bez pamięci. Tess jest dzielna, niespożyta, nigdy nie podda się w walce, w swojej walce, a także walcząc za innych czy za ideały. Ona nie przejdzie obojętnie obok żadnej niesprawiedliwości, a jednocześnie jest uosobieniem czułości, łagodności... To ona nauczyła Jamie'ego Slatera co to miłość. Kochać to pragnąć dać wszystko ukochanej osobie i jednocześnie pragnąć wszystkiego, co nam może dać ukochana osoba. Wszystkiego, i chwil namiętności, i uśmiechu czy czułego słowa. Pragnąć być zawsze razem, i w ciszy nad wodą leniwą, i wtedy, gdy wichura łamie konary drzew... Zawsze razem, zawsze, przez całe życie...

– Jamie...

Cichutki szept. Coś kazało mu jednak się odwrócić. Tess stała tuż za nim, żadna zjawa, żadna magia, żaden sen. Bosa, w sukieneczynie ledwo za kolana, jak dziewczynka. Ale oczy fiołkowe dorosłe, bez cienia niewinności. Teraz przyzywały, kusiły, obiecywały...

Nie, nie. Jemu nie wolno jej dotknąć. Dopóki wódz Nalte nie podejmie decyzji.

– Tess! Co ty tu robisz?!

Surowy głos wcale jej nie przestraszył. Potrząsnęła tylko złocistym gąszczem włosów, podeszła bliżej i wyciągnęła ramiona. Objęła go, przytuliła się całym ciałem.

Jamie jęknął. Boże, ona go uwodzi. A więc jednak Jamie Slater pożegna się z życiem... Czuł już żar, żar rozlewający się po całym jego ciele, tłumiący wszelkie obawy i rozsądne myśli.

– Trudno, panno Stuart, widocznie śmierć mi sądzona... No cóż, ja pani już nie opuszczę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Śmierć? Dlaczego mówisz o śmierci? – szepnęła przerażona Tess. Tak pragnęła być razem z nim tej nocy. Nie mogła uwierzyć, że los się nad nią zlitował. A teraz, kiedy leżą na brzegu strumienia, wśród szmerów i zapachów nocy, nocy, która ma być magiczna – Jamie Slater myśli o umieraniu.

– Nalte – odparł ochryłym głosem, pochylając się nad nią. – Jeśli dowie się, że byliśmy razem, zabije mnie. Tess? A może ty tego właśnie chcesz? Przyszłaś mnie uwieść, żebym zginął?

Choć pytanie było nadzwyczaj dramatyczne, na twarzy Tess pojawił się figlarny uśmiech.

– Hm... A ty gotów byłbyś umrzeć dla mnie?

Uśmiech znikł. Twarz Jamie'ego była teraz zbyt groźna, zbyt gniewna i nie należało przeciągać struny.

– Nie, Jamie, wcale nie chcę, żebyś umierał. Nalte wie, że tu jestem. Przyszedł do mnie i powiedział, że mogę iść do ciebie. On podjął już decyzję.

Mamy zostać tu do zakończenia obrzędów, a potem Apacze przeprowadzą nas przez góry.

– Czyli Nalte wie, że ty i ja...

– Och, Jamie, przecież sam mu powiedziałeś, że byłam twoją kobietą. A Nalte mówił jeszcze, że tylko głupiec mógł zdecydować się tu przyjechać. Albo człowiek bardzo odważny. A odważny człowiek zasługuje na szacunek ze strony drugiego odważnego człowieka. I powiedział mi, że poszedłeś nad strumień i ja mam do ciebie iść.

Patrzył na nią w milczeniu, jakby nie był jeszcze w stanie pojąć do końca sensu jej słów. Jakby musiał sobie najpierw wszystko w duchu powtórzyć. Nalte już zdecydował. A więc Jamie wcale nie musi umierać w tej cichej kotlinie. Może odjechać stąd razem z Tess. I tej nocy wolno im się kochać, w cieniu gór Apaczów, nad strumieniem, gdzie ta noc i samo życie wydają się mistyczne.

Z jego gardła wydobył się zachrypły okrzyk. Pochylił się nad Tess, uniósł ją w górę, a jego niecierpliwa dłoń szarpnęła za rzemyki sukienki. Rozchylone usta Jamie'ego przywarły do jej warg, pieściły płatki uszu, białe ramiona i pełne piersi, wynurzające się z miękkich jasnych skór. Moc jego pocałunków była wielka. Tess drżała, rozplamiona, kiedy kładł ją na ziemi, bliźniotko strumienia. Stopy Tess zanurzyły się w chłodnej wodzie, ale to tylko dodawało magii tym cudownym chwilom. Jej dłonie i jego dłonie, zachłanne i szczodre, nawzajem pieściły ich spragnione dotyku ciała. Strumień szemał, obmywał stopy Tess, nie dając jednak żadnego

chłodu, była bowiem teraz całkowicie w mocy rozpalających ją pieszczot. Rozpalał ją mężczyzna, który bardzo jej pragnął, a ona go kochała. Nic więcej nie liczyło się teraz, nic więcej. Tess zdążyła już się nauczyć, jak cenny jest czas podarowany nam na życie i na miłość.

Tej nocy miała wszystko. I życie, i miłość, i czas.

Potem nastąpiła cisza, srebrzona księżycem. Jamie delikatnie głaskał Tess po głowie.

– Tess? Nalte naprawdę wysłał cię do mnie?

– Naprawdę.

– Chwała Bogu.

– On jest bardzo poruszony tym, co uczynił von Heusen. Powiedział mi, że Apacze też napadają, prowadzą wojny, ale to jest zupełnie coś innego. Napadają nie po to, żeby zabijać. Muszą zdobyć pożywienie i potrzebne im rzeczy. Zabijają, kiedy wstępują na wojenną ścieżkę. Ale nigdy nie zabijają dzieci i nie zarzynają niepotrzebnie zwierząt. Nalte mówił też, że choć Apacze z Komanczami walczą od pokoleń, on nie może pogodzić się z tym, że Komanczów obarcza się winą za to, co uczynił biały człowiek.

– Wygląda na to, że odbyłaś długą rozmowę z wodzem Nalte.

– Zazdrosny? – spytała słodziutko. – No, cóż, nie kryję, że wódz Nalte bardzo mi się podoba.

– Aha. No to może jednak z nim zostaniesz?

Na usta Tess cisnęły się już czułe słowa, słowa, które zdradziłyby wszystko. Nalte jest mądrym, pięknym i odważnym mężczyzną, trudno, żeby nie

spodobał się kobiecie. Ale dla mnie, Jamie, ty jesteś najmądrzejszy, najpiękniejszy, najdzielniejszy. Kocham cię, Jamie, jesteś moją wielką miłością, największą.

Nie, nie pozwoliła sobie na głośne wypowiedzenie tych słów, zbyt wyraźne było wspomnienie o Elizie, wieszającej się na Jamie' em, zebrzącej o jego miłość. A Tess nie chce zapomnieć o kobiecej godności.

– Próbuje pan się mnie pozbyć, poruczniku? – spytała z uśmiechem.

– Hm... Trzeba przyznać, że ma pani talent do ściągania na siebie kłopotów.

– Ale pan, jak dotąd, z moimi kłopotami świetnie sobie radzi.

– No... niby tak.

– A chyba warta jestem zachodu...

– Tak pani sądzi?

Skinęła skwapliwie głowę, jej dłonie ożyły, a usta znów zaczęły pieścić ciało Jamie' ego. On nie pozostał dłużny i kiedy minęła chwila największego uniesienia, kiedy roztańczone gwiazdy znów powróciły na swoje miejsce na niebie, Tess usłyszała cichy szept:

– O tak, Tess, warta jesteś zachodu, o tak...

Przez następne kilka dni Jamie i Tess byli honorowymi gośćmi wodza Nalte i uczestniczyli we wszystkich obrzędach, związanych z uzyskaniem dojrzałości przez siostrę wodza, Mały Kwiat. Tess była zachwycona, odnajdując w tym obcym dla siebie

świecie Apaczów osobliwy spokój. Nalte poświęcał swoim gościom wiele czasu. Czasami ignorował Tess, zagłębiając się w dłuższej rozmowie z Jamie'em, prowadzonej w języku Apaczów. Niekiedy jednak rozmowa toczyła się po angielsku i Tess mogła w niej uczestniczyć. A kiedy mężczyźni z wioski zabrali Jamie'ego na polowanie, Tess po raz drugi miała sposobność porozmawiać z wodzem Nalte sam na sam.

Nalte opowiadał jej o obyczajach swego ludu, Tess dowiedziała się też czegoś więcej o tancerzach w drewnianych maskach. Ci tancerze, z chwilą gdy nałożą maski, stają się uosobieniem Ducha Gór, Gana, i wykonując swój święty taniec, przywołują dobre moce. Moce, które leczą choroby, odpędzają złe duchy i dają ludziom wszelką pomyślność. Przed obrzędem tancerze zbierają się w jaskini i tam, pod okiem szamana, przywdziewają święte stroje. Od tej zresztą chwili muszą przestrzegać świętych zasad. Nie wolno im rozmawiać ze zwykłymi mieszkańcami wioski, zachowują się tak, jakby nikogo tu nie znali. Swój taniec mają wykonywać z największą starannością, nie wolno im popełniać żadnych błędów. Strój tancerza otoczony jest szczególną pieczę, nie wolno w nim niczego zmieniać. Po zakończeniu obrzędu chowany jest z powrotem do świętej jaskini, nikomu nie wolno wyjmować go stamtąd samowolnie. Złamanie świętych zasad przez tancerza może spowodować nieszczęście nie tylko na niego, ale i na jego rodzinę czy nawet na całe plemię. Może sprowadzić chorobę, obłąd, a nawet śmierć.

– Nasi szamani posiadają moc uzdrawiania – prawil dalej Nalte. – Najpierw sami modlą się i umartwiają, a potem, naśladując niedźwiedzia i węża, wypędzają z człowieka ciężkie choroby. Odprawiamy też obrzędy, prosząc dobre duchy, aby nie brakło nam pożywienia, zwierzyny łownej i roślin, które daje nam las i peria. W obrzędzie biorą udział biegacze, część z nich symbolizuje słońce i zwierzęta, reszta to księżyc i rośliny. Jeśli pierwsi przybiegną biegacze słońca, nie zabraknie zwierzyny łownej. Jeśli zwycięży księżyc, to roślin będzie w bród.

– Dobrze wam się tu żyje – powiedziała Tess.

– Tak. Żyje nam się tu dobrze, ale ciągle się boję, że pewnego dnia biały człowiek wszystko nam zabierze.

– Ale tutaj...

– Tutaj też przyjdzie. Będzie wielka wojna, góry się rozpadną, a rzeki spłyną krwią. To nieuniknione. Ale kiedy ten czas nadejdzie, ja będę pamiętał o tobie i Slaterze, będę pamiętał, że nie wszyscy biali ludzie są tacy sami. A na razie jest jeszcze dobrze, jeszcze jest spokój. Tobie chyba też tu jest dobrze, prawda?

Tess uśmiechnęła się.

– Tak. Samej trudno mi w to uwierzyć, ale tak właśnie jest. Czuję się tu spokojna i bezpieczna.

Nalte milczał przez chwilę, wpatrzony w wielkie ognisko, płonące na środku wioski.

– Gdybyś została... Może byłabyś tu szczęśliwa, choć życie u nas jest twarde. Nikt nie próżnuje.

Nasze kobiety zbierają młodą jukę, zbierają też łodygi kaktusów, suszą, mielą na mąkę. Z tej mąki robią placki, już ich próbowałam.

– Na ranczu też każdy ma ręce pełne roboty, tak samo przy wydawaniu gazety. Gazeta to...

– Wiem, co to gazeta. Kiedy byłem małym chłopcem, przez wiele lat żyłem w mieście białych ludzi. Była wojna, pojmano wielu Indian, a mnie oddano na wychowanie żonie pastora. Nauczyłem się wtedy, jak żyje biały człowiek. I wiem co to gazeta. To potężna broń.

– Ale to nie jest broń...

– Wasze gazety mogą uczynić więcej niż broń, z której się strzela.

Potem Nalte przeszedł do spraw bardziej osobistych. Zapytał Tess wprost, czy jest żoną porucznika Slatera. Tess, cała w pąsach, odparła, że niestety, ale nie jest żoną Jamie'ego.

– Ale jesteś jego kobietą.

– To nie to samo.

Indianin pochylił głowę, uśmiechnął się, a Tess, przerażona, przypomniała sobie poniewczasie, że przecież Nalte zdecydował się zwrócić jej wolność tylko ze względu na Jamie'ego.

Po chwili milczenia Nalte zaczął opowiadać jej o zwyczajach Apaczów dotyczących zawierania przez nich związków małżeńskich.

– Apacz zawsze mieszka z rodziną żony. Jeśli bierze sobie żonę z odległej wioski, przenosi się tam i z czasem może zostać wodzem jednej dużej rodziny, a potem nawet wielu rodzin. I w końcu

może zostać także i wielkim wodzem. Ale zawsze żyje z rodziną żony. Pracuje dla jej rodziców i starszych z jej wioski. Dlatego nazywają go „tym, który za mnie nosi ciężary”. Ale najpierw prosi rodziców dziewczyny, żeby mu ją dali za żonę. Potem on i dziewczyna wymieniają podarki. Stawia się dla nich osobne tipi. I dziewczyna staje się jego żoną. Widzisz więc, Promyku Słońca, że u Apaczów i u białych ludzi jest podobnie. Kiedy mężczyzna pokocha kobietę i chce mieć ją dla siebie, kiedy gotów jest oddać za nią życie, dumę i honor, wtedy ona staje się jego prawdziwą żoną. Jest jego żoną w oczach wszystkich wielkich dobrych duchów, a przede wszystkim w oczach naszego Wielkiego Ducha czy też w oczach waszego Boga, Boga białych ludzi. – Dotknął jej policzka, prawie z czułością, i wyszedł.

Tess długo zastanawiała się nad słowami Nalte. Zastanawiała się też, czy Jamie już ją pokochał. A jeśli tak, to czy pokochał ją na całe życie. A może, jeśli nawet pokochał, to bardzo mało i wkrótce będzie nią znudzony? I wtedy odtrąci Tess, tak jak odtrącił Elizę.

Jamie nigdy jej do niczego nie zmuszał. Kochała się z nim z własnej nieprzymuszonej woli, choć niejednokrotnie czuła lęk. Uległa przecież pokusie, sięgnęła po owoc słodki, ale zakazany.

Jak długo jeszcze będzie go smakować? I jak gorzko będzie żałowała, kiedy zabraknie jej tego zakazanego owocu...

Teraz całe noce należały do nich. Przychodziła do

Jamie'ego, bez słowa kładła się obok i oddawała mu swoje ciało, obmyte chłodną wodą strumienia, ogrzane ogniem ogniska. Oddawała mu się bez reszty, próbując żyć chwilą i nie zadrećzać się niepewną przyszłością.

Czwartej nocy, tej ostatniej w czasie ceremonii odprawianych przez Apaczów, Jamie był dziwnie milczący i zadumany. Tess, zaniepokojona, zapytała, co się stało.

– Jutro przecież już odjeżdżamy, Jamie. Wracamy do Wiltshire.

– A tak. Wracamy do Wiltshire i wracamy do punktu wyjścia, Tess – oświadczył posępnym głosem. – Nadal przecież nie mamy żadnych dowodów przeciwko von Heusenowi.

– Co ty mówisz, Jamie! Przecież Dawid i Jeremiasz porwali mnie. A ciebie omal nie zabili, i zostawili na pewną śmierć!

– Ale Dawid i Jeremiasz nie żyją, nie można ich pozwać do sądu i zmusić, żeby zeznali przeciwko von Heusenowi. Czyli jest tak, jak mówię. Wracamy do punktu wyjścia. A ty zapewne wrócisz przede wszystkim do tej swojej gazety.

– Ja muszę tam wrócić.

– Wcale nie musisz!

– Jamie...

– Tess! Wracamy do domu i będziemy dalej walczyć z von Heusenem. Ale według moich reguł. Przede wszystkim zapamiętaj jedno. Nie wolno ci będzie wyjeżdżać z rancza samej. Sytuacja robi się coraz bardziej niebezpieczna, nie wolno ryzykować.

Von Heusen jest już przekonany, że się pozbył i ciebie, i mnie. Miał swoje kilka chwil radości, ale prawdopodobnie dowiedział się już, że na mocy naszych testamentów przejęcie przez niego rancza Stuartów jest niemożliwe, ponieważ prawo własności przechodzi na moich spadkobierców. I najprawdopodobniej z tego powodu jest wściekły jak diabli. A kiedy się okaże, że wróciliśmy... Trzeba się przyszykować, Tess, na najbardziej bezwzględną walkę.

– Myślisz, że damy radę?

– Na pewno. Jeśli będziesz się mnie słuchała.

Znów ten twardy, rozkazujący ton porucznika Slatera. Tess, rozżalona, zamknęła oczy, pragnąc ukryć łzy. Bo jak to w końcu ma być? Są sobie już tak bliscy, a Jamie nadal zachowuje się jak tyran. I to wszystko jest zatrważające, bo ona tego tyrana kocha coraz goręcej. Tyrana, który zdecydował się ryzykować dla niej własną skórą. I jeśli uda mu się wyjść z tego cało, pewnego dnia wsiądzie na swego deresza i na zawsze zniknie z życia Tess.

Nie wyjeżdżali o świcie. Nalte wezwał Jamie'ego do siebie na rozmowę, a do Tess przyszła siostra wodza, Mały Kwiat, pragnąc pożegnać się z gościem. Tess zdążyła nauczyć się zaledwie kilku słów w języku Apaczów, nie rozumiała więc ani słowa z tego, co mówiła Mały Kwiat, była jednak bardzo wdzięczna Indiance za życzliwość. I wyglądało na to, że Nalte za pośrednictwem siostry przekazywał Tess podarunki. Nową sukienkę z jasnej skóry,

ozdobioną paciorkami, spodnie, w których mogła swobodnie dosiąść konia i na koniec coś, co Tess przyjęła z największą radością. Mokasyny z jeleniej skóry, sięgające aż za kolana. Tess, szczęśliwa, objęła serdecznie Mały Kwiat i ucałowała w oba policzki.

Kiedy do tipi wszedł Nalte, Mały Kwiat umknęła.

– Tę sukienkę, co masz na sobie, też weź – powiedział wódz. – Slater mówił, że ta sukienka ma dla niego jakieś duże znaczenie.

Tess oblała się rumieńcem.

– Dziękuję, dziękuję za wszystkie podarunki, wodzu Nalte. I jest mi bardzo przykro, że nie mam się czym odwdzięczyć.

– Nie martw się, Promyku Słońca, Slater dał mi to, czego zapragnąłem.

– A ja chciałam podziękować ci, wodzu, podziękować z głębi serca za zwrócenie mi wolności.

– Tobie, Promyku Słońca, wolność się należy. Bo masz duszę wojownika.

– Ja?

– Tak. Wiem, że toczysz walkę. Jak mężczyzna.

– Wcale tego nie pragnęłam, wodzu. Ale muszę walczyć, ten człowiek zabił mojego wuja.

– Będę modlił się, aby dobre duchy towarzyszyły ci na wojennej ścieżce.

Wyszedł i chwilę potem do tipi wkroczył Jamie.

– Gotowa do drogi?

– Tak, tak!

Na Tess czekała mała, dereszowata klaczka, niestety, bez siodła. Cóż robić... Tess, korzystając z pomocy Jamie'ego, wskoczyła na swego niewiel-

kiego wierzchowca, po czym ze zdumieniem obserwowała, jak Jamie dosiada obcego zupełnie konia.

– Jamie? A co z twoim Lucyferem?

– Teraz należy do wodza Nalte.

– Och, Jamie! Przecież ty kochałeś tego konia! Jak Nalte mógł od ciebie zażądać...

Zamilkła. Boże wielki, przecież to oczywiste! Jamie wcale nie rozstał się z koniem z własnej woli. Oddał Lucyfera wzamian za jej wolność.

– Jamie, ja bardzo nad tym boleję – szepnęła.

– Nie ma o czym mówić, Tess.

Popędził konia i podjechał do półnagiego wojownika w skórzanych nogawicach, który przewodził grupą kilkunastu jeźdźców, wyznaczonych jako ich eskorta na czas przejazdu przez terytorium *comancherosów*. Indianin odwrócił się i Tess z trudem powstrzymała okrzyk zdziwienia. Wódz Nalte we własnej osobie! Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bo już w niebo poleciał okrzyk wojowników, a konie od razu ruszyły galopem.

Zatrzymali się dopiero o zmierzchu. Tess, której po raz pierwszy dane było doświadczyć wspólnej jazdy z Apaczami, z trudem zsunęła się z konia. Drżące nogi absolutnie nie chciały jej utrzymać, na szczęście z pomocą pośpieszyło usłużne ramię Jamie'ego. Naturalnie, że chciała to ramię zlekceważyć i pokazać, ileż to ona ma w sobie jeszcze siły, ale w głowie się jej kręciło, kolana dygotały i stać ją było tylko na słabiutki szept:

– Och, Jamie, dziękuję.

Wziął ją po prostu na ręce i zaniósł bliżej ogniska, które Indianie zdążyli już rozpalić. Jeden w wojowników rozłożył koc, na tym kocu Jamie ułożył Tess, ktoś po chwili wsunął pod jej głowę drugi koc, zwinięty w rulon. Nawet nie tknęła jedzenia i prawie natychmiast zasnęła kamiennym snem.

Obudziła się w środku nocy, czując rozkoszne ciepło. Jakże miało być inaczej, skoro tuż obok spał Jamie, obejmując ją ramieniem. Jamie... Przytuliła się do niego mocniej i spojrzała w rozgwieżdzone niebo. I nagle ogarnął ją lęk. Bo cóż oni tam zastaną w Wiltshire? Całym sercem pragnęła powrotu do domu, ale Jamie ma rację. Tam czeka ich otwarta, bezpardonowa walka, jeszcze bardziej niebezpieczna niż dotychczas. A ona tak bardzo pragnęła żyć, chyba jak jeszcze nigdy dotąd.

Zamknęła oczy i złożyła ręce do modlitwy, ale po chwili zacisnęła palce na ciepłej męskiej dłoni, spoczywającej na jej brzuchu.

– Panie Boże, proszę, bardzo, bardzo Cię proszę – szepnęła. – Wysłuchaj mnie, Panie...

I tylko tyle, bo dobry Bóg i tak wiedział, jaką prośbę zanosি do Niego Tess.

Daj, dobry Boże, przeżyć, ale nie tylko mnie samej. Uchroń Jamie'ego, bo to drogocenne życie, które mi ofiarowałeś, bez Jamie'ego już nie będzie miało dla mnie żadnej wartości. I Ty, Panie Boże, o tym dobrze wiesz...

Apacze towarzyszyli im przez cały następny dzień i całą noc. Jamie bał się o nich, przejeżdżali

przecież już przez terytorium Komanczów. Wódz Nalte natomiast nie wykazywał ani odrobiny niepokoju. Podobno osobiście znał wodza Płynąca Rzeka. Tess również starała się przekonać wodza Nalte do powrotu, tłumacząc mu, jak wielkie jest zagrożenie ze strony białych ludzi. Wielu z nich uwierzyło bowiem, że sprawcami napadu na wozy Josepha Stuarta byli Indianie. Fakt, że ludzie von Heusena przebierali się za Komanczów, a nie za Apaczów, nie miał tu żadnego znaczenia, ponieważ dla wielu osadników, którzy zamieszkali na tych ziemiach od niedawna, wszyscy Indianie podobni byli do siebie jak dwie krople wody.

Wódz Nalte był jednak nieugięty i towarzyszył im aż do Wiltshire. Wstrzymał swego konia dopiero na obrzeżach miasta. Podniósł włócznię, potrząsnął i wydał z siebie okrzyk. Przerażliwy, pełen grozy, mrozący krew w żyłach. A to był tylko sygnał do odwrotu dla jego ludzi.

– Żegnaj, Slater. Żegnaj, Promyku Słońca.

– Żegnaj, wodzu Nalte – odparł z powagą Jamie.

– I nie zapominaj. Cokolwiek się wydarzy, masz we mnie przyjaciela. Na zawsze.

– Będę pamiętał.

Obaj mężczyźni mocno uścisnęli sobie dłonie, po czym wódz Nalte gwałtownie zawrócił swego konia i od razu ruszył galopem. Koń ten nosił go od bardzo niedawna, bo to był Lucyfer, wspaniały deresz porucznika Jamie'ego Slatera.

Pozostali Apacze błyskawicznie ruszyli za swym wodzem. Tess i Jamie patrzyli w ślad za nimi, dopóki nie opadły kłęby suchej ziemi Teksasu.

- A więc jesteśmy już prawie w domu, Tess.
- Może najpierw pojedziemy do miasta?
- Nie. Jedziemy na ranczo.
- Ale ja muszę jak najszybciej opisać to wszystko w gazecie!

Jamie bardzo dosadnie zaklął.

– Do miasta pojedziesz jutro, Tess. Teraz nie. Samej ci tam jechać nie wolno, a ja teraz muszę jak najszybciej znaleźć się na ranczu. Czyli, krótko mówiąc, jedziemy teraz na ranczo. Zrozumiano?

– Tak jest, poruczniku! – krzyknęła, już troszkę na niego zła za ten jego ton. Ale co tam złość... Za chwilę będę w domu! Zawróciła klaczkę i pognąła przed siebie. Nie minął kwadrans i serce Tess zabiło mocniej z przeogromnej radości. Dom stał. Nikt go nie spalił do gołej ziemi. Stał sobie, nienaruszony, duży, rozłożysty, z komina unosił się słup dymu. Znak, że Dolly i Jane gotują zapewne coś smakowitego. Znak, że ludzie, którzy tu pozostali, drodzy, kochani, wytrwali. I że życie nadal biegło tu swoim trybem, kiedy Tess Stuart przez kilka dni mieszkała w wiosce Apaczów i nazywana była przez Nalte, ich wspaniałego wodza, Promykiem Słońca.

Z tyłu słyszała ciężki stukot kopyt konia Jamie'ego.

- Jamie! Widzisz? Dom stoi!
- Widzę! Widzę!

Popędziła klacz. Dzielna indiańska kobyłka sadziła przez zielone padoki, odprowadzana zdumionym wzrokiem smukłych, eleganckich angielskich klaczy, otoczonych przychowkiem. A Tess rozsadzała radość. Von Heusen jeszcze nie zwyciężył, o, nie!

Klacz wryła kopytami w ziemię tuż przed werandą. Tess zeskoczyła z konia i pomknęła po schodkach ku drzwiom domu.

– Dolly! Hank! Jane! Wróciłam!

Wpadła do domu, przystanęła i wzruszonym spojrzeniem ogarnęła znajome stare kąty. Salon przestronny, wielkie biurko wuja Josepha, rzeźbiony stół meksykański, ten właśnie, przy którym może zasiąść czternaście osób. Wszystko jest, wszystko stoi na swoim miejscu. Jak słodko być w domu!

– O Boże, już są! Wrócili!

Głos kobiecy... ale zupełnie Tess nie znany. I tupot nóg. Tess spojrzała na schody wiodące na piętro. A stamtąd zbiegała już jakaś kobieta, wysoka, szczupła, za nią mały chłopczyk, może pięcioletni, z tyłu jeszcze jedna kobieta, łudzaco podobna do tej pierwszej.

– Panno Tess!

Tym razem głos, a raczej radosny pisk, był jak najbardziej znajomy i dobiegał od strony kuchni. I już po chwili nieprzytomna z radości Jane zawisła na szyi Tess.

– Och, panno Tess! Ja wiedziałam, że pani wróci! Ja to po prostu wiedziałam!

W tym czasie pierwsza z nieznanym kobietom właśnie dopadała do drzwi frontowych.

– Proszę, proszę powiedzieć! – wołała zadyszczonym głosem. – Na litość boską, gdzie jest Jamie?!

Nagle frontowe drzwi się otwarły i do środka wkroczył Jamie. Nie sam. Za nim dwóch mężczyzn, tak samo wysokich, barczystych, o surowych,

ogorzałych twarzach ranczerów. Mężczyźni rozmawiali, ten najwyższy, najciemniejszy mówił coś o von Heusenienie.

Z kuchni biegła Dolly, wycierając pośpiesznie ręce w biały fartuch.

– Ach, te bliźniaki, zaraz wyjedzą wszystkie ciasteczka i dla nas nic nie zostanie! Och, Tess, Tess, dziecko kochane! I porucznik! Nareszcie oboje jesteście w domu! Wiedziałam, że Tess nie wróci tu bez swojego porucznika!

Łzy płynęły po twarzy Dolly obfitym strumieniem. Przez chwilę dusiła w uścisku porucznika Slatera, po czym próbowała odciągnąć Jane od Tess, żeby móc w końcu uściskać również pannę Stuart. Tess objęła serdecznie Dolly, jednak cały czas zerkając ciekawie na obcych przybyszów, którzy nieoczekiwanie wypełnili cały dom.

I cóż to znowu za bliźniaki? Czyje?

Dwie kobiety o pięknych jasnych włosach, obie prześliczne zresztą i bardzo do siebie podobne, obcałowywały Jamie'ego i dusiły go w uściskach. A on poddawał się temu z wyraźną przyjemnością i wylewnie im dziękował, że przyjechały.

Tess pomyślała, że jeszcze moment i zaraz straci panowanie nad sobą.

– Proszę wybaczyć, ale... – powiedziała grzecznym, uprzejmym tonem, kiedy jednak nikt nie zwrócił na nią uwagi, zmuszona była krzyknąć:
– Proszę wybaczyć!

Natychmiast zapadła cisza.

– Proszę wybaczyć, ale kim państwo jesteście?!

– Jamie! Jak to?! – krzyknęła rozszalonym głosem jedna z jasnowłosych piękności. – Ty niczego jej nie powiedziałeś?

– Nie. Niczego mi jeszcze nie powiedział – oznajmiła Tess ze słodkim uśmiechem.

– Powiem teraz – oświadczył Jamie, wysuwając się krok do przodu. – Tess, pozwól, że ci przedstawię... To są moi bracia, Cole i Malachi, a to ich żony, Kristin i Shannon. Ten chłopczyk, to mój bratanek, Gabe, synek Cole’a i Kristin. A bliźniaki, to dzieci Shannon i Malachiego, i o ile się orientuję, właśnie urzędują w kuchni...

– Tak! Nasze słodkie maleństwa! – wykrzyknęła entuzjastycznie Dolly.

A Cole dodatkowo wyjaśnił:

– Dostaliśmy od Jamie’ego telegram, dlatego tu jesteśmy.

Tess aż westchnęła. Więc tak to jest, kiedy ma się rodzinę. Prawdziwą rodzinę, oddaną sobie, zżytą i dlatego szczęśliwą. To szczęście wypisane było na ich twarzach. Potrząsnęła bezradnie głową.

– Ja... ja jestem bardzo wdzięczna, ale... Jamie! Jak mogłeś! Przecież mogli ich tu pozabijać!

– Nikt nie ma zamiaru dać się zabić, łaskawa pani – odezwał się pogodnym głosem Malachi. – To my przyjechalśmy tu, aby ewentualnie zabić, naturalnie, o ile to będzie konieczne.

– Nie znacie von Heusena...

– Och... – Kristin lekceważąco machnęła ręką. – Takich ludzi znaleźliśmy na pęczki, moja droga! A poza tym jesteśmy rodziną i to tłumaczy

wszystko. Kiedy ja potrzebowałam pomocy Jamie'ego – w jego stronę poleciał słodki uśmiech – on nigdy nie wahał się ani przez chwilę.

– Ojej! – krzyknęła Shannon, demonstracyjnie pociągając nosem. – Jamie i panna Stuart wrócili nareszcie do domu, i co? Dostaną przypaloną kolację! Ejże, moi drodzy! Czy tu nikt nie jest głodny?!

Tess dopiero teraz poczuła prawdziwy wilczy głód.

– Chodź, kochanie – powiedziała miękko Kristin, biorąc ją pod ramię. – Kiedy człowiek sobie podje i wypocznie, widzi świat w jaśniejszych barwach!

Tess bez oporu dała się poprowadzić. Pyszna kolacja... Cóż może być lepszego na zakończenie dnia, w którym zdarzyło się tyle dobrego?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy wszyscy zasiedli do stołu, w drzwiach pojawili się Jon Czerwone Pióro i Hank. Tess na widok Jona wydała z siebie okrzyk pełen radości i rzuciła mu się na szyję.

– Och, Jon, jakże się cieszę, że udało ci się szczęśliwie wrócić na ranczo! Ja tak się o ciebie martwiłam!

– Niepotrzebnie, Tess. A musiałem tu zjawić się wcześniej, ktoś przecież musiał powitać to całe plemię Slaterów!

– Plemię! No wiesz! – krzyknęła z udanym oburzeniem Kristin. – Jon, siadaj za stołem i nie mędrkuj. A ty, Jamie, lepiej szybko żeń się z tą dziewczyną, zanim przekonasz się namacalnie, że masz rywała pod samym nosem!

Jon roześmiał się, Tess oblała się purpurą, ze strony Jamie'ego nie padło żadne słowo. A Kristin spokojnie zajęła się nakładaniem jedzenia na talerze.

Na tyle talerzy... Jak to dobrze, że dom jest duży i zasobny. Wuj Joseph tak się starał, żeby niczego nie brakowało. Och, kochany wuju, jaki ty byłbyś szczęśliwy, gdybyś widział teraz swój ukochany dom tętniący życiem...

– Siadajcie już, siadajcie – popędzał Malachi, obchodząc stół dookoła i napełniając kieliszki czerwonym winem. – Jon? Najwyższy czas, żeby Tess i Jamie usłyszeli od ciebie tę wiadomość, nadzwyczaj interesującą.

– Faktycznie – mruknął Jon. Podszedł do stołu, wznosił swój kieliszek i spojrzał z uśmiechem na Jamie'ego i Tess. – Wasze zdrowie!

– Siadamy! – powiedział Cole bardzo głośno i bardzo stanowczo.

Kłębiący się tłumek jak na komendę rzucił się do krzeseł. Tess również, zgodnie z rozkazem, zajęła miejsce. Obok rozsiadł się Jamie i zarówno on, jak i Tess, nie spuszczali oczu z Jona, który nieśpiesznie rozsiadał się vis-à-vis. Wreszcie się odezwał.

– Dowiedziałem się rzeczy bardzo ważnej. Otóż wiem, dlaczego von Heusen tak bezwzględnie nastaje na pani ziemię, panno Stuart!

Tess i Jamie jednocześnie zerwali się ze swoich miejsc.

– Dlaczego?!

Jon uśmiechnął się, potrząsnął leciutko kieliszkiem, chwilkę patrzył na falujący czerwony płyn.

– Kolej – powiedział krótko.

– No to już wszystko jasne! – krzyknął Jamie i opadł z powrotem na krzesło.

Tess też usiadła, jej wzrok wbity był w Jamie'ego. On, naturalnie, pojął już wszystko, a ona, oczywiście, do niczego jeszcze nie doszła. Na szczęście, zlitował się nad nią Cole.

– Panno Stuart, sprawa jest prosta. Przez Wiltshire ma przechodzić linia kolejowa, a dokładniej... akurat przez pani ziemię. A to oznacza, że pani posiadłość osiągnie wartość niebywałą. Już teraz, gdyby pani zdecydowała się ją sprzedać, zbije pani fortunę.

– Wystarczy sprzedać część ziemi, która potrzebna będzie kolei – wtrącił Jon Czerwone Pióro. – A wartość reszty ziemi po prostu trudno będzie oszacować. Pomyśl, Tess, kolej tuż koło rancza. Wszystko, co na sprzedaż, będziesz mogła ekspediować niemal spod własnych drzwi! Tess, ty siedzisz na najlepszym kawałku ziemi po tej stronie Missisipi i dlatego von Heusen tak desperacko próbuje pozbyć się ciebie.

Tess spojrzała na Jamie'ego. Jej twarz rozjaśniona była uśmiechem.

– Ale von Heusen i tak tej ziemi nie tknie! On zapewne już wie, że połowa jest na twoje nazwisko, Jamie, i nawet gdybyśmy oboje tu nie wrócili...

– Prawo własności przechodzi na Cole'a, na mnie i na nasze rodziny – dokończył Malachi.

– Tak, von Heusen na pewno już o tym wie – przytaknął Jon, głaszcząc po główce Gabe'a, który ulokował się na krześle obok i nie spuszczał z Jona zachwyconego wzroku. – Dotarli do niego również inne wieści. Po moim powrocie do Wiltshire nie

kryłem przed nikim, że porucznik Jamie Slater odnalazł pannę Tess Stuart i oboje niebawem wrócą już do domu. Pogadałem też z Clancym. I w twojej gazecie, Tess, ukazała się notatka o przybyciu do Wiltshire dwóch pozostałych braci Slaterów, Cole'a i Malachiego. W notatce nie omieszkało wspomnieć o wyjątkowej biegłości braci Slaterów we władaniu bronią.

– Następnego dnia mieliśmy już gości – powiedziała Kristin, podsuwając Jonowi półmisek z tłuczonymi ziemniakami. – Przyjechało kilku ludzi von Heusena, ale wynieśli się stąd bardzo szybko.

– Kto ich wygonił? – dopytywała się Tess. – Cole czy Malachi?

– Nie. Shannon – odparła Kristin. – Ona jest prawdziwym mistrzem w strzelaniu.

– Mistrzem? Przesada. Po prostu strzelam przyzwyczajenie – mruknęła Shannon.

Wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Może jednak troszkę lepiej niż tylko przyzwyczajenie, kochanie – protestował Malachi. – Nawet nasze bliźniaki już wiedzą, że trafiasz muchę w oko z odległości kilku metrów.

Pierwszy spoważniał Cole i zwrócił się do Jamie'ego.

– Von Heusen przekonał się już, że taktyka zastraszania nie daje rezultatu. Teraz zapewne będzie rozgrywać to inaczej. Kłopot w tym, że nikt nie wie, jaki będzie jego kolejny ruch.

– Kłopot to będzie miał sam von Heusen – oświadczyła Tess. – Jutro jadę do miasta i Edward Clancy

dostanie kolejny artykuł na pierwszą stronę. Opiszę wszystko. Jakie rozkazy był łaskaw wydać pan von Heusen, aby pozbyć się mnie ostatecznie...

– Niestety, Tess, to ty, w pierwszej kolejności, będziesz miała kłopot – odezwał się Jon. – Clancy i twój drukarz w końcu się poddali. Wczoraj ktoś strzelał w okna siedziby gazety. Clancy prosił, żeby ci przekazać, że bardzo mu przykro, ale nie miał wyboru... i złożył wypowiedzenie z pracy.

Tess gwałtownie zbladła, jej głos był jednak bardzo stanowczy.

– W takim razie wszystkim zajmę się sama.

– Raczej nie – oświadczyła Kristin, zasiadając w końcu nad swoim talerzem. – Dolly i Jane zaopiekują się dziećmi, a Shannon i ja pojedziemy z tobą do miasta. Pomożemy ci w drukowaniu, pokażesz nam tylko, jak to się robi i...

– Wykluczone!

Naturalnie był to głos Jamie'ego. Znow mówił głosem porucznika. Tess nastroszyła się natychmiast.

– Jamie, rozmawialiśmy przecież wcześniej o moim wyjeździe do miasta. I nie widzę powodu, żeby...

– Same nigdzie nie pojedziecie. Zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Tess, czy ty tego nie pojmujesz?

– Ja pojmuję jedno. Gazeta zawsze była moją główną bronią.

– Sama gazeta to dziś za mało. No, ale skoro się uparłaś... Dobrze, pojedę z wami i napiszesz ten cholerny artykuł!

Zerwał się od stołu, o mały włos nie wywracając krzesła.

– Jedzenie było wyborne. Komu dziękować? Kristin? Shannon? A może tobie, Dolly?

– Wszystkie brałyśmy w tym udział – oświadczyła Kristin.

– Dziękuję więc wszystkim paniom. Teraz przyda się łyk świeżego powietrza i dobre cygaro. Co sądzisz o tym, Cole?

– Pomysł niezgorszy – odparł brat, podnosząc się z krzesła. Przechodząc obok Kristin, pochylił się i delikatnie pocałował ją w szyję. A Malachi już siedział za jego przykładem.

– Shannon, kochanie, wygląda na to, że musimy rozstać się na chwilę.

– Odpoczniesz sobie trochę ode mnie, kochanie – odparła Shannon.

Malachi mrugnął na Jona, Hank otarł usta serwetką. Wszyscy panowie, jak jeden mąż, znikli za drzwiami, zostawiając damom na pociechę Gabe'a, pięcioletniego dżentelmena. Ale dżentelmen ów również wolał męskie towarzystwo.

– Mamusiu – rozległ się cienki głosik, gdzieś z końca stołu. – Ja wszystko już zjadłem. Czy mogę iść do tatusia?

Kristin rozłożyła bezradnie ręce.

– Idź, skarbie, idź.

– A nam, kobietom, jak zwykle, nie pozostaje nic innego, jak sprzątnąć ze stołu – oświadczyła smętnym głosem Shannon i pierwsza poderwała się z krzesła.

Reszta dam również powstała ze swych miejsc. Ze wszystkim uporano się w mig, nic dziwnego,

skoro do pracy chętnych było aż pięć par rąk. Shannon nie odstępowała Tess ani na krok, podpytując ją nieustannie, jak też to było u tych Apaczów. Potem Dolly i Jane jeszcze raz uściskały Tess i poszły do siebie. A Shannon, Kristin i Tess naparzyły świeżej herbaty i rozsiadły się przy kuchennym stole.

– Tess, powiedz mi – poprosiła Kristin. – Czy ten Apacz, ten wódz Nalte, wypuścił cię dlatego, że Jamie go o to prosił? Czy on po prostu sam oddał cię Jamie'emu?

Tess czuła, że jej policzki płoną. Bo jakże tym prawie obcym kobietom powiedzieć o pewnym istotnym fakcie, ale jakże osobistym. Zaczęła więc bąkać:

– A więc... on... on...

– Kristin, na litość boską! Po co tak męczyć dziewczynę? – przerwała niecierpliwie Shannon.
– Wiadomo, że oddał. Oni przecież przedtem spali ze sobą i ten Nalte o tym wiedział.

– Shannon!

– Przepraszam, Kristin, przepraszam. Nie gniewaj się, Tess, za moją obcesowość, ale Kristin i ja... Obie poślubiłyśmy Slaterów i wiemy, jacy oni są. A oni są tacy, że... szybko chwytają za broń i szybko... – Zamilkła na chwilę, jakby wzruszona jakimś wspomnieniem, po czym nagle roześmiała się w głos. – Tess, krótko mówiąc, Kristin i ja znamy Slaterów od podszewki. Dobrze wiemy, że żadnemu Slaterowi oprzeć się nie sposób!

Tess czuła, że na jej policzkach pojawia się

kolejno cała gama wszelakich odcieni czerwonego koloru, od ciemnego różu po szkarłat.

– On jest w tobie zakochany po uszy – stwierdziła bezapelacyjnym tonem Kristin. – Jestem pewna, że wkrótce będziemy mieli ślub w rodzinie.

– Wcale nie jestem tego taka pewna.

– Jak to? Przecież to oczywiste. Inaczej by nas tu nie wezwał, żebyśmy stanęli w obronie twoich interesów. On musi cię bardzo kochać.

– Przepisałam mu połowę mojego majątku. On teraz chroni swoją własną ziemię.

– Hm... Rozumiem. Tess, a powiedz mi, czy Jamie jeszcze nie rozmawiał z tobą poważnie? Rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie, niczego nigdy na ten temat nie mówił.

Tess sama była zdziwiona, dlaczego wcale się nie ociąga ze szczerą odpowiedzią. I skąd to wrażenie, jakby obie te kobiety znała od bardzo dawna, właściwie całe życie... A może bierze się to stąd, że one wszystkie związane są ze Slaterami?

– To dlatego, że Slaterzy nie są skorzy do żeniaczki – oświadczyła Kristin.

– Ale z wami się ożenili! – krzyknęła Tess.

– Cole musiał się ze mną ożenić.

– Z powodu... wybacz... dziecka?

– Nie! Nie! – zaprzeczyła Kristin ze śmiechem. Ale twarz jej zaraz spoważniała. – Byłam w wielkich tarapatkach, Tess. Prześladował mnie pewien człowiek, wyjątkowo okrutny. Dlatego Cole dał mi swoje nazwisko. Wtedy był to jedyny sposób, żeby mnie ochronić, chodziło o pewne dawne powiąza-

nia Cole'a... W każdym razie dość szybko zostałam jego żoną, a pokochał mnie dopiero potem. Potrzebował na to sporo czasu. A Malachi też musiał ożenić się z Shannon...

– Wcale nie – zaprotestowała Shannon. – Wcale nie musiał.

Tess znów przyszedł na myśl tylko jeden powód.

– Bliźniaki? – spytała cichutko.

– Nie. Dubeltówka – powiedziała lakonicznie Shannon. Spojrzała na Kristin i obie wybuchnęły śmiechem.

Chichotały przez dobrą chwilę, zanim Shannon pokrótce opowiedziała Tess, jak to pewnego dnia Kristin znalazła się w wielkich opałach. Wówczas Shannon i Malachi, rzecz zrozumiała, wyruszyli jej na ratunek. W drodze zatrzymali się w gościnie u pewnego starszego małżeństwa, udając nowożeńców. A kiedy kłamstwo się wydało, ich gospodarze, ludzie dobrzy i stateczni, ale strasznie purytańscy, uparli się, żeby Shannon i Malachi natychmiast wzięli ślub i to pod groźbą śmierci. Patrząc w lufę dubeltówki wymierzonej w pana młodego, składali sobie ślubną przysięgę.

– A wystaw sobie, Tess, że oni kochali się od lat – wtrąciła Kristin. – Nie mieli tylko czasu, żeby to sobie wyznać, bo zajęci byli skakaniem sobie do oczu.

– No nie – zaprotestowała Shannon. – Nie było aż tak źle!

– Było jeszcze gorzej! – śmiała się Kristin, wstając z krzesła. – Słuchajcie, myślę, że po takim dniu przyda nam się kropelka brandy!

– O, tak! – padła zgodna odpowiedź.

Tess, po wypiciu solidnej porcji, zaczęła ziewać i pojękiwać cicho, że jej indiański przyrodzivek, jak zresztą ona cała, oblepiony jest brudem połowy Teksasu. Energiczne siostry szybko zakrzętnęły się koło kąpieli. Nastawiły wodę, wyciągnęły wannę na środek kuchni i obie, po kolei, popędziły na górę. Shannon po francuski olejek do kąpieli, a Kristin po piękną koszulę nocną w kolorze lila, wymarzonym dla kogoś, kto miał takie oczy jak Tess.

– Nie mogę tego przyjąć, naprawdę nie mogę – protestowała zażenowana Tess, ale siostry były nieugięte, twierdząc zgodnie: – Możesz, Tess, a nawet musisz. Jesteśmy przecież rodziną!

– Nie mówcie tak. Ja nie wierzę, że kiedykolwiek tak będzie. Słyszałam kiedyś na własne uszy, jak Jamie komuś mówił, że nikt go nie zmusi do małżeństwa.

Kristin wzruszyła ramionami.

– A kto tu mówi o zmuszaniu? On sam tego zapagnie.

A Shannon zadała zasadnicze pytanie:

– Tess? Ty chcesz wyjść za niego?

Tess na chwilę straciła głos. Zamknęła oczy, wsłuchując się w bicie swego serca, teraz dziwnie szybkie i mocne. Nie musiała jednak tego serca o nic pytać. Och, Boże wielki, pewnie, że chce... Ona chce Jamie'ego na zawsze, na własność, chce go wręcz rozpaczliwie.

Kiedy zaczęła go pragnąć? Chyba nad tym strumieniem, kiedy spojrzał na nią, nagusieńką, a przed-

tem ocalił jej życie, zabijając grzechotnika, a potem, już nocą, powiedział jej, że jest piękna. Tak. Tak właśnie powiedział. Wtedy zakochała się, jeszcze zanim marzenie się spełniło, jeszcze zanim jej dotknął, zanim szepnął jej do ucha, nad tym drugim strumieniem: Noszę cię w sercu, Tess...

A potem popsuło się między nimi, nastał czas burzliwych rozmów, Jamie wcale nie krył, że panna Stuart jest osobą nader kłopotliwą. To przez nią Jamie stracił ukochanego konia... A dziś przy kolacji znów się na nią pogniewał za to, że tak jej śpieszno do miasta, do redakcji ukochanej gazety.

– Tess? A więc jak? – dopytywała się Kristin.

– No więc... tak. Chcę go. Na zawsze.

– W takim razie nie zastanawiaj się, co Jamie kiedyś komuś powiedział – oświadczyła Shannon. – Zapomnij o von Heusenie, zapomnij o wszystkim, co złe i ciesz się chwilą, dobrą chwilą, Tess.

– I wchodź już, kochanie, do wanny – zakomenderowała Kristin. – Woda pięknie pachnie, a nic tak nie poprawia samopoczucia, jak zapach róż.

Rozsiedli się na werandzie. Jamie w bujanym fotelu, Jon na ławie, a Malachi i Cole na szerokiej, wyłożonej poduszkami huśtawce, cichutko poskrzypującej w wieczornej ciszy.

– Wielkie dzięki, że przyjechaliście – zaczął Jamie, popatrując na braci. – Ale nie jestem zachwycony, że przywieźliście ze sobą żony i dzieci.

– Wyobrażasz sobie, że mogło być inaczej? – spytał chłodno Cole. – Znasz siostry McCahy nie od dziś.

– Tak. Ale tu jest zbyt niebezpiecznie. Wszyscy wiedzą, że w posiadłości von Heusena stale przebywa co najmniej trzydziestu uzbrojonych ludzi!

– Spokojnie, Jamie – odezwał się Malachi. – Zdążyliśmy się już rozprawić z niejednym bandziorem.

– Do diabła! Czy wy nic nie rozumiecie? Ja nie chcę, żeby z mojego powodu pozabijali wam żony i dzieci!

Skrzypnęły drzwi, na werandę wsunął się mały Gabe. Chłopczyk musiał co nieco usłyszeć. Podszedł od razu do wuja Jamie'ego, oparł się o jego kolana i małymi rączkami objął dużą, ogorzałą twarz wuja.

– Wujku, ja ci coś powiem – oświadczył z wielką powagą. – Ja jestem już duży, ja wiem, że są dobre rzeczy i złe rzeczy. Ze złymi rzeczami trzeba walczyć. Mama i tatko zawsze tak mówią. I ja też tak mówię, wujku. I ja niczego się nie boję.

– Ech ty, wojowniku – mruknął rozczulony Jamie. Uściskał chłopczyka i posadził go sobie na kolanach. – Malachi, czy twoje bliźniaki też są tego zdania? Mają w końcu już po trzy lata!

– Jamie! Po prostu jesteśmy tutaj wszyscy i basta. Musisz się z tym pogodzić. Opowiedz nam lepiej o tej dziewczynie, o Tess.

– A cóż ja mogę powiedzieć! Tak narowistego stworzenia nigdy jeszcze nie musiałem poskramiać. Gorsza niż grzechotniki, Jankesi i Indianie razem wzięci.

– Czyli sprawa oczywista. Masz zamiar się z nią ożenić – stwierdził Malachi.

– Jeśli tego nie zrobi, i to szybko, to ja się z nią ożenię – oświadczył niespodziewanie Jon.

– Wolnego, przyjacielu! – warknął Jamie, ale Jon wcale się nie przeraził i ponownie zadeklarował: – Ożenię się z nią. Zrobię to. Bo to kobieta, wobec której należy zachowywać się przyzwoicie.

– I kobieta nadzwyczaj urodziwa – uzupełnił ze znaczącym uśmiechem Malachi. – A poza tym, o ile się orientuję, jest to osoba bardzo inteligentna, nieugięta jak żbik, no i warta fortunę. Co prawda, Jamie oskubał już ją z połowy majątku...

– Oskubał?! – krzyknął Jamie. – Mam zamiar ją spłacić!

– Kończąc rzecz całą, stanowczo powinienes się z nią ożenić! – powiedział Cole i Jamie już tego nie zdzierzył.

– Kończąc rzecz całą, to owszem, wdzięczny wam jestem, żeście tu przyjechali – oświadczył lodowatym głosem. – Ale będę równie wdzięczny, jeśli nie będziecie wtykali nosa w nie swoje sprawy! Śpijcie dobrze!

Wstał, usadził Gabe'a na fotelu i gniewnym krokiem wszedł do domu. Przemaszerował przez salon, wkroczył na schody i nagle przystanął. Do licha, on w tym domu ma ciągle ten sam kłopot! Bo niby gdzie ma spać tej nocy? Cole i Malachi ze swymi żonami i przychówkiem zadomowili się na całego, a Jamie Slater, jak zwykle, nie ma gdzie przyłożyć głowy do poduszki.

Jedyne wyjście to zapytać samą panią domu. Ciekawe, co powie na jego widok. W każdym razie,

jeśli zacznie wrzeszczeć i obudzi cały dom, Jamie udusi panią domu własnymi rękami.

Zapukał do drzwi i prawie jednocześnie je pchnął.

– Tess?!

– Jamie...

Głos był nieco niewyraźny, a więc obudził ją. Obudził, a ona wymówiła jego imię tak nieskończenie miękko, łagodnie, słodko... Jej głos był taki delikatny, leciutki jak gwiazdny pył, roztrącił zapach róż, wypełniający cały pokój i pomknął ku niemu...

Włosy Tess jaśniały, ich złocistość była silniejsza niż srebro księżyca, złocistość bardziej złocistoczerwona niż zachód słońca. Koszula Tess była jak plama w kolorze lila, ta liliowa podłużna plama pełna była cieni, półcieni i jaśniejszych wypukłości...

– Tess, a gdzie ja niby mam spać... Ech, do diabła!

Nie zauważył jej uśmiechu, gdy opadał na łóżko, a ściślej mówiąc, na tę liliową podłużną plamę koszuli. Widział przed sobą tylko słoneczne pasma włosów Tess, rozrzuconych po całej poduszce. Tę cudnie pachnącą jedwabistą przędzę, tę pajęczynę, która zawsze otulała ich bliskość. Jakżeż on za tym tęsknił! Jedną noc, i drugą, gdy leżał obok Tess, a nie mógł jej dotknąć, bo jakże to czynić pod czujnym okiem indiańskich wojowników.

Apacze odjechali, teraz była upragniona samotność, samotność, którą dzielił tylko z Tess. Mógł całować ją do woli, pieścić do woli, a w sercu jego rodziły się słowa gorące i niezwykle ważne.

Jesteś moja, Tess. Moja od tej pierwszej chwili, kiedy cię znalazłem. Ty cudna dziewczyno o włosach koloru miodu, słodsza niż ten miód... Jesteś moja, Nalte to szybko zrozumiał i dlatego oddał mi ciebie. Jesteś moja, tej nocy i... i na zawsze. Jeśli przeżyjemy oboje, już ja nigdy cię nie opuszczę... choć na całym Zachodzie ze świecą by szukać stworzenia bardziej kłopotliwego niż ty, moja ukochana Tess.

Rano, zanim skończył naciągać spodnie, ta „kłopotliwa osoba”, kompletnie już ubrana, siedziała przed toaletką i szczotkowała swoje wspaniałe włosy.

– Boisz się mojej rodziny? – spytał.

Spojrzała na niego przeciągle, potem jakby cichutko prychnęła.

– Też coś! Wcale się nie boję – oświadczyła, znów wbijając wzrok w lustro. – I wszystko mi jedno, czy ktoś dojdzie, gdzie spędziłeś dzisiejszą noc. Bo o to ci chodzi, prawda?

– Rozumiem. Czyli nie przejmujesz się także tym, że mój starszy brat może nastawać, abym się z tobą ożenił.

– Nie przejmuję się. Wiem, że ciebie nikt do niczego nie zmusi. A mnie uprzedzałeś, pamiętasz? Niczego ci nie mogę obiecać, Tess... – Zaśmiała się cichutko.

Ona... ona po prostu jest niemożliwa! Jamie podkradł się cichutko, nagimi ramionami objął „kłopotliwą osobę” i szepnął:

– A co będzie, jeśli już nosisz moje dziecko?

– Hm...

Tess odsunęła się nieco i zmierzyła go wzrokiem.

– Jest pan przystojny, poruczniku, i bardzo ładnie zbudowany. Tryska pan inteligencją i zdecydowaniem. Pańskim braciom, jak się zdaje, też niczego nie brakuje. Jeśli więc będę miała z panem dziecko... Tylko radość, panie poruczniku, tylko radość! Będzie śliczne, słodkie, a ja pokocham je nad życie.

Uśmiechnęła się i spokojnie powróciła do szczotkowania włosów. A Jamie śmiał się, śmiał, nakładając koszulę, naciągając skarpety i wysokie buty z cholewami.

– Oj, Tess, Tess, ty naprawdę jesteś z piekła rodem!

Tess stała już przy drzwiach.

– Ja tylko staram się zadowolić tym, co mam, panie poruczniku! A teraz schodzę na śniadanie. Dolly i Jane na pewno zerwały się o świcie, ze względu na dzieci. A ja chcę być w mieście najpóźniej o ósmej. Muszę nauczyć Shannon i Kristin obsługiwać prasę drukarską...

– Dobrze, dobrze. Poczekaj, Tess!

– Tak, słucham?

– Nie zapominaj, że robisz tylko to, co ci powiem. Żadnych własnych pomysłów.

Minął ją w drzwiach i pędem zbiegł po schodach. Tess schodziła krokiem statecznym, przekonana, że Jamie zatrzymał ją tylko po to, aby udowodnić, że on będzie na dole pierwszy.

Tak, jak przewidywała, Dolly i Jane, dwie trosk-

liwe kokoszki, krzątały się przy latoroślach starszych braci Jamie'ego. Najmłodszego z braci Slaterów Dolly powitała wesołym okrzykiem:

– Ej, poruczniku! Nie mogę się doczekać, kiedy będę karmić pana maleństwo!

– Już wkrótce, Dolly, już wkrótce – zawołał wesoło i ku zaskoczeniu Tess, spojrzał na nią, uśmiechnął się, a nawet żartobliwie mrugnął okiem.

Malachi podał Jamie'emu filiżankę kawy i złożył raport:

– Powiedziałem Hankowi, żeby Dolly, Jane i dzieci sprowadził do piwniczki.

– Świetnie!

– Chowamy się do tej piwniczki przed wichurą. To świetna kryjówka – wyjaśnił Hank. – Proszę się nie niepokoić, panie poruczniku. Razem z parobkami dopilnuję wszystkiego.

– Liczę na ciebie, Hank.

Jamie szybko łyknął kawę i odstawił filiżankę na stół.

– A więc w drogę!

Wszyscy pośpiesznie wyszli przed dom. Dolly i Jane, razem z dziećmi, zeszły do niewielkiej piwniczki, wykopanej w ziemi. Hank zamknął kłapę, Cole i Kristin zgarnęły nogami trochę ziemi, przydeptali, maskując starannie wejście. W tym czasie przed dom zjechał Jon. Kristin, Shannon i Tess wsiadły na wóz i mała kawalkada ruszyła przez zielone padoki.

Obok wozu krytego białą plandeką jechało trzech braci Slaterów na swych koniach. Tess zerkała na

nich z niepokojem. Każdy miał w olstrach po dwa kołty i strzelbę, przytroczoną do siodła. A żartowali i śmieli się, pogadując ze sobą, jakby jechali na piknik. Och, Boże, spraw, żeby tych trzech wspaniałych ludzi wróciło cało i zdrowo. Ruszali przecież do walki, i to wcale nie za swoją sprawę. Nikt im nie kazał nadstawiać głowy za Tess Stuart... A może ten niepokój jest nieuzasadniony? W mieście będzie spokojnie, nic złego dziś się nie wydarzy. Von Heusen się przyczaił i Tess spokojnie napisze swój artykuł. Wydrukuje na pierwszej stronie całą prawdę. Ludzie przeczytają gazetę, może więcej osób da wiarę słowom Tess Stuart. Będzie ich tyle, że von Heusen już nikomu nic złego nie uczyni, nikt przez niego nie będzie musiał żegnać się z życiem.

– Tess? – zagadnął Jon, popatrując na nią. – A nie miałabyś ochoty już teraz nam objaśnić, jak to tam jest z tą twoją prasą drukarską?

Tess uśmiechnęła się z wdzięcznością. Przynajmniej nie będzie miała czasu na smutne rozmyślanie.

– Nasza prasa drukarska to proste urządzenie, nie ma co się równać z tymi wielkimi, nowoczesnymi maszynami, które można dziś kupić. Ale też i nasza gazeta nie jest dużą gazetą. A jak drukuje się na naszej prasie? Najpierw robi się skład drukarski. Do formy drukarskiej wkłada się czcionki, litery i całe wyrazy, i wpukuje drewnianym młotkiem. Potem skład pociąga się specjalną farbą, przykładą papier, dociska i tekst odbija się na papierze. To nie jest skomplikowane...

Z wielką chęcią powiedziałaaby coś więcej na swój ulubiony temat, niestety Jona zainteresowało teraz zupełnie coś innego.

– Jakoś dziwnie tu spokojnie – powiedział półgłosem, wjeżdżając w główną ulicę. I tak było. Rankiem po mieście nigdy nie kręciło się zbyt wielu ludzi. Tego ranka jednak na ulicy nie było żywej duszy.

– *Wiltshire Sun* jest tam – powiedziała Tess, wskazując ręką na dom, w którym w żadnym z okien nie zachowała się cała szyba.

– Kristin i ja posprzątamy – odezwała się różnym głosem Shannon. – A ty sobie spokojnie będziesz pisać.

Tess w milczeniu skinęła głową, czując, jak w jej gardle rośnie jakaś gigantyczna kluska. Boże wielki, dlaczego w całym mieście panuje dziś taka upiorna cisza?

Jon zatrzymał wóz tuż przed drzwiami. Stał tam już Jamie obok swego konia i z uwagą przyglądał się sąsiednim budynkom, zdawałoby się, też kompletnie wymarłym jak ulice.

– Wchodźcie szybko do środka – polecił krótko.

Tess tym razem spełniła jego rozkaz bez szemrania. Shannon i Kristin weszły szybko za nią i Kristin aż jęknęła.

– Ojej, a cóż to za bałagan!

– Może ja najpierw pomogę wam sprzątać... – zaczęła Tess.

– Nie ma mowy! Ty siadaj i pisz!

Tess skinęła głową i zdmuchnąwszy z blatu

i krzesła kawałeczki szkła, zasiadła za biurkiem. Wkręciła papier do maszyny, zastanowiła się chwilę, tylko chwilę, bo jej palce już zaczynały fruwać nad klawiaturą.

Kristin i Shannon zaczęły cicho się krzątać, ich obecność wcale nie przeszkadzała Tess. Zapomniała o całym świecie, pisząc i pisząc zawzięcie, miała przecież tyle do przekazania.

Kiedy doszła do momentu, w którym Dawid i Jeremiasz przyznali się, że pracują dla von Heusena, nagle z ulicy dobiegł głośny krzyk:

– Tess! Tess Stuart! Wiemy, że tam jesteś! Jesteś aresztowana!

Maszyna umilkła. Ręce Tess opadły.

– Aresztowana... – powtórzyła zduszonym szeptem, rozglądając się bezradnie.

– To chyba szeryf – mruknęła Shannon, wyglądając ostrożnie na ulicę.

Tess na palcach podeszła do Shannon, zerknęła i skinęła głową. A z ulicy dobiegł teraz spokojny głos Jamie'ego.

– A za co niby macie ją aresztować?

– Za oszczerstwo i za morderstwo!

– Morderstwo?

– Zabiła dwóch ludzi pana von Heusena. Podstępem wywabiła ich z miasta i zabiła z zimną krwią. Mamy na to świadków.

W odpowiedzi Jamie wyrzucił z siebie niewybredne przekleństwo i długimi krokami zaczął sunąć w stronę szeryfa. Tess jęknęła cicho i przerażona coraz bardziej, kurczowo chwyciła się framugi okna.

– Doskonale wiesz, że to bzdura – mówił Jamie twardym głosem. – Mówisz to, co kazał ci powiedzieć von Heusen. Bo ci płaci. Płaci tobie i wszystkim tym bandziom, których przyprowadziłeś tu ze sobą!

– Lepiej zamilcz, Slater! Ty też jesteś aresztowany!

– Ja? Za co?

– Za sprzyjanie morderczyni.

– Ach, tak? No to ja ci coś powiem, szeryfie. A spróbuj ty mnie aresztować.

Strach Tess znikł jak ręką odjął. Zanim któraś z sióstr zdołała ją powstrzymać, ona biegła już przez ulicę. Wściekła. Dopadła do Jamie'ego i kurczowo chwyciła go za ramię.

– O, nie! Niedoczekanie! – krzyknęła pełnym gniewu głosem. – Jamie'ego chcesz aresztować? Nie próbuj wciągać go w to bagno, szeryfie! To bagno, w którym nurzasz się ty i von Heusen! A jeśli już kogoś koniecznie chcesz zaaresztować, to mnie...

Jamie jednym ruchem ręki pchnął Tess za siebie.

– Do diabła! Kobieto! Co ty wyprawiasz?!

Coś cichutko skrzypnęło. I usłyszeli lodowaty głos.

– Zamilcz, Slater.

Von Heusen. Stał przed drzwiami do saloonu. Wysoka, przeraźliwie chuda postać. Wiatr rozwiewał rzadkie jasne włosy. Oczy też jasne, prawie bezbarwne, skrzące się nienawiścią.

– Kogo my tu widzimy... no, no.. panna Stuart,

jak zwykle, bardzo odważna. Niestety, pani odwaga na nic się nie zda. Ten Reb będzie wisiał.

– Nikt nie będzie wisiał – wycedził Jamie. – I ty nie będziesz miał tej ziemi, przez którą przejdzie kolej.

– Aha... Czyli wiesz już o tym. Proszę, proszę, jaki detektyw. Ale tobie i tak nic już nie pomoże. Szeryf jest moim człowiekiem. Prawda, Harvey?

– Nie musisz tego mówić – mruknął niezadowolony szeryf.

– A czemu nie? Niech się boją! Szeryf i cały magistrat pracuje dla mnie. Kat też niebawem z ochotą zrobi to, co mu każę. Gwarantuję ci to, Slater! Ty już nie żyjesz, rozumiesz? Jesteś martwy! Zimny i sztywny, jak gwóźdź w drzwiach!

– Nie, von Heusen. Nie jestem ani zimny, ani sztywny, nawet jeśli szeryf jest twoim człowiekiem. Bo tak się składa, że ja też mam tu kilku swoich ludzi, i to nieźle uzbrojonych.

– Szanowni bracia? I ten twój przyjaciel, półkrwi Indianin? To za mało, Slater, za mało. Ja mam swoich ludzi w całym mieście. Mogę zrobić wszystko. Mogę nawet cię zabić teraz, tutaj, w biały dzień!

Ręka z pistoletem uniosła się. Celował prosto w serce.

Ale strzelił ktoś inny. Był szybszy. Von Heusen krzyknął przeraźliwie i złapał się za rękę. A ten strzał, pierwszy strzał, jakby świat obudził. Ziemia zahuczała od stukotu kopyt, dzikie okrzyki rozdarły błękit nieba.

Jamie pochylił się odruchowo, odwrócił i aż westchnął.

– O Jezu...

Kawaleria. Konie sadzą jak szalone, na czele sierżant Monahan, ale widać nie tylko mundury niebieskie. Tam są jeszcze inni jeźdźcy, jeźdźcy z brązu, półnadzy, czarnowłosi, na koniach jeszcze szybszych, szybszych niż wiatr...

Apacze.

– Jamie!

Ten rozdzierający krzyk był dla niego teraz najgłośniejszy. Odwrócił się natychmiast, ale von Heusen miał już Tess. Jego prawa ręka była przykurczona, krwawiąca. Pistolet trzymał w lewej, srebrną lufę przytknął do skroni Tess.

– Jeden krok, Slater, i będzie po niej!

Cofał się tyłem do drzwi saloonu. A dookoła grzmiały strzały. Zza wielkiej beczki z wodą, ustawionej niedaleko siedziby redakcji *Wiltshire Sun*, Cole zdejmował z okolicznych dachów jednego bandytę za drugim, Malachi i Jon strzelali zza przewróconego wozu, kawaleria i Apacze, wśród głosów trąbek i dzikich okrzyków, siali śmierć.

Było oczywiste, że ludzie von Heusena nie mają żadnych szans. Było oczywiste, że idzie ku dobremu. Z jednym tylko wyjątkiem. Von Heusen miał Tess.

Już zniknęli za drzwiami saloonu, teraz zapewne ciągnie ją po schodach na górę. Jeszcze słyhać jej straszny krzyk.

– Jamie! Na dach! Na dach! – wołał Cole. Jamie

spojrzał w górę, podbiegł do bariery, do której przywiązywano konie, wskoczył na nią, podciągnął się i już był na dachu. Zobaczył czyjeś nogi. W tym momencie padł strzał. Mężczyzna jęknął i runął głową w dół. Jamie spojrział na ulicę, tam, gdzie stał Cole. A starszy brat zdmuchnął dym, unoszący się z lufy jego pistoletu i uśmiechnął się.

– Ruszaj się, Jamie! Idź no po tę małą!

– Och, ty... Od samego początku byłaś cierniem w moim oku! Od samego początku! Powinnaś być skonać w tym wozie na prerii albo zachować resztki rozsądku i zostać u tego czerwonego dzikusa!

Tess nie mogła się powstrzymać od cichego jęku. Palce von Heusena miażdżyły jej ramię, chłodny metal lufy nie odrywał się od jej skroni. A ona niczego nie mogła zrobić, tylko powtarzać sobie w duchu. Ty draniu, ty łajdaku. Nawet jeśli mnie zabijesz i tak będziesz przegrany. Nic nie będzie twoje, nic!

A kiedy jej ramię zabolowało jeszcze bardziej, wyszczała mu w twarz z nienawiścią:

– Ten czerwony dzikus, jak ty mówisz, jest tutaj. Apacze przyjechali razem z kawalerią. Koniec z tobą, von Heusen.

Byli już na szczycie schodów. Von Heusen kopnął drzwi do jednego z pokoi i wepchnął Tess do środka. Szybko zasunął zasuwę w drzwiach, podstawił pod klamkę krzesło.

– I co teraz zrobisz, von Heusen? – spytała Tess.

Spojrzał na nią tymi zimnymi oczami samego

diabła. Tess poczuła ciarki na plecach, zaraz potem nowy ból. Bo on był już przy niej. Złapał ją za włosy i szarpnął.

– Ty głupia, głupia... Mogłaś jeszcze sobie trochę pożyć jako indiańska squaw, ale sama nie chciałaś. No to będziesz miała za swoje. A teraz spokój, słyszysz?! Spróbuj się ruszyć, to oskalpuję. A trofeum będę miał nieliczne!

Plunęła mu w twarz, on szarpnął znów, tak mocno, jakby chciał wyrwać jej co najmniej połowę włosów.

– Pytasz, co zrobię? Ano poczekamy sobie chwilkę, aż twój bohater, ten rycerzyk, wbiegnie po tych schodach. Wtedy go zastrzelę. I ucieknę z miasta, ale razem z tobą. Zostaniesz ze mną, oczywiście, tylko na jakiś czas. Trochę się tobą pobawię, a znam takie różne sposoby, żeby sprawić sobie przyjemność. A ty będziesz czuła się jak szmata. Dopiero potem cię zabiję. Nie od razu. Będę zabijał powolutku, po kawałeczku...

– Łajdak!

Jakimś cudem udało jej się wyrwać i cofnąć do okna.

– Ty draniu! Czemu nie zabijesz mnie od razu? Ja zawsze będę z tobą walczyć, każdą chwilę zamienię ci w piekło! Chyba że...

– Chyba że co?

– Chyba że zostawisz Jamie'ego w spokoju. Wyjdziemy stąd po cichu na dach... Nie będę się opierać...

– Po prostu wzruszające!

- Jeśli go zabijesz, nie ruszę się stąd.
- Ruszysz się. Już ja cię do tego zmuszę.

Wyciągnął nóż. Ostry, długi, który pięknie błysnął w promieniach słońca, zagładających do pokoju.

– Zaraz upuszczę ci trochę krwi, panienko. Tylko zadrasnę, ale poczujesz, poczujesz...

Chciała krzyknąć. Albo zemdleć. Chciała z nim walczyć, rozpaczliwie pragnęła być dzielna. Ale lśniący stal była coraz bliżej. I Tess nie wiedziała, czy znajdzie w sobie choć odrobinę odwagi, kiedy ostrze dotknie jej gardła.

Ktoś pchnął okno, czyjaś noga w długim bucie ze straszliwą siłą uderzyła w pierś von Heusena, odrzucając go pod przeciwległą ścianę. Upadł. Ale już podrywał się z podłogi, podniósł rękę, ten nóż miał już frunąć prosto w serce Tess.

Kolt przemówił natychmiast. Jasno, wyraźnie, bez żadnych skrępowań.

Von Heusen spojrzął po raz ostatni, w bezbarwnych oczach pojawiło się zdumienie. Zamknął oczy. I runął na podłogę.

Jamie podszedł do Tess.

– Wszystko w porządku?

Skinęła głową.

– Tess, do diabła, po co wybiegałaś na ulicę? Miałas się mnie słuchać!

– Ja starałam się, Jamie, naprawdę, ale... – Jej wzrok, na wpół przytomny, przemknął po trupie von Heusena, potem po twarzy Jamie'ego...

Chwycił ją, kiedy osuwała się na podłogę. Wziął na ręce to drobne ciało, ważące tak niewiele, przytu-

lił do piersi i uśmiechnął się z rozrzewnieniem, wcale nie jak srogi porucznik. Na von Heusena nawet nie spojrział.

Jamie niósł Tess na rękach, wynosił ją jak najdalej stąd, jak najszybciej na ulicę zalaną słońcem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wieczorem Tess Stuart wydała przyjęcie. Barbecue. Niby zwykłe barbecue, a jednak niezwykle. Po całym ranczu rozsiane były ogniska, na rusztach piekły się olbrzymie płaty wołowiny, a wino, piwo i whisky lały się strumieniami. Goście przybyli tłumnie, i to goście niecodzienni. Kawalerzyści, Apacze, ludzie z miasta, nawet ladacznice z saloonu nie odmówiły sobie takiej przyjemności.

Wódz Nalte był gościem honorowym, gościem, któremu należała się największa wdzięczność. Teraz bowiem wydała się tajemnica, że Apacz, po odwiezieniu Jamie'ego i Tess do Wiltshire, wcale nie zamierzał wracać w góry, zanim nie pozna osobiście białego człowieka, który oszukał tylu ludzi. I to Nalte przesądził o biegu wydarzeń, wysyłając posłańca do fortu.

Większość obowiązków pani domu wzięła na siebie Kristin, zawsze opanowana, dystygnowana i taktowna. Dla Tess była to ogromna ulga, bo ona

sama nie zdążyła jeszcze ochłonąć po dniu pełnym grozy. Ale była szczęśliwa, że wszystkich tych ludzi może podejmować u siebie. Los ciężko doświadczył Tess, odbierając jej wuja. Teraz ten sam los jakby chciał wynagrodzić jej to, że została na tym świecie sama i podarował jej nowych przyjaciół. Mnóstwo. Cały tłum. Tess przechadzała się wśród tego tłumu, uśmiechała, zamieniała parę słów, czasem starała się załagodzić nieco sytuację, gdy temperament Indian i równie krewkich białych ludzi zaczynał brać górę nad opanowaniem i zdrowym rozsądkiem. Ale tym głównie zajmowało się trzech braci Slaterów, którzy mieli baczenie na wszystko. Hank również, on już wiedział, jak zadbać, aby ranczo podczas barbecue nie poniosło żadnego uszczerbku.

W kuchni Tess nagle natknęła się na Jamie'ego. I wyglądało na to, że on jej szukał, bo miał do niej bardzo pilną sprawę. Muszą porozmawiać. Natychmiast.

– Ależ, Jamie! Dom pełen gości...

– Nie szkodzi.

Chwycił ją bezceremonialnie za rękę i zaczął ciągnąć po schodach na górę. Trudno było się nie opierać, nie protestować głośno. Skończyło się na tym, że objął ją w pól i wniósł po tych schodach, właściwie nie wchodząc, a wbiegając.

– Jamie, co ty wyprawiasz?

– Tess, już nieraz ci mówiłem, że masz być mi posłuszna.

Wniósł ją do jej pokoju, postawił na podłodze

i przede wszystkim starannie zamknął drzwi. Na klucz. I dodatkowo oparł się o te drzwi plecami. Tess cofnęła się o krok, spoglądając na niego podejrzliwie. O czymże to oni mają raptem rozmawiać? Zresztą po raz pierwszy od chwili powrotu na ranczo, bo Kristin i Shannon właściwie przez cały dzień nie wypuszczały Tess spod swych troskliwych skrzydeł. A Tess dochodziła do siebie bardzo powoli, bardzo powoli do niej docierało, że dziś wygrali nie tylko kolejną bitwę. Dziś wygrali wojnę.

– Dziękuję, Jamie. Dziękuję, że uratowałeś mi życie.

– Drobiazg – mruknął, sunąc ku niej długimi krokami. Objął, wtulił twarz w złociste włosy i zaszeptał:

– A co miałem innego zrobić... Może ty nosisz moje dziecko, Tess. Ślicznego dzieciaka, takiego, jak dzieci moich braci.

– Jamie...

Odsunął ją od siebie na długość ramienia. Jego oczy, srebrząca się teraz szarość, napotkały jej wzrok.

– Powiedziałem ci, że masz się mnie słuchać. Bierzemy ślub, Tess.

Krzyknęła. Trudno nie krzyknąć, kiedy człowiek jest tak bardzo zdumiony.

– Co... co ty powiedziałaś?

– Bierzemy ślub. Teraz.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że...

Jego palce musnęły jej policzek.

– Dlatego, że wcale nie jestem do końca przekonany, czy Nalte nie zamierza jednak odjechać stąd z tobą. Sam zresztą osobiście mnie przestrzegł, że lepiej będzie, jeśli ty staniesz się tak naprawdę moją kobietą.

– Jamie, ale ja sama słyszałam, kiedy mówiłeś, że nikt cię nigdy nie zmusi....

– Poza tym Kristin i Shannon nie dadzą mi spokoju.

– Jamie!

– Poza tym niech mnie piekło pochłonie, jeśli nasze dziecko chować się będzie beze mnie.

– Ale my nawet jeszcze nie wiemy...

– A poza tym... poza tym jest jeszcze coś.

Jego usta dotknęły jej warg nieskończenie łagodnie, jakby to nie człowiek całował, a księżyc srebrzysty... Tess zamknęła oczy i wróciła magia, magia tamtej nocy nad strumieniem, kiedy kochali się tak słodko w kotlinie wśród gór, kiedy to kochanie było czymś tak oczywistym, czymś, co wtedy koniecznie należało zrobić.

– Kocham cię, Tess. I to jest powód najważniejszy. Kocham cię i chcę, żebyś została moją żoną. Chcę na zawsze mieć cię przy sobie, chcę uczynić cię szczęśliwą. Naturalnie, że nadal mam ochotę udusić cię za grzech nieposłuszeństwa, bardziej jednak pragnę kochać cię i być przez ciebie kochany. Chcę poznać do końca siłę twego ducha i zмагаć się z nią czasami. Chcę doświadczyć na sobie twej czułości, twej miłości, Tess. Tego właśnie chcę. I co ty na to?

– Och, Jamie...

Szepnęła i na tym koniec. Słów brakło z tej wielkiej radości, ale wszystko przecież mogła wyrazić w sposób nieco inny, ale jakże wymowny. Wspiąć się na palce i pocałować słodko, kusząco, z tą cudowną świadomością, że od dziś będzie mogła robić to codziennie. I co noc...

– Slater. Tess Slater – powiedziała cichutko, czując, że w jej oczach kręcą się łzy, łzy szczęścia naturalnie. – Och, Jamie!

Rzuciła mu się na szyję, tym razem pocałunek był nie tylko słodki, lecz i nieskończenie żarliwy. Potem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Kocham cię, Jamie, kocham, kocham od dawna i nigdy nie wierzyłam, że będę mogła kochać cię zawsze.

– Bo ty dotychczas, Tess, wierzyłaś tylko w siebie. Teraz nauczysz się wierzyć we mnie.

– W ciebie? Jamie! Ja zawsze w ciebie wierzyłam!

– To teraz nie tylko wierz, ale i uwierz. Kocham cię, Tess. I zawsze będę cię kochał.

– Jamie...

Ramiona Tess znów oplatały jego szyję, ale Jamie te białe ramiona szybko zdjął z szyi.

– Nie kuś mnie, Tess. Teraz schodzimy na dół. Trzeba to zrobić jak najprędzej, zanim wódz Nalte stąd wyjedzie.

– Ale co trzeba zrobić?

– Wziąć ślub, to oczywiste. Pora ku temu najlepsza. Kapelan jest, moja rodzina w komplecie, wódz Nalte również obecny.

– Ale ślub? Teraz?

– Tak!

Złapał ją za rękę i z taką samą prędkością, z jaką przed chwilą wciągał na górę, teraz po schodach sprowadzał na dół. Po drodze przechylił się przez balustradę i krzyknął:

– Cole! Powiedziała „tak”! Powiedz kapelanowi i muzykantom, że możemy zaczynać!

Bracia Slaterowie wydali z siebie okrzyk, wspomniały okrzyk sprzed lat, gorące zawołanie rebeliantów z Południa. Kawalerzystom zdawało się to wcale nie przeszkadzać. Przeciwnie, gromkimi głosami podchwycili okrzyk. Nie tylko zresztą oni, bo prawie jednocześnie rozległy się przeraźliwe okrzyki wojenne Apaczów.

Nie wiadomo, w którym momencie Tess została ustawiona przed obliczem kapelana.

– Jamie, posłuchaj – szepnęła gorączkowo.
– Mnie jest tak przykro z powodu Lucyfera.

– Nie martw się. Nalte oddał mi go... a raczej podarował w prezencie ślubnym.

– Aha. A więc żenisz się ze mną tylko po to, żeby odzyskać konia!

– Tess, lepiej teraz powiedz „tak”!

Spojrzała szybko na uśmiechającego się miło kapelana, wysłuchiwała jego słów, właściwie nie słuchając, bo najbardziej była świadoma dotyku dłoni Jamie’ego, spoczywającej na jej dłoni. Ta dłoń będzie chronić Tess przez całe życie. Powtórzyła słowa przysięgi, na jej palcu zabłysła złota obrączka. Potem dookoła zrobiło się tłoczno. Wszyscy zyczyli im dużo szczęścia, wznosili toasty szampanem,

a Tess nawet pocałowała Nalte. Wycisnęła na brązowym policzku serdecznego całusa. Prawie natychmiast porwały ją męzowskie ramiona i bardzo zdecydowanie popchnęły w stronę schodów.

Znów wędrowała na górę. W głowie szumiało, nie wiadomo, czy od szampana, czy ze szczęścia. Bo jeszcze tylko kilka kroków i znajdzie się w ramionach mężczyzny, który zjawił się w jej życiu po to, aby zostać w nim na zawsze. I tej nocy Tess Stuart będzie mu posłuszna, o tak... na pewno.
